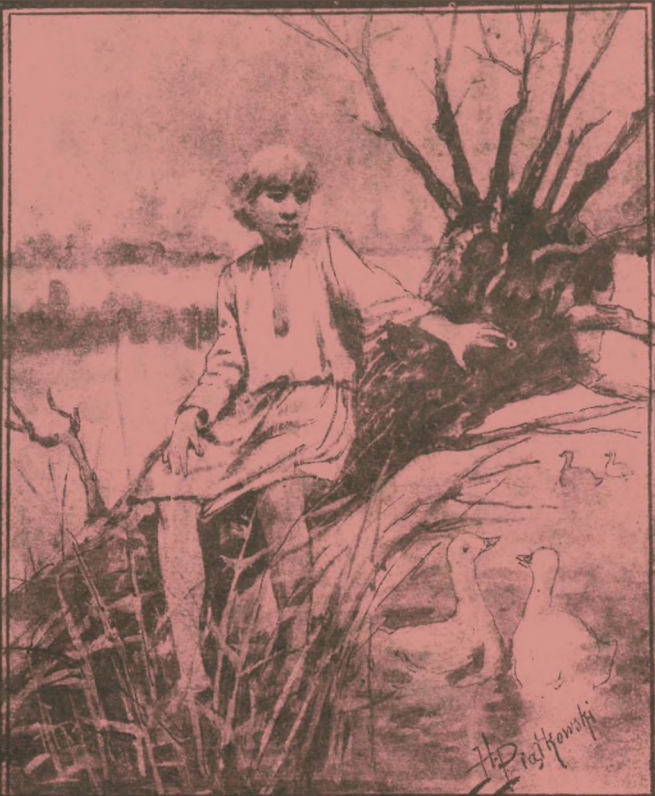


JÓZEFA SZEBEKÓWNA.

ŻYCIE SYZYFOWE.



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

1893.

Józefa Szekówna.

ŻYCIE SYZYFOWE.

POWIEŚĆ.

WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

—
1892.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Ноября 1891 года.



121077

I.

— Witeek!... Wiitek!... — zawołała Wojtkowa, stając na progu kuchni i oglądając się po folwarcznem podwórzu.

Zasłoniła się od blasku słońca ręką, z pod której wyglądały czerwone, łzami zaszłe oczy i chuda twarz, nacechowana wyrazem niecierpliwości. Postąpiła chwilę, potem wbiegła napowrót do obszernej izby. Jedną jej ścianę zajmował duży komin z szabaśnikiem, drugą dwa łóżka, pokryte nędzną pościelą. Pod oknami, których małe i zakurzone szyby przyćmiewały blask majowego słońca, stały zydle, ławki i stół, przy drzwiach stągiew z wodą i stary kosz, pełen obierzyn. Z okopconego sufitu zwieszały się zatknięte między belkami zioła, na półce przy kominie rzędem stały garnki i miski, a przy każdym łóżku drewniana, na czerwono malowana skrzynia, mieszcząca chudobę folwarcznej kucharki — Wojtkowej i Franki — jej pomocnicy.

Wróciwszy do izby, Wojtkowa zajrzała do saganów, gdzie woda już przestała się gotować, potem do komina.

— Gaśnie—szepnęła,— a drzewa ani kawałka — dodała, schylając się do garnka. — Niestety moje z tym chłopakiem!... a takem gadała, żeby mi był pod ręką.

Nie mając na kim wyrzeć złości, zaczęła gwałtownie poprawiać ogień, aż głównie wylatywały na środek izby. Zbierając je rękoma, powleczone tak grubą skórą, że prawie nie czuła dotknięcia żaru, Wojtkowa głośno klęła. Wreszcie tak szybko, że ledwie mignęła czerwona jej spódnica i rozwarta na piersiach koszula, przebiegła się i, stanąwszy na progu, znowu zaczęła wołać Witka.

W gęstych krzakach bzu, kwitnącego pod sztachetami, które oddzielały folwarczny dziedziniec od dworskiego, coś się poruszyło. Po chwili rozchyliły się gałęzie i pomiędzy niemi ukazała się jasnowłosa głowa dziecka, potem wynurzyła się z nich drobna postać z wydatnym brzuchem, ubrana w brudną koszulinę, i zaczęła iść w stronę kuchni, jak zakradający się kociak. W miarę jak się dziecko zbliżało, zwolniło kroku, na jego zamorusanej twarzy osiadł wyraz zakłopotania, a na widok stojącej przed kuchnią kobiety w jasnych, z podełba patrzących oczach odbiła się trwoga. Zatrzymał się w oddaleniu.

— Jesteś, gałganie! — zawołała Wojtkowa, uderzając go w plecy utrzymaną w ręku warzą-

chwiał.—A to nie wiesz, że Franka poszła do pańskiej kuchni i drew niema?

Dziecko zapłakało i schroniło się do izby.

— A drzej się, drzej, to jeszcze dostaniesz!— rzekła mu na pociechę matka, idąc za nim.—Leć mi po drzewo, a wartko, bo...

Chłopak nie dosłyszał ostatnich słów; trzymając się ściany, żeby jaknajdalej pozostać od matki i jej groźnie rozmachujących rąk, wysunął się z izby i co tchu pobiegł ku drwalni, przed którą właśnie stróż rąbał drzewo. Nabrawszy tyle, ile jego ośmioletnie ramiona były w stanie utrzymać, przyniósł je do kuchni i, stękając, rzucił przed kominem.

Przez krótką chwilę jego nieobecności gniew Wojtkowej ostygł, a widok syna, na twarzy którego krople potu zmieszały się ze łzami, do reszty ją rozbroił. Wziąwszy ścierkę, zaczęła odsuwać sagany i zapakowała drzewo, którego głośny trzask po chwili oznajmił, że się rozpala.

— Dosyc—rzekła, sądząc, że Witek wybiera się po nowy transport; on tymczasem, zasępiony, odwrócił się do okna.

— Gdzie latałeś?... — spytała go po chwili, i usiadłszy na niskim zydlu, wzięła się znowu do obierania kartofli.

Dziecko zawahało się.

— Podle dworu byłem—odpowiedział.

— Podle dworu?—powtórzyła gniewnie matka, a z pod jej rąk łupiny coraz szybciej leciały do kosza.—A nie mówiłam ci, żebyś do dworu nie łąził? Cóżżeś tam robił?

— Patrzyłem.

— Patrzyłeś? I co wypatrzyłeś, co wypatrujesz? Może ci jeść dadzą, albo ci buty sprawią i sukmanę, żebyś nagi nie chodził? Patrzajcie go! Obaczysz, co ci przyjdzie ze dworu. Jak dorosniesz, będzie cię ekonom wyganiał na pańszczyznę; nie pójdiesz, wałkuniu, dostaniesz baty; spróbuj uciec, odda cię dziedzic w rekruty, jak ojca. Ot co zdybiesz przy dworze! Będziesz się wałęsał po świecie, jak on, że nawet nie wiadomo, czy żyw jest, czy umarły. A tu jeszcze gadają, że idzie na wojnę z węgrem—dodała ciszej Wojtkowa, jakby do siebie.

Podniosła się z zydła i zaczęła wrzucać obrabne kartofle do saganów.

W godzinę później czeladź babicka hałaśliwie weszła do izby i, rozsiadłszy się na ławie i stołkach, otrzymała z rąk Wojtkowej misy, napełnione żurem i kartoflami. Witek przykucał przy drzwiach na ziemi, oparł miskę o kolana i zajadał. Zapomniał o swoich zmartwieniach, na twarzy jego malowało się zadowolenie, podnosił dymiące kartofle do ust i, nie doczekawszy się, aż wystygną, łykał je, jak indyk...

Parobcy skończyli i kolejno wracali do roboty. Witek trwożnie obejrzał się na matkę, która z pomocą Franki rozpoczęła zmywanie, i także wysunął się z izby.

Na dziedzińcu zatrzymał się, niepewny, w jaki sposób użyje wolnego czasu. Wtem od strony dworu, z za krzaków, w których rano obrał sobie punkt obserwacyjny, doszły go zmieszane głosy i śmiechy dziecinne. Już nie pamiętał napomnień matki i pobiegł w kierunku głosów, a po chwili brudna jego koszula znikła w zieleni bżów i czeremchy. Wsunął twarz między sztachety i zaczął się przyglądać. Ale z drugiej strony płotu rosły niemniej gęste krzewy, a przy ziemi bujne zielisko. Witek zmienił miejsce. Parę razy mignęła różowa sukienka Franka, ekonomowego syna, albo opadnięte pończochy Michasia, to znów kłusem przebiegła niedaleko niego siwa kucka panicza. Wyraźnie dochodziły go tylko wesole śmiechy i głosy, liczące chórem: raz, dwa! raz, dwa!

Witek napróżno wyteżał wzrok, bo liście zasłaniały przed nim zabawę. W pewnej odległości, pod sztachetami, był dołek, wykopany przez psy, które tamtędy dostawały się na dworski dziedzińiec. Chłopak spostrzegł go, postanowił tam przejść i ukryć się w krzakach. Poszedł więc ku jamie, położył się, wsunął najprzód głowę, potem tułów i prześlizgnął się na drugą stronę jak kret.

Przy tej okazji powalał sobie twarz ziemią, nogi sparzył pokrzywami, a co gorsza, zaczepiwszy koszulę o gałąź, rozdarł rękaw tak, że mu przez wielką dziurę wyglądało ramię. Zafrasował się, ale nie na długo i usiadł w miejscu, z kąd mógł widzieć, a sam pozostać w ukryciu.

Przodem konno jechał panicz z fuzyjką, zawieszoną przez plecy, i przypasaną do boku szablą, która świeciła się w słońcu jak srebro.

Objężdżał klomb z dużą bardzo lipą w środku i rosnąciami wokoło krzakami piwonii, a za nim parami szły dzieci: Franek ekonoma, Władzio, Walek i Antek ogrodnika, dwóch chłopaków gospodyni, na końcu sam jeden ciągnął lokajowy Michaś, a wszyscy czysto ubrani, jak w niedzielę do kościoła. Szli krokiem, przyciskając do ramion ostrugane tyki, albo na rozkaz panicza biegli kłusem za jego siwką, licząc: raz, dwa! i śmiejąc się na cały głos.

Witek, zapatrzony, zasłuchany, coraz bardziej wysuwał się z za krzaka; a ile razy dzieci się zaśmiały, i on wybuchnął śmiechem.

— Stój! — zakomenderował panicz. Dzieci zatrzymały się... Panicz zdjął z ramienia fuzyjkę i nabił ją kapiszonem. Przed oczyma zachwyconych widzów błysnęło i rozległ się słaby trzask...

— O la Boga! — zawołał Witek, nie mogąc już dłużej powstrzymać zadowolenia.

Leżący przy ganku łaciasty wyżeł podniósł się. Z głową schyloną, jakby węsząc zwierzynę, pobiegł ku krzakom, w których siedział Witek, i groźnie wyszczerzył na niego zęby. Przestraszony chłopak cofnął się, pies rzucił się za nim...

— Leżeć, Trezor!—zawołał panicz, który właśnie tamtędy maszerował na czele swojego oddziału.

— Kto to jest?—spytał, spostrzegając wśród zieleni brudną twarz i szarą koszulę chłopca.

Dzieci podbiegły.

— To Witek z kuchni — odpowiedziały chórem.

— To dobrze; chodź tu! akurat brakuje mi żołnierza.

Witek stał onieśmielony. Z pod daszka oberwanej czapki oczy jego z zachwytem patrzyły na panicza i zgromadzone dzieci.

— No, chodź, prędko!

Witek spuścił głowę i nie ruszał się...

— Jaki ty głupi!—odezwał się Franek ogrodnika—chodź-że, kiedy cię panicz woła.

Witek zdecydował się wyjść z krzaków.

— Weź tam tyczkę z pod ławki, przyłóż do ramienia, tak!

Chłopiec usłuchał.

— Stań rzędem z Michasiem, rozumiesz? Jak powiem: raz, podnieś prawą nogę; jak powiem: dwa, lewą, i tak idź w szeregu.

Obawy Witka pierzchły, przyciskał zaimprovizowany karabin do ramienia i maszerował z rozpromienioną twarzą. Kiedy zaś panicz zawołał:— Biegiem! — spełnił rozkaz z taką gorliwością, że złamał szereg i wysunął się przed innych, a rozdarty rękaw jego koszuli powiewał jak chorągiewka.

Obiegali już po raz trzeci trawnik, pot lał im się z twarzy, ale wesołość i ochota nie ustawały.

— Adasiu, możebyście teraz zjedli podwieczerek?—zapytał głos jakiś z ganku.

— Jeszcze nie, za chwilę—odpowiedział panicz z obojętnością dziecka, które nie bywało głodne.

— Podwieczerek, to tu i jeść dostanę!—pomyślał Witek, ocierając ręką spoconą twarz, i rzucił okiem w stronę ganku. Poza gęstymi liśćmi dzikiego wina było widać stół, nakryty obrusem, a na nim kosz, pełen bułek, i duży ser na półmisku. Witkowi zaśmiały się oczy i z podwojoną ochotą kłusował też za siwką panicza.

Po chwili stanęła na ganku pani z rudemi włosami, ubrana w ciemną suknię, i spytała o coś Adasia dziwnym językiem, którego nie rozumiało żadne z dzieci. Na widok dorosłej osoby Witkowi

zrobiło się markotno, ale maszerował dalej, jak im kazał panicz. Pani znikła, a na jej miejscu ukazał się stary lokaj, Jan, w szarej kurtce z zielonemi wyłogami, i szedł prosto ku niemu.

— A nie pójdziesz ztąd, obdartusie! — zawołał, biorąc Witka za kołnierz od koszuli.

Pod chłopcem zadrżały nogi, tyczka wypadła mu z rąk...

— Patrzajcie go, taki kocmołuch będzie się rwał do zabawy z paniczem! — ciągnął dalej z oburzeniem lokaj — ruszaj ztąd, chamskie nasienie!

Witek nie wiedział, co począć; chciał uciekać, ale na karku ciążyła mu ręka lokaja. Spuścił głowę, sądząc, że lada chwila spadnie na niego druga ręka i zostawi na plecach bolesną pamiątkę.

— Jazda! — zawołał lokaj, popychając go ku furcie.

Znalazłszy się za nią, Witek stanął. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co zaszło. Czuł tylko radość na myśl, że uniknął bicia. Spojrzał znowu w stronę dworu. Tomek, stajenny chłopiec, odprowadzał kuca, a dzieci, zgromadzone pod zamkiem, dostawały od rudowłosej pani po bułce i dużym kawałku sera. Ucałowały jej ręce i rozbiegły się po dziedzińcu.

— I ja byłbym dostał — pomyślał Witek.

— Kocmołuch! — zabrzmiało mu nagle nad uchem. Franek ogrodnika z podwieczorkiem w je-

dney, a tyczką w drugiej ręce, zbliżył się do niego i ze śmiechem powtarzał słowa, przed chwilą zasłyszane od lokaja.

— Obdartus! — zawtórowali mu, nadbiegając, inni chłopcy — brudas! — i zaczęli skakać wokoło Witka, kłóć go tyczkami w plecy, targać za płowe kudły, wyglądające z pod czapki. W końcu Władzio ekonoma schwycił za podarty rękaw i wydarł mu go do szczytu.

Witek ciągle stał jak wryty, nie rozumiejąc powodu napaści, jak nie rozumiał wypędzenia ze dworu. Nagle zaczął uciekać, a chłopcy za nim, wciąż wrzeszcząc w niebogłosy: obdartus, kocmołuch, brudas!

Rozjaśniło się w umyśle dziecka — pojęło, że urągają jego bosym nogom i podartej koszulinie. Zdjęła go wielka żalność i rozplakał się. Jak zajac, ścigany przez charty, biegł w stronę kuchni, do matki, jedynej istoty, która go czasem przygarnęła z pieczyotą.

Skończywszy zmywanie statków, Wojtkowa usiadła na progu, ażeby wyprostować zgięty całodzienną robotą krzyż, nacieszyć zielonością drzew oczy, z których ogień i łzy już wyzarły blask i młodość. Słyszała wesołe śmiechy dzieci — myślała, że i jej chudziątko bawi się z niemi... Nagle ujrzała go, jak pędził zapłakany, a za nim gromada, wrzeszcząca: brudas, obdartus!...

Witek płakał coraz głośniej, wreszcie zobaczywszy matkę, przypadł do jej kolan, ukrył twarz w fartuchu i zaszlochał:—matulu, o la Boga, matulu!—takim głosem, że jej ledwie serce nie pękło.

— Co się tobie stało?—pytała Wojtkowa, nie mogąc z niego słowa wydobyć.

— Wygnali mnie!

— Zkąd?

— Ze dworu!

— A co, nie gadałam? — rzekła gniewnie.— Trza ci było tam łązić? Poczekaj, nieraz cię oni jeszcze sponiewierają i gorzej.

Chłopak łkał wciąż...

— Po coś tam chodził? — spytała po chwili.

— Panicz zawołał do zabawy, a lokaj przyszedł i wyгнаł mnie...

Wojtkowę aż coś ukłóło w serce.

— Za co?—spytała krótko.

— Żem bez odzienia!—szlochał Witek.—Obdartusem mnie wyzywał, kocmołuchem, a tamci posłyszeli i widziwiają.

Matka bezwiednie zaczęła głaskać tulące się dziecko i przycisnęła je mocno do siebie, a oczy jej z pod zaczerwienionych powiek błysnęły gniewnie.

— Nie płacz — rzekła stanowczo, — będziesz miał odzienie.

Witek podniósł głowę i z niedowierzaniem spojrział na matkę.

— Jutro ci kupię w miasteczku kapotę, buty i nową czapkę; nie będą cię już wyzywali. Nie gorszyś od innych; jak cię panicz zawoła do zabawy, pójdiesz, tak samo, jak oni.

Witek uspokajał się i siedzieli jakiś czas w milczeniu, tuląc się do siebie.

— Już i dziecko zaczynają poniewierać, jak sponiewierali ojca—szepnęła Wojtkowa. I znowu ocknęły się w niej dawne zale.—Było to za co oddawać chłopca do wojska, że po pijanemu gębę rozpuścił — myślała. — Żeby nie to, nie byłoby dziś dziecko obdartusem.

Spojrzała w górę i westchnęła.

— Czas kolacyę gotować — rzekła, usuwając Witka, i wstała.

Po chwili wyniosła chłopcu kawał świeżego chleba.

— Naści—rzekła,—podjedz se...

Witek wziął chleb, utopił w nim białe zęby i zdawał się być pocieszony.

Wieczorem, wydawszy parobkom kartofle, które niezmiennie zjawiały się na czeladnim stole, Wojtkowa raźniej naciągnęła czerwoną chustkę na włosy, na usmoloną koszulę zarzuciła zapaskę i wyszła. Skierowała się ku parterowej oficynie, gdzie mieszkał ekonom; po kilku schodkach weszła na ganek z daszkiem, a potem do sieni. Na prawo przez uchylone drzwi zobaczyła obok dymiącej

wazy panią ekonomowę ze spoconą twarzą i dzieci w różowych sukienkach. Drzwi na lewo prowadziły do kancelaryi, gdzie pod oknem, popstrzonym przez muchy, widać było wielki stół, zaś obok na ścianie pęki rejestrów gospodarskich, a między nimi ogromny bat na sarniej nodze, regulator pańszczyźnianych stosunków.

Kiedy Wojtkowa weszła, pan ekonom z czerwoną twarzą i w rozpiętej koszuli układał do szuflady dopiero co skończone rachunki.

— Czego?— spytał na widok kobiety.

— Niech będzie pochwalony— odpowiedziała Wojtkowa, kłaniając się ręką do ziemi.

— Na wieki!... a gadaj, bo mi się śpieszy— rzekł ekonom.

— Przyszłam wielmożnego pana prosić o pieniądze.

— Co za pieniądze? przecie do kwartału daleko.

— Kiedy mi trzeba.

— Co ty mi głowę zawracasz... i na cóż ci teraz pieniądze?

— Trza sprawić chłopakowi odzienie — stanowczo odparła Wojtkowa.

— Oszalała baba! na lato będzie chłopaka ubierać.

— Kiedy nie chcę, żeby go tak poniewierali.

— Kto poniewiera?

— A juści, że poniewierają... Panicz go dziś zawołał do zabawy, a bestya lokaj wygnał i wyzywał od obdartusów.

— To niech nie łązi do dworu—odpowiedział ekonom. — Ot, lepiej ci powiem, że go wezmę do gęsi. Jędrək poszedł do cieląt, akurat mi chłopak potrzebny. To i będzie miał zabawę.

— Kiedy, proszę łaski pana, on jeszcze mały.

— Co za mały, wieleż ma?

— Ośm roków skończy na święty Jan.

— Ojej, mniejsze dzieciaki gęsi pasą. No, idź już, Wojtkowa, i weź na rozum—reflektował ją ekonom, zasuważąc szufladę. — Żołnierska żona, mąż może o pieniądze napisze, a ty chłopakowi będziesz w lecie odzienie sprawiać! Wieleż ci się jeszcze zasług należy?

— Siedmdziesiąt złotych; przez ten rok tylko dziesięć wybrałam.

— Zaczekaj do Matki Boskiej Siewnej, na jarmarku w gubernii i taniej i lepsze dostaniesz. A teraz idź z Bogiem—dodał, otwierając drzwi—i nie zapomnij chłopca w poniedziałek przysłać do gęsi. A niech się nie spóźnia, bo mu skórę wytrzępię—dodał i zamknął na klucz kancelaryę.

— Ot dola! — pomyślała, wracając, Wojtkowa — nietylko dziedzic, ale i ekonom znęca się nad człowiekiem. Nie zechce ci oddać twoich pieniędzy, to nie odda; podoba mu się wygnać chłopca do

roboty, to i wygna. Psu lepiej na świecie, bo jest wolny, żeby ino swoje odszczekał...

Kiedy Wojtkowa weszła do kuchni, słabo oświetlonej blaskiem łuczywa, Franka klęczała u swego łóżka i mówiła pacierz, przerywany głośnym ziewaniem, a Witek, podwinąwszy nogi pod siebie, siedział na skrzynce i szeroko otwierał oczy, które mu się gwałtem kleiły do snu...

— Ot i masz odzienie, masz zabawę!—rzekła Wojtkowa do chłopca, zrzucając z siebie zapaskę.

— A co?—spytał Witek.

— Nie dał ekonom pieniędzy, a od poniedziałku pójdziesz gęsi paść!...

Witek zaczął pocierać oczy, które dziś już tyle łez wylały; sam brzęk ekonomskich kluczy wprawiał nogi jego w szybki bieg, zaś perspektywa wejścia z nim w bezpośrednie stosunki przejmowała go trwogą.

— No, cicho—głaszcząc po głowie, pocieszała go Wojtkowa;— na Matkę Boską Siewną dostaniesz sukmanę.

— A kiedyż to?

— Jeszcze z kwartał będzie.

— Ojej, tak długo czekać!—I Witek znowu zapłakał.

— Nie maż się, to pojedziesz na jarmark do miasta.

— Do Podgórza? — zapytało dziecko, podnosząc głowę.

— Ale, do gubernii.

— A co za jedna gubernia? — znowu pytał Witek, któremu się już spać odechciało.

Franka zrzuciła z siebie spódnicę, wsunęła się pod płachtę i po chwili zaczęła głośno chrapać, a Wojtkowa, ustawiając rądle i statki, odpowiadała na pytania chłopca.

— Gubernia, synku, to wielkie miasto, ze sto razy większe od Podgórza. Domy tam stoją przy sobie we dwa rzędy, jak ludzie na procesyi, a wszystko ślicznie malowane.

— Jak dwór? — wtrącił zasluchany Witek, dla którego dwór był jedynym punktem porównania.

— Gdzie, ładniejsze! Dwór biały, a tam są czerwone, żółte i zielone, a wysokie jak nasz kościół. Tam na jednym domu stoi drugi, na drugim trzeci, ludzie nad ludźmi mieszkają.

— Jakże to?—dziwił się chłopak.

— Tak już oni mądrze te domy murują. Same okna to tyle, co drzwi w chałupie, a świecą się jak rosa na słońcu.

— To ci dopiero!

— Cóżes ty myślał?—ciągnęła dalej Wojtkowa, zapalając się własnym opowiadaniem.—A jakie kościoły, bo to ich tam kupa. W jednym jest Pan Jezus ukrzyżowany, co mu włosy odrastają,

a jak co niedzielę zaczną dzwonić we wszystkie dzwony, to na milę wokół słyhać. Sumę nie jeden ksiądz odprawia, ino trzech, wszyscy w karpach, że aż oczy mrużysz... a granie, żebyś nie wiem jaki wesół do kościoła przyszedł, to się musisz spłakać.

— A dużo ludzi w gubernii?

— Ojej! Na jarmark to się ich złazi jak much na piec! A krzyk, a hałas, a wozy turkoczają, że choć uszy zatykaj. Tam na drodze nie piasek, ino kamienie, gęsto poukładane, jak ziarna w kłosach. Nazjeżdża się bryczek, powozów, bo i państwo na jarmarku bywają. Zobaczysz nie jednego dziedzica, ale ze stu. Zresztą w mieście i tak żyją tylko panowie; najbiedniejszy lepiej się odzieje niż sam ekonom i nikomu nie ustąpi. Nie tak, jak chłop.

— A co tam je na jarmarku? — natarczywie pytał Witek.

— Czego tam niema na rynku, czego tam niema!—prawiła Wojtkowa, rozbierając się.

— Buty są?

— Ojej! Górebys z nich usypał, jak ta za stodołą.

— I sukmany są?

— I sukmany, i czapki!... żeby z dziesięciu wsi ludzi przyszło i zakupiło, jeszczeby zostało. A wstążek i paciorków korcamibys nie namierzył. Garnki są takie śliczne, polewane, miski rozmaite,

stągwie... a jakie zabawy, to ino oczy wytrzeszczyć i patrzeć.

— Jakie zabawy? — nalegał coraz bardziej zainteresowany Witek.

— Eh, daj mi ta spokój!—ziewając, odparła Wojtkowa—czas spać. Legaj i ty!

Chłopak usłuchał, a ona uklękła do pacierza, wreszcie zgasiła łuczywo i, stękając, powlokła się do łóżka.

Kiedy w poniedziałek szary brzask poranku zajrzał w okno, Wojtkowa byłaby przysięgła, że dopiero skończyła zmywanie i położyła się spać, tak mało czuła się wypoczętą. Zapaliła w piecu i nastawiła śniadanie. Franka poszła do świń, jeden tylko Witek spał skulony na skrzyni.

— Witek!—zawołała na niego matka.

Chłopak coś mruknął i, przeczuwając, że ranek chłodny, przewrócił się na drugi bok.

— Wstawaj, bo cię ściągnę!—rzekła Wojtkowa, uwijając się koło komina. Czekwała jednak na wykonanie groźby, aż się ugotuje śniadanie, bo jej w gruncie żal było dziecka, że się nie może wyspać.

Wreszcie i śniadanie było gotowe, lada chwila mogła zejść się czeladź, a Witek wciąż spał.

— Będiesz na jarmarku, będziesz miał odzienię, poczekaj! — odezwała się znowu.—A jeszcze ino patrzeć, jak tu ekonom przyjdzie z batem.

Witek podniósł się ociężale i stanął obok skrzyni, przecierając oczy.

— Czego stoisz? odziewaj się! — zawołała matka.

Witkowi wyraz ten wydał się dziwnym.

— W co mam się odziać?

— A to nie widzisz, żem ci kapotę zgotowała? — odparła Wojtkowa — przecież nagi nie pójdziesz w pole.

Wzięła z łóżka stary swój kaftan, pokryty różnobarwną mozajką łat i dziur, i włożyła go chłopcu.

Z tyłu „kapota“ wlokła się po ziemi, z przodu wznosiła się na wydętym brzuchu dziecka i roztwierała na brudnej koszulinie. Witek przewiązał ją w pasie krajką i długie rękawy zawinał po łokcie. Już był gotów. Nie przyszło mu nawet na myśl umyć się...

O ile było ciepło, kąpał się z innymi chłopakami w rzece, w przeciwnym razie pozostawał nieumyty nawet w niedzielę. I tak, z powodu braku garderoby, nie chodził do kościoła — po cóżby więc miał zadawać sobie tyle trudu?

Wojtkowa podała synowi miskę z gorącym zurem i wsunęła w rękę duży kawał razowego chleba.

Witek zajadał z apetytem, a ona stała chwilę i patrzyła na swego jedynaka. Pomimo guzów

i sińców, które mu nieraz nabijała, okrutnie miłym jej był ten chłopak.

Niedługo jednak trwało rozczulenie.

— No, teraz zabieraj się, a szparko! — zawołała.

Witek wstał, otarł ręką usta, nasunął czapkę, w której zmieściłyby się dwie takie głowy jak jego, i wyszedł; matka wyglądała za nim przez uchylone drzwi.

Ranek, choć majowy, był chmurny i mglisty, a powietrze przesiąknięte wilgocią. Niebo i ziemię powlekała jednostajna, szaro-błada barwa, przez którą nie przebijał ani jeden jaśniejszy punkt. Witka już na progu chłód owionął; zawahał się, ale nadzieja, że na Matkę Boską Siewną pojedzie na jarmark, dodała mu odwagi. Z pomocą Franki wypuścił gęsi z chlewa i popędził je przez podwórze na gościniec...

Wieś, wyciągnięta po obu jego stronach dwoma rzędami wybielonych chat, budziła się...

Z kominów wił się dym; przez chwilę szedł w górę, potem opadał i nisko słał się po ziemi. Koguty piał, bydło przeciągłem ryczeniem witało dzień nowy; gdzieś skrzypnęły wrota, błysnął rozpalony na kominie ogień, doleciał odgłos rozmów... Tu i owdzie siedziała przed chatą baba i doiła krowę, która wodziła dokoła zaspanym

wzrokiem, a potem pogrążała głowę w stojący przed nią ceber.

— Patrzajcie go, jaki pastuch! — zawołała jedna z bab na widok Witka, który pędził przed sobą skupione i hałaśliwie gęgające stado.

Chłopak z zadowoleniem obejrzał się...

— To już do gęsi nastależ? — zaczepiały go dziewczęta w czerwonych chustkach na głowie, idące do rzeki po wodę. †

— A juści! — odparł z dumą — ekonom kazali na miejsce Jędrka.

— Bóg ci dopomagaj!

— Daj Panie Boże!...

Witek, pogwizdując, minął wieś, dziurawy most i znalazł się po drugiej stronie rzeki. Powoli mgła przykryła budynki gospodarskie, a nawet kościół i lipy dworskiego ogrodu. Z poza gęstej zasłony sterczały, jak cienie, wysmukłe topole, które górowały nad wieżyczką kościoła i połyskującym na niej krzyżem. Wkrótce i to znikło. Witkowi było markotno i zwolnił kroku. Szedł jakby w kotlinie, zamkniętej bezbarwnem sklepieniem. W naturze panowała cisza; żaden dźwięk nie miał siły przedrzeć się przez grubą warstwę mgły. Chwilami tylko fala słabo uderzała o brzeg, albo zaszumiął ptak, lecący nisko nad ziemią.

Nie pierwszy to raz Witek widział mglisty poranek, zanurzał nogi w mokrej trawie i ziąął

w nędznem swoim ubraniu; ale nigdy jeszcze nie było mu tak straszno... Przerażała go samotność. Nie mógł nawet dojrzeć gęsi, idących o parę kroków.

— Nuż się rozbiegają, która zginie, albo w szkodę wejdzie! — myślał z trwogą. Zbierało mu się na płacz, nie śmiał się cofnąć, a bał się iść dalej. Stanął, ale na myśl, że gęsi oddalają się od niego, znowu pobiegł naprzód. Trzymał się piaszczystych brzegów rzeki, która płynęła leniwie, wijąc się, niby olbrzymi wąż... Wreszcie zatrzymał się, poznawszy miejsce, gdzie zwykle Jędrak pasał gęsi i gdzie on sam chodził do niego na zabawę.

Nad wodą, jakby przeglądając się w niej, stały dziwnie pokręcone wierzby i olszyny, porośnięte twardym liściem. Gęsi z krzykiem wzniosły się do lotu i, szeroko machając skrzydłami, opuściły się na rzekę. Uczuwszy pod sobą chłód jej fal, umilkły i z powagą popłynęły naprzód, zanurzając czerwone dzioby i długie szyje.

Witek usiadł na pniu wierzby, rosnącej tak pochyło, że zwieszona jej gałęzie kąpały się w wodzie, podwinął pod siebie nogi, naciągnął na nie matczyne kaftan, nazywający się jego kapotą, i czekał, rychło się rozjaśni i ociepli.

Powoli mgła rozdarła się na części. Strzępy jej unosiły się jeszcze nad wodą, słały nad bagniami

stemi łąkami i otulały szczyty lasu, który czernił się w dali... Słońce, jak załzawione oko, wyjrzało z za chmur, załamywało się w kroplach rosy i grzało Witka.

W miarę jak robiło się jasno i ciepło, obawy chłopca pierzchły i wesołość wstępowała mu do duszy. Kiedy stado wyszło z wody, Witek spędził je do kupy i legł niedaleko na trawie...

Ale niedługo wytrwał w tem położeniu. Czuł, że go sen morzy, a tu gęsi jakby uwzięły się na niego. Co usiadzie, to jedna z nich wyjdzie na przód i, zataczając się, biegnie w stronę młodej pszenicy, a inne za nią. Witek zrywa się, zadyuszany goni, doprowadza do porządku; ledwie ma czas odetchnąć, już znowu praca.

Słońce wznosiło się coraz wyżej i porządnie dopiekało, a w dodatku zaczął Witkowi dokuczać głód. Przy kuchni był zwyczajny, że mu matka wsunęła to kartofel, to kromkę chleba, a dziś od świtu nic nie miał w ustach...

Spojrzał w górę, już niedaleko południe, ale ludzie jeszcze w polu pracują. Musi czekać, aż zadzwonią na obiad; dałby mu ekonom, gdyby zobaczył, że wcześniej wraca! Na myśl o ekonomie trwożnie obejrzał się za gęśmi. Wszystko było w porządku. Chcąc skrócić czekanie, zaczął przypominać sobie dziwne, o których opowiadała matka. Patrzył na dwór, wynurzający się z zieleni po

przeciwległej stronie rzeki, i nie mógł pojąć, że w mieście są piękniejsze domy.

Dzwon w kościele odezwał się na Anioł Pański, a w chwilę później zawtórował mu drugi, zawieszony przy oficynie ekonoma, i zaczął zwoływać ludzi na obiad.

Witek zebrał gęsi i szybko poszedł ku domowi.

W kuchni już zastał czeladź, dla której Wojtkowa wysypywała kartofle na miski. Aż uśmiechnął się, tak mu zapachniały.

— Patrzajcie, pastuch przyszedł! — zawołał jeden z parobków.

— Dawać go tu, niech siada na ławie! — śmiejąc się, odpowiedział drugi i, podniósłszy Witka, posadził przed stołem, do którego ledwie sięgała broda chłopca.

— Naści! kiedyś pastuch, będziesz miał swoje naczynie — rzekła matka, stawiając przed nim miskę pełną kartofli i nową drewnianą łyżkę.

Witek przekonał się, że nowa jego godność ma swoje dobre strony, i zajadał z apetytem. Ale kiedy po obiedzie parobcy rozeszli się i matka zaczęła go napędzać, by wrócił do gęsi, zrobiło mu się znowu markotno. Taki kawał drogi przez wieś i most, w rzece jeszcze dużo wody, wbród przejść nie można, a żar leci z nieba, choć to dopiero maj.

— No, ruszaj! — zawołała Wojtkowa, widząc, że się chłopak ociąga — zara tu ekonom zajrzy...

Słówko to zawsze dokazywało cudu. Witek wstał i, ziewając, wyszedł.

Popołudnie zeszło mu nadspodziewanie wesoło...

Zebrali się wokoło niego na łące zwykli towarzysze zabawy, dzieci parobków, bose, obdarte, z wzdętymi od kartofli brzuchami i niebieskimi oczyma pod płową czupryną, akurat takie same jak on... Wspólnie pilnowali gęsi, przyniesionym przez jednego kozikiem strugali fujarki, poczubili się parę razy, a potem leżeli nad rzeką i przyglądali się rybom, pływającym w nadbrzeżnej wodzie.

— Nauczę ja was zabawy! — zawołał wreszcie Witek, powstając. Za nim podnieśli się inni.—Będziem robili wojsko, jak panicz.

— A ty zkad wiesz?

— Bom się bawił z paniczem—odparł—i jeszcze będę się bawił, jak mi matula sprawią odzienie.

— Odzienie?—powtórzyły dzieci z niedowierzaniem.

— A juści! kupią mi na jarmarku w gubernii... i mnie wezmą na jarmark—odpowiedział Witek i patrzył z uczuciem wyższości na dzieci, które słuchały go, otwierając usta z podziwu.

— Całe odzienie? — odezwał się z zazdrością Stasiak, sześćioletni syn owczarza z konopną czupryną i zamorusaną twarzą.

— A juści! buty, sukmanę, czapkę, wszystko dostanę i będę chodził do dworu na zabawę.

— A jakże się tam bawią?

— Zara wam pokażę. Szukaj mi, Walek, kija, ino dużego!

Witek przyjął ton dyktatorski, a dzieci słuchały go z poszanowaniem, należnem chłopcu, który dzieli zabawy panicza, wybiera się na jarmark do gubernii i już gęsi pasie.

I rozpoczęła się gonitwa, w której Witek był paniczem, kij koniem, a reszta dzieci, bez różnicy płci—wojskiem.

Tak upłynął pierwszy dzień służby Witka w Babcicach.

W następstwie działo mu się rozmaicie.

Nieraz, szturchańcem zbudzony przez matkę, płacząc, wypędzał gęsi w pole, nieraz drżał na widok ekonoma, zapoznał się nawet z jego batem, często aż go w dołku ścisnęło z głodu. Czasem słońce go paliło, albo deszcz zmoczył do nitki. Raz przyszła burza, spadł grad wielkości grochu i porządnie wysmagał go po głowie i plecach. Kiedyś nawet piorun uderzył niedaleko niego w wodę. Huk był tak wielki, że chłopak upadł na ziemię i myślał, że go zabiło... Długo nie miał odwagi

podnieść głowy, a kiedy w południe wrócił na obiad, był jeszcze tak wylekniiony, że nie mógł jeść.

W pierwszych czasach bał się wszystkiego — nieznamy pies wydawał mu się podejrzanym; a kiedy raz wypadło mu paść na łące pod lasem, oglądał się na wszystkie strony, myśląc, że z boru wyjdzie wilk z czerwonymi ślepiami i porwie gęś, albo i jego samego.

Lecz stopniowo oswajał się z samotnością. Czasem cały dzień upływał, żadne z dzieci do niego nie przyszło, a on siedział, śledząc oczyma stado i marzył: o wielkiem mieście, w którym ludzi jak mrowia, a wszystko bogato odziani; gdzie domy wysokie jak kościół stoją jedne na drugich; o panu Jezusie, któremu odrastają włosy, a nadewszystko o jarmarku, na którym bywa po stu dziedziców i są takie zabawy, że można na nie oczy wypatrzyć!

— Kiedy ja to zobaczę! — myślał, a wieczorem pytał matkę: — Daleko to, matulu, do jarmarku?

— Oj, daleko, jeszcze dziesięć tygodni; przecie dopiero od trzech niedziel chodzisz na robotę.

Któregoś wieczora, siedząc z matką na progu izby, zapytał:

— A jakie to są, matulu, zabawy w gubernii, coście gadali?

Wojtkowa była w dobrym humorze, więc, głośząc go, odpowiedziała:

— Różne tam są uciechy, huśtawki wielkie.

— Jak we dworze?

— A juści! i takie, co się same kręcą, okrągłe; wokoło konie drewniane, siadają na nich chłopaki i jeżdżą.

— A ja na takim usiądę?

— Co nie masz sięś, jak zapłacisz.

Witek głośno zaśmiał się...

— A jeszcze co?

— Sztuki tam pokazują.

— Co za sztuki?

— Wyjdzie ci jeden komedyant taki wielki jak dąb, na nim stanie drugi, na drugim trzeci, a później powalą się na ziemię i kręcą się wszyscy razem jak koło.

— Patrzajcie go!

— Abo ci wyprowadzą człowieka małego; tyli będzie, co Tomek stangreta, myślisz, dziecko; patrzysz, a to stary, zmarszczki ma na twarzy i brodę.

— A jeszcze?—pyta nienasycony Witek.

— Bywają tam i tacy, co z niedźwiedziami chodzą.

— A co to niedźwiedź?

— To taki zwierz straszny, co się po wielkich borach gnieździ.

— A duży on?

— Tyli, co spory cielak; kudły ma jak u czarnego barana.

— A czy on bodzie?

— Nie bodzie, ino szarpie pazurami i kąsa; ino spojrzeć, jaż człowieka mrowie przechodzi. A tamten go prowadzi jak źrebaka; zabębni mu, a niedźwiedź staje na zadnie łapy, jak pies, i służy; weźmie kij do garści i tańczy.

— To ci bestya mądry!

— Mądry, bo go uczą mądrości; nie pędzają za gęśmi, jak ciebie — dodała z westchnieniem i wstała.

— I tyle, matulu? — pytał Witek, któremu opowiadanie wydało się zanadto krótkiem.

— A cóż ja całą noc mam gadać? Sprawuj się dobrze, to sam zobaczysz.

— A daleko to jeszcze do tej Matki Boskiej Siewnej?

— O, jeszcze dwa miesiące, aż het po żniwach—odpowiedziała.

Witek westchnął i położył się spać... Nazajutrz, wyszedłszy w pole, ciekawie przyglądał się zbożu, które zaczęło już plowieć. Im więcej słyszał o cudach miasta i jarmarku, tem większa ogarniała go niecierpliwość. A kiedy pomyślał, że nietylko zobaczy to wszystko, ale jeszcze przyjedzie odziany, nie posiadał się z radości...

Czasem dochodziły go z dworskiego dziedzińca odgłosy zabaw panicza.

— Niedługo i ja tam pójdę—myślał.

Któregoś dnia po południu widział zdaleka panicza, panienki i panią z rudemi włosami, idących do lasu na grzyby, a za nimi dzieci ekonoma z koszykami w ręku.

— Po Matce Boskiej i ja tak będę chodził— przyszło mu na myśl... Wyobrażał sobie, że z chwilą, kiedy dostanie odzież, będzie brał udział we wszystkich zabawach dworskich dzieci. Nie wiedział, że już się skończyły dla niego chwile swobody. Koło pracy pochwyciło go i nie wypuści do śmierci.

Niekiedy, pragnąc dobitniej pokazać bawiącym się z nim chłopcom, jakie to sztuki zobaczy na jarmarku, udawał przed nimi straszego zwierza, o którym mu opowiadała matka, albo kazał jednemu z nich włożyć sobie na plecy. Padali razem, wywracali koziółki na trawie, cieszyli się wszyscy, a on żył przewidywaniem i nadzieją. Na górkach już zboże dojrzewało, a Witek liczył tygodnie, dzielące go jeszcze od Matki Boskiej Siewnej.

Przyszło wreszcie zniwo. Fornalki, zaprężone czwórką, zwoziły snopy do stodoły, bydło pasło się na ogołoconych polach, które potem pługi poorwały w czarne zagony. Ranki i wieczory sta-



wały się chłodne, czuć było w powietrzu zbliżającą się jesień,

— Kiedyż to tej Matki Boskiej?—pytał Witek, widząc, że już w polu sieją.

— A niedługo: zara po tej niedzieli, co będzie—odpowiedziała matka.

Wielki już był czas—kapota Witka zdarła się do szczytu, przeglądała mu przez nią koszula, a Wojtkowa łątać nie miała czasu; wreszcie nie warto—niedługo dostanie nową.

Nieraz go jeszcze dzieci zaczepiały i przezywały obdartusem, ale on już nie brał tego do serca.

— Obaczycie — myślał, — jaką to ja galantą sukmanę z jarmarku przywiozę.

Nadszedł wreszcie tak niecierpliwie oczekiwany początek września.

W wigilię dnia, w którym ludzie mieli wyruszyć do miasta, Witek, wracając wieczorem z gęśmi, znalazł przed oficyną stary pantofel ekonomowej. Przywiązał go do nogi powrózkiem i, zapędziwszy stado, zaczął w nim biegać po dziedzińcu. Pierwszy to raz doświadczał przyjemności stąpania po kamieniach skórą wołową, a nie własną. Miał złudzenie, że już dostał buty; mocniej opasał się krajką i udawał chłopą, który, idąc do kościoła, mruczy pacierze.

— Witek!—zawołała matka—chodź do izby.

Chłopak przybiegł, potykając się na swoim pantoflu.

— Zjedz i połóż się, przecie jutro będziemy całą noc jechali — rzekła Wojtkowa, dając mu miskę z kartoflami.

— Już jutro, na jarmark? — powtórzył Witek i zaśmiał się na cały głos... — Na drugą niedzielę już będę odziany — odezwał się, podnosząc do ust łyżkę. — A kupię mi matula wstążeczkę do koszuli? A będzie na jarmarku ten zwierz, co matula mówili, że tańczy?

Wojtkowa wyszła dowiedzieć się, dlaczego dziś czeladź tak się późni, a Witek, widząc, że nie wydobędzie z matki odpowiedzi, położył się na ławie i usnął.

Niedługo przyszli parobcy. Rozsiadali się — jeden na ławie, drugi na zydlu, trzeci na pieńku, byle prędzej dać spoczynek zmęczonemu ciału.

— Cóż to, dziecko chcesz przysiąść? — zawołała Franka do jednego z fornali. — Nie widzisz, że Witek leży?

— To go se zabieraj, kiej twój — odparł chłop ogromny i ponury; — stojący jeść nie będę — i gniewnym ruchem chciał zrzucić skulone dziecko.

— Niechaj go! — odezwała się od komina Wojtkowa — nie rozumiesz, że chłopak naśkikał się cały dzień za gęsiami i chce spać?

— Niech se śpi — odparła Franka, i wzięwszy dziecko na ręce, zaniosiła je na swoje łóżko.

Witek otworzył oczy, ale po chwili znowu usnął twardym snem...

Chłopi milczeli, słyhać tylko było uderzenia drewnianych łyżek o miski i głośne dmuchanie w kartofle.

Obsłużwszy czeladź, Wojtkowa usiadła na progu; ale zaledwie przełknęła kilka łyżek, odstaawiła od siebie miskę i zabrała się do zmywania, mrużąc:

— Psie życie! haruj cały dzień, a jak przyjdzie wieczór, już ci się nawet żreć nie chce!

Po wyjściu parobków, Franka, chcąc się sama położyć, wzięła chłopca ze swojej pościeli i przeniosła go na łóżko matki.

Wojtkowa kończyła sprzątanie, a robiła to nietyle dokładnie, ile hałaśliwie, jakby mszcząc się na niewinnych statkach za swoje zbolełe kości. Myślała o czekającym ją wydatku i układała sobie plan na jutro.

— Trza po obiedzie pójść do ekonoma i wziąć całe 10 rubli, co mi się należą. Przecie i sobie muszę coś sprawić, jeżeli wystarczy. Mój Boże, ile to się człowiek napracuje na taki pieniądz, a wyda go przez jeden dzień.

Wzdychając, zbliżyła się do łóżka i spostrzegła na niem Witka.

— Co się ten chłopak dziś tuła po cudzych łózkach, jak Marek po piekle—rzekła. Przykryła skrzynię dziurawą płachtą i położyła na niej dziecko.

— Czy to wóz zajechał, matulu? — odezwał się Witek, przecierając oczy.

— Jeszcze nie; śpij, śpij. Przez sen gada—uśmiechnęła się Wojtkowa,—tak mu już na jarmark pilno. Popatrzyła na niego chwilę, potem rzuciła się na łóżko.

Na kominie dopalał się ogień, a przez przyémione szyby okienka zaglądał księżyc. Dziwna, że był jeszcze ciekawy, co się dzieje w tej izbie. Takich izb za dworskim ogrodem ciągnął się długi sznur, a wszystkie były do siebie podobne—nizkie, okopcone, z jeszcze nędzniejszymi sprzętami, a w każdej spało kilka istot jeszcze bardziej zmęczonych, które pierwszy brzask dnia powoła do nowej pracy.

Czy Witka zbudziła twarde skrzynia, wpijająca się w jego boki, czy szelest topoli, które pochylały ku sobie wierzchołki, czy blask księżycy, który jasną smugą padał mu na oczy, dość że się ocknął. Usiadł na swojej pościeli i zaczął myśleć nad wyszukaniem lepszego miejsca. Było mu nie tylko twardo, ale i zimno, szczególnie w bose nogi.

— Żeby to człowiek miał sukmanę, toby se spał w niej, tak psia kość zmarzłem — pomyślał.

Przyzwyczajony sam radzić sobie nawet w większych kłopotach, schylił się, żeby z pod łożka matki wyciągnąć wiązkę słomy, która mu już nieraz służyła za posłanie, lecz tu znalazł współzawodnika.

Łysek, pies podwórzowy, który wiedział, że noce wrześniowe bywają chłodne, zakradł się do izby wieczorem i spał właśnie na tej wiązce. Spróbował warczeniem zaprotestować przeciw wdzieraniu się w jego prawa, Witek mimo to słomę wydobyl, przyciągnął do pieca, zdjął ze skrzyni płachtę, zawinał się w nią i położył. Po chwili wydało mu się, że go ktoś przykrywa ciepłą chustką; to Łysek, zapomniawszy urazy, przytulił się do niego, polizał mu twarz i usnął.

Na to tylko czekały polne myszy, które temi czasy tłumnie przeniosły się do mieszkań, ażeby rozpocząć po izbie głośnie harce. Przebudzona ich hałasem Franka zaczęła odzęgnywać złe, pokutujące w izbie, a Witek, uczuwszy dotkliwy ból w okolicy lewego ucha, zerwał się, wywołując niecierpliwe warknięcie Łyska.

— Latoperz! — szepnął chłopiec, trąc ręką ugryzione ucho.

Skrobanie i szmer pod stołem wszczęły się na nowo.

— Eh, to myszy — uspokoił Witek samego siebie, naciągnął płachtę na głowę i odwrócił się na drugi bok...

Po chwili usnął, ale snem niespokojnym, przerywanym cudackimi marzeniami. Śniło mu się, że ułożył na skrzynce matki dopiero co przyniesione z jarmarku nowe odzienie, a sam wypędził gęsi w pole. Wraca na obiad i już zdaleka widzi na podwórzu Łyska, wrywającego coś pańskiemu wyżłowi. Psy warczą, szczekają, szarpią jeden drugiego. Witek zbliża się i spostrzega, że spór toczy się o jego buty, te nowiuteńkie buty, o których tak dawno marzył, a z których pozostały same tylko podeszwy. Całe cholewy doszczętnie zgryzione. Porywa go taka złość, że zaczyna kopać nogami to jednego, to drugiego psa, a one, jakby naigrawały się z niego, porywają resztki butów i uciekają pędem na dworski dziedzińiec. Chłopak co tchu biegnie do izby, a tam przekonywa się o nowem nieszczęściu: myszy tak mu ścięły sukmanę, że pozostały z niej same strzępy.

Zrozpaczony Witek stęka i rzuca się, a Łysek postanawia nigdy więcej nie dzielić posłania z niesfornym chłopakiem i ostatecznie spycha go ze słomy.

Wyczerpany walką z urojonymi napastnikami Witek budzi się... Głowa mu pała, twarz jest zła-

na potem. Kręci się, nie mogąc znaleźć miejsca, wreszcie zmęczenie przemaga i znowu usypia.

Tym razem marzenia jego są przyjemniejsze. Wrócił z miasta tak ślicznie odziany, że, jak go panicz zobaczył, zaraz zawołał i kazał wsiąść na siwkę. Teraz on dowodzi—nikt go już nie wygoni, nikt nie nazwie obdartusem. Ale co to jest? Ktoś gwałtem ściąga go z konia. Witek broni się zapamiętale i otwiera oczy. Nad nim stoi matka i trzęsie go za ramię.

— Przecie to panicz kazał, matulu!—woła napół przytomny.

— Obudź-że się raz!—odpowiada niecierpliwie Wojtkowa.

— Czy już czas jechać? — pyta Witek, przecierając oczy.

— Ślepie ma otwarte i jeszcze śpi — mówi Wojtkowa.

— Idź do gęsi, dopiero wieczorem jedziemy.

Witek wstaje, ale jest zmęczony i niewyspany, nawet jeść mu się niebardzo chce.

— Sprawiaj się dobrze — woła matka za odchodzącym,— przecie już jutro zobaczysz jarmark.

Witek, popędzając przed sobą stado, myśli, że to jutro chyba nigdy nie przyjdzie.

Nie chce zbyt daleko oddalać się od domu—nużby wyjechali wcześniej i jego ostawili! Siada więc na kamieniu przy drodze i puszcza gęsi na

rżysko. Po niespokojnej nocy morzy go sen; ażeby mu się nie dać, rozgląda się po okolicy. Przed sobą ma gościniec, gubiący się między polami, na prawo duże łąny dojrzałego owsa, na lewo poły-skującą rzekę, za nią dwór, osłonięty winem, które jesień przyoblekła w czerwone barwy,—dalej kościół, a przy nim niską plebanię pod słomianą strzechą.

Po drodze snują się baby z tobołami i trzewikami w rękę, chłopci w odświętnych sukmanach ciągną woły za rogi; podrostki, z zarzuconemi na plecy butami, pędzą przed sobą świnie.

— Już idą na jarmark, a my się spóźnimy—myśli Witek i ogarnia go niepokój; zdaje mu się, że dla niego nie zostanie ani jednej sukmany, ani jednej zabawy, że, nim on przyjedzie, inni wszystko wykupią, nawet wypatrzą.

W kościółku rozlega się dzwon, zwołujący na sumę, który mu przypomina, że on jutro w gubernii obejdzie z matką wszystkie kościoły, przyjrzy się Panu Jezusowi z odrastającemi włosami.

Będzie miał co opowiadać, jak wróci. Tylko żeby prędzej ten wieczór przyszedł. Patrzy w górę, a tu jeszcze niema południa.

Gęsi, nie znalazłszy dostatecznego pożywienia na wydeptanem rżysku, wznoszą się do lotu i opuszczają na rzekę. Witek nie zwraca na nie uwagi—jest tak senny, że już nawet nie zaczepia pytaniami-

mi ludzi, z których jedni idą do kościoła, drudzy na wyładowanych wozach dążą do miasta. Naraz otwiera oczy i spostrzega, że na rzece już niema gęsi. Wyszły na przeciwległy brzeg i skierowały się ku ściegym nieopodal owsom. Wołania Witka nie zdają się na nic... Odwróciły się do niego tyłem i z żarłocznością zajadają.

— A żebyście przepadły! — klnie rozgniewany chłopak; odwiązuje krawkę, zrzuca kaftan i, zardarłszy koszulę, wchodzi do rzeki...

Obawiając się, że ekonom spostrzeże gęsi, które na dobre gospodarują w owsie, wybrał drogę krótszą, choć mniej wygodną, a nawet niezupełnie bezpieczną.

Przez kilka dni padał deszcz, woda przybrała i w miejscach, gdzie niedawno dochodziła mu ledwie do pasa, ma jej po szyję. Idzie jednak odważnie naprzód, kalecząc nogi o ostre kamienie, albo grzęznąąc w błocie, porośniętym trawami. Omija starannie głębokie doły, w które obfituje Babiczka i które już nie jedną ofiarę porwały z pomiędzy wiejskich dzieci. Dobrnąwszy do brzegu, chwytając za gałęź wierzbiny, wyskakuje i biegnie w stronę szkodników. Zbiera je do kupy, grzmocąc kijem najbliższe, zapędza do wody i idzie w ślad za niemi. Wreszcie puszcza je na łąkę, a sam rzuca się pod olszynę. Jest tak zmęczony, że nie myśli nawet o zdjęciu mokrej koszuli... Szczyściem, wrześnio-

we słońce przygrzewa silnie i stara się o wysuszenie Witkowej bielizny. On zaś leży, wystawiając z rozkoszą zziębnięte ciało na ciepłe promienie i pozwoli traci świadomość tego, co się dokoła dzieje. Zdaje mu się, że ptaki śpiewają przyciszonymi głosami, że woda stanęła nieruchoma, odbijając błękit nieba i podłużne smugi obłoków. Nad rzeką gonią się ostatnie w tym roku motyle; roje owadów, zawieszane w smudze światła, podnoszą się i opuszczają rytmicznym ruchem, a przez powietrze wloką się strzępy babiego lata.

Wokoło panuje cisza południowej godziny, w której słychać gorące, tylko chwilowo stłumione tętno życia, całą symfonię niepochwytanych dźwięków...

Witek jeszcze chwilę widzi bielejące na rzy-sku stado, wiatr przynosi mu od kościoła z za rzeki niewyraźne odgłosy organów; potem już nic nie słyszy, czuje tylko, że go słońce razi; nasuwa czapkę na oczy i usypia.

Budzi go gniewny głos, wołający:

— Wstawaj mi, urwisie!

Zrywa się na równe nogi i widzi przed sobą... samego dziedzica, w białej odzieży, na ogromnym kasztanowatym koniu. W pierwszej chwili Witek staje jak przykuty do miejsca, lecz spostrzegłszy w ręku dziedzica szpicrutę, ucieka i kryje się w krzakach

— To ty śpisz, a gęsi wchodzą w szkodę! Czekał, rozprawi się z tobą ekonom!—woła dziedzic i odjeżdża do dworu tęgim kłusem.

W kilka minut później jest już u siebie na dziedzińcu i pyta stojącego przy bramie stajennego chłopca:

— A podsypaliście cugowym owsa na jutro?

— A jakże, jaśnie panie.

Tomek uprowadza zapienionego wierzcho-wca, a pan idzie ku domowi. Niedaleko ogrodowej furtki zastępuje mu drogę ekonom, przy święcie ustrojony w niebieski krawat i czyste płócienne ubranie. Jednocześnie na progu folwarcznej kuchni staje chuda baba z żółtą twarzą i w czerwonej spódnicy. Wprawdzie nie może dosłyszeć rozmowy, ale choć zdaleka przygląda się jej i znać rezultatu czeka z niepokojem, bo czarne ręce nerwowo szarpią brudny fartuszek...

— Padam do nóg—odzywa się ekonom, zdejmując czapkę.

— A co powiesz, Kacperski? —zapytuje pan, dotykając ręką brzegu kapelusza.

— Proszę pana, po południu jedzie wóz do miasta, czy baba mogłaby się na nim zabrać?

— A która chce jechać?

— Wszystkieby chciały, ale najwięcej Kasia, pomywaczka dworska, i Wojtkowa, żona Lacha, żołnierza.

— Niech jedzie ta, która najbardziej potrzebuje.

— Juścić Wojtkowa ma pilniejszy interes: chłopca chce ubrać na zimę, właśnie i o pieniądze przychodziła prosić.

— Któryż to chłopak?

— Witek, ten, co gęsi pasie.

Dziedzic niecierpliwie machnął ręką.

— Akurat wybrałeś się z prośbą! Idźno, zobacz, jaki z niego pastuch. Zastałem go śpiącego, a gęsi wydeptały cały zagon owsa.

— Skórę z niego zedrę! — odzywa się gniewnie ekonom, którego czerwona twarz nabiera barwy fioletowej.

— No, bić nie potrzeba, ale na jarmark stanowczo nie pójdzie. Zrobił mi szkodę na kilka rubli i mam go na zabawy wysyłać! Może mu jeszcze karetę każę zaprządz? Niech jedzie pomywaczka.

Dziedzic znika za krzewami, a ekonom, wy-machując kijem i groźnie nastroszywszy wąsy, zbliża się do Wojtkowej.

— Będzie tobie jarmark! — woła jej zdaleka.

Wojtkowę tknęło złe przeczucie.

— Zawsze mówiłem, że to gałgan ten chłopak — prawi dalej zasapany Kacperski; — wpuścił gęsi w szkodę i poszedł spać, i w samą porę, kiedy pan tamtędy przejeżdżał. To bestya! Dziedzic ani pieniędzy nie daje, ani na jarmark nie pozwala. Kasia jedzie zamiast ciebie. Dziękuj Bogu, że się

tak skończyło; chciał ci z pensyi wytrącić, ledwie go uprosiłem--dodaje, odchodząc.

Wojtkowę tak przeraziła niespodziana wieść, że nie mogła wymówić słowa na usprawiedliwienie syna. Poty biły na nią, a ręce trzęsły się jak w febrze. Stała chwilę nieruchoma; dopiero straciwszy z oczu Kacperskiego, zaczęła biedz w stronę rzeki i, jak zwykle w chwilach wzruszenia, na głos mówiła do siebie:

— Ażeby on przepadł ten chłopak! Co ja mam przez niego! na jarmark nie pojedę i odzienie mu choroba wzięła. Skaranie boskie! znowu będzie nagi chodził jak zwierz...

Tu Wojtkowa musiała się zatrzymać, stanęła nad brzegiem rzeki. Podniosła i zawinęła wokoło siebie spódnicę, poczem weszła do wody. Już zdaleka widziała na przeciwległym brzegu bielejące stado i czarną czapkę Witka. Szła tak szybko, jak tylko pozwalały kamienie i grzązkie błoto, a zimna kąpiel w niczem nie ostudziła jej gniewu.

Po odjeździe pana Witek jeszcze dobrą chwilę siedział ukryty w krzakach, wreszcie upewniwszy się, że jest sam, wyszedł. Ogarnęła go nieokreślona trwoga, przytem żołądek, w braku zegara, ostrzegał, że nadeszła godzina obiadu. W zwykłych okolicznościach, nie czekając na to ostrzeżenie, w samo południe zjawiał się na progu matczynej izby. Dziś jednak nie miał odwagi wrócić, oba-

wiając się, że wieść o jego zbrodni już do niej doszła. Ze zdumieniem też spostrzegł matkę, przeprowadzającą się przez rzekę.

Wojtkowa przebrnęła wodę i szła prosto na syna, ale tak energicznie, że chłopcu aż dech zamarł w piersiach.

— Cóżes ty zrobił, chorobo, wisielcze!?!...— zawołała baba, zbliżywszy się.— Gęsi wpuściłeś w szkodę, a dziedzie nie daje pieniędzy i nie pozwala na jarmark. Czekaj-no, psiawiaro!...—I tu powaliwszy Witka na ziemię, zaczęła okładać go z całych sił...—Ja ci dam spanie, popamiętasz!

Za każdym słowem twarda jej ręka opuszczała się na plecy albo na głowę syna.

Witek krzyczał, wywijał nogami, zasłaniał się to jedną, to drugą ręką—nie nie pomogło. Wojtkowa miała żelazne palce. Wyrwał się z nich wreszcie z pokrwawioną twarzą i, głośno lamentując, począł uciekać. Usłyszał jednak groźbę matki, która, zabierając się do powrotu, wołała:

— Dam ja ci jeszcze, jak przyjdiesz, a odzienia do przyszłego roku nie obaczysz!

Przekonawszy się, że matka daleko, Witek usiadł na ziemi i zaczął płakać tak, że zdawało się, iż wypłacze cały swój zapas łez, a przecież dzień dzisiejszy nie miał stanowić wyjątku w jego życiu—dużo go jeszcze podobnych czekało w przyszłości. Płakał, bo go bolały plecy i twarz, bo był głodny,

bo nie spełniło się najgorętsze jego pragnienie, ażeby pojechać na jarmark,—bo czuł, że mu się dzieje krzywda. Krew, płynąca z nosa, poplamiała mu koszulę, oczy zapuchły od łez. Z głośnego płaczu przeszedł w ciche łkanie, od czasu do czasu przerywane słowami:

— O Jezu! Jezu! nie będę na jarmarku, nie dostanę odzienia!

W tym żalu za ubraniem i zabawą utonęły ból, trwoga i głód... Skarżył się pocichu, ale komu? — Natura zdawała się całkiem obojętną na jego cierpienia, a wokoło nie było żywej duszy. Chyba ziemia, do której tuliło się dziecko, usłyszała jego skargę.

Wtem doleciały Witka wesołe śmiechy... Podniósł głowę—na gościńcu w tumanie kurzu zarysowała się dworska bryczka, w niej panienki z guwernantką, a obok na kucyku panicz, za którym, dla bezpieczeństwa, także konno jechał stajenny chłopiec. Bryczka skręciła na bok, dziecięce głosy oddalały się i cichły, na drodze został znowu tylko tuman kurzu.

W umyśle Witka odezwały się nagle nawpół zatarte wspomnienia zabawy na dworskim dziedzińcu. Widział znowu lokaja w szarej kurtce z zielonemi wyłogami, czuł na karku ciężką jego rękę, słyszał obelżywe słowa chłopców. I ogarnęły go znowu to samo trwożne zdumienie, wstyd

i załość, które go wtedy rzuciły w objęcia matki. Zerwał się z ziemi. Teraz nie ma do kogo się schronić, nie ma komu poskarżyć!—matka wybiła go i obiecała jeszcze dołożyć, jak wróci.

— Chyba wezmę i utopię się!... — pomyślał Witek.

Zrzucił kaftan i wszedł do rzeki. Zanurzywszy nogi, wzdrygnął się, bo woda była zimna, ale potem wziął na odwagę i brnął dalej... Już miał wody po pas, niedługo dojdzie mu do szyi, a wtedy schowa się cały i już go nie będzie. Ale nagle stanął... Przytłumiony rozpaczą głód odzywał się w nim tak gwałtownie, że po chwili namysłu zaniechał samobójczych zamiarów i począł zastanawiać się nad tem, w jaki sposób go zaspokoi. Przedewszystkiem zawrócił się i wyszedł z wody. Stanął na brzegu zziębnięty, niepewny, co pocnie. Do domu iść nie śmiał—pan pogroził mu przecież ekonomem, a i z matką wiedział, że niema żartów...

— Kartofli sobie upiekę, abo co...—pomyślał, wdziewając kaftan na mokrą koszulę.

Poszedł do pobliskiego pola, wykopał parę garści kartofli i przyniósł je z sobą nad rzekę. Ale z kąd ognia wziąć? Zajrzał do chałupy, położonej niedaleko, w nadziei, że wyprosi trochę żaru w garnuszku, ale zastał drzwi zamknięte na kłódkę; musieli gospodarze pojsć do kościoła. Witkowi

znowu zbierało się na płacz—przecie to już dawno na nieszpór dzwonił, a on od świtu nic nie jadł.

— Pójdę do wsi, może tam kto da ognia—pomyślał, wracając do miejsca, na którym pasły się gęsi. Co z nimi zrobi? Nie weźmie ich z sobą, a zostawić nie może; znowu wlażyłoby w szkodę. Zresztą pewno i we wsi ognia teraz nie mają; od obiadu zgasł, a kolacyi jeszcze nie gotują.

Co miał robić?... Usiadł pod wierzbą i oparł zbolące plecy o pień... Ogarnęła go apatya. Już niczego nie pragnął, niczego nie żałował, nawet nie czuł głodu, tylko bezmyślnie patrzył przed siebie...

Tymczasem słońce spuszczało się coraz niżej, zachód pokrył się ognistą barwą, obłoki ciągnęły już nie białe, ale pomarańczowe i złote, szczyty lasu w oddali zdawały się płonąć... Potem niebo zbladło, słońce stanęło tuż nad widnokrzem, wielkie, czerwone, jeszcze raz objęło ziemię promiennym spojrzeniem i zapadło w otchłań... Blaski na zachodzie zgasły, nad ziemią zawisł cichy blask wieczoru.

Ale cisza trwała krótko. Widocznie tylko na znak niebieskiego zegara czekali ludzie i zwierzęta. Bydło, rycząc, wracało z pola, a za niem zmęczonym krokiem szli do domów pastuchowie szukać posiłku i wywczasu.

Z drugiej strony nieba ukazał się księżyc, gdzieś tam zamigotały gwiazdy, a Witek wciąż siedział nad rzeką. W miarę jak się ściemniało, robiło mu się straszno samemu na tem wielkiem polu. W oddali chałupy wyglądały z za drzew jak białe duchy; wiatr niósł od lasu jakieś głosy, w górze z tajemniczym szelestem przelatywały nietoperze. Wreszcie gęsi same zaczęły się zbierać i nawoływać do powrotu. Witek wstał i powlókł się z niemi do domu.

Zapędziwszy stado, usiadł sobie pod chlewem. Przez uchylone drzwi kuchni widział ogień na kominie, krzątającą się matkę, potem schodzącą się czeladź.

Wojtkowa parę razy stawała na progu, jakby wyglądała kogoś... Łysek, poczuwszy węchem Witka, zbliżył się, polizał go po twarzy i zaraz wbiegł do izby, z kąd doleciał zapach kartofli.

— Pójdę i ja—pomyślał chłopak,—ino sobie trochę wypocznę. — Był tak osłabiony, że mu się nie chciało wstawać; wkrótce głowa zawisła mu na piersi i zasnął...

Po rozejściu się czeladzi Wojtkowę ogarnął niepokój. Noc już zapadła, a Witka jeszcze nie widać.

— Co się dzieje z tym chłopakiem? — pomyślała.

Żal ścisłał ją za serce na myśl, że go tak zabiła i że dzieciak cały dzień był bez strawy. Nie

gasiała ognia, bo na kominie grzały się kartofle i gryczane kluski, które zostawiła mu z obiadu. Wyszła przed chałupę i usiadła na progu.

— Sierotko — myślała, opierając głowę na ręku, — oj, dolaż twoja, dola na tym świecie! Ani wyspi się kiedy, ni uciechy żadnej, ni ciepłego przyodziewku. Takie małe i już pracować musi. Tedy ono winne: zasnęło niebożątko, a gęsi weszły w szkodę. Pewnikiem bało się wrócić i leży gdzie pod płotem.

Wojtkowa otarła fartuchem łzy i wstała, żeby poszukać Witka. Obeszła chałupę wokoło, potem zapukała do drzwi chlewu; gęsi odezwały się, więc już je zapędził. Księżyc wyjrzał z za chmury i spostrzegła, że pod ścianą, z głową pochyloną na ramię, spał Witek.

— Chudziątko ty moje — rzekła, schylając się, Wojtkowa. Wzięła go na ręce i zaniósła na swoje łóżko. Umoczywszy szmatę, zaczęła mu obmywać pokrwawioną twarz... Chłopiec otworzył oczy i na widok matki rzucił się niespokojnie, wołając:

— Nie będę już, matulu! nie bijcie!

— Cicho, synku, cicho! — uspakajała, głaszcząc go, Wojtkowa — przecie nie biję.

Potem zamknęła drzwi i zgasiła ogień. Przy pacierzu ocierała łzy i biła się w piersi, a potem legła obok Witka i przytuliła go do siebie jak dawniej, kiedy był maleńki, a ona nosiła go wszędzie owiniętego w płachtę.

Księżyc, jak wczoraj, zaglądał do okopconej izby; może się ucieszył, widząc, że chłopiec ma tej nocy wygodniejsze posłanie i że go ramię matczyne objęło z pieśczołą...

.

Na Wszystkich Świętych przypadał w Podgórzu jarmark.

Witek był na nim, ale już nie z tą ochotą, z jaką wybierał się do gubernii. Wielkich domów, ulic z kamieni i innych dziwów, o których nasłuchał się od matki, nie było tu ani śladu.

U jednego żyda kupili mu sukmanę, u drugiego, w ciemnym sklepiku—czapkę, w bramie zajezdnej—buty, i tyle. Wprawdzie od tej pory w każde święto bywał w kościele, a w zimie, kiedy paniecz na dziedzińcu lepił figury ze śniegu, wołano czasem i Witka do zabawy... Lecz chłopiec nie mógł zapomnieć przygody, która go spotkała na wiosnę, i na widok lokaja albo pani z rudemi włosami zawsze uciekał do kuchni.

Wspomnienie pierwszej krzywdy i pierwszego zawodu zostało mu na całe życie... Dwór i wszyscy jego mieszkańcy napełniali go nieufnością i obawą. Z temi uczuciami wyrastał na parobka.

II.

Upłynęło lat kilka... Przez ten czas pańszczyzna została zniesiona i chłopci otrzymali ziemię, Witek urósł i awansował na owczarka, a matka jego umarła. Wojtkowa zawsze była cherlawa. Którejś zimy ścisnęły tęgie mrozy, ziemię przywaliła moc śniegu, a kobietę tak zmęczył kaszel, że na wiosnę już nie mogła się podnieść. Franka na jej miejsce gotowała dla czeladzi, a ją przenieśli do innego czworniaku. Zasłali stary tapczan dziurawym siennikiem, z którego wyglądała słoma, i przykryli chorą kilimkiem. Duszno było w izbie, okienko nie otwierało się, pająki zasnuły je gęstą przędzą, na suficie i ścianach było czarno od much, po kątach kury wysiadywały jaja, przeraźliwie gdaćcąc, kiedy w drzwiach sieni ukazywał się ryj wygłodzonej świni.

Litościwe baby, o ile miały czas, doglądały Wojtkowej, niekiedy Witek posiedział przy niej, najczęściej jednak była sama. Zwyczajnie pora robocza — każdy ma swoje zajęcie. Leżąc tak w samotności, nieraz płakała Wojtkowa. Żal jej było zostawiać chłopca samego.

— Takie to jeszcze młode — myślała, — ledwie zaczął piętnasty rok... kto go przytuli, jak mu zabraknie matki?..

Niektórych nocy we śnie ukazywał się jej mąż i wołał do siebie, a ona odpowiadała mu zawsze:

— Nie mogę... któż przy dziecku ostanie?

Nareszcie pewnego dnia nad ranem umarła.

Maciejowa w tę ostatnią noc czuwała przy chorej, poszła do owczarni zbudzić Witka.

Poleciał do izby, przypadł do matczynego ciała i zapłakał na cały głos...

A baby wzięły go pocieszać i prawily tak mądrze—jako Wojtkowa wyprosiła sobie u Boga lekkie skonanie, jako na tamtym świecie będzie jej lepiej,—że Witek otarł łzy i poszedł na śniadanie.

A baby zabrały się do nieboszczki, obmyły ją należycie, ale ubrać nie było bardzo w co—tak się ze szmat wydarła przez ostatnie lata.

Co miała pieniędzy, wydawała na chłopaka, a sobie nie chciała sprawiać, wiedząc, że długo nie pociągnie. To też złożyły się na nią: Maciejowa dała koszulę, Franka zapaskę, a Tomkowa, mieszkająca w tym samym czworniaku—spódniczykę. Ubrały ją i, śpiewając pobożne pieśni, włożyły do trumny... Zbił ją dworski cieśla z sosnowych desek niepomalowanych,—a była tak wazka, jak na dziecko robiona, nie na babę. Ale zmieściła się w nią Wojtkowa. Na woskowej twarzy jej osiadł jakiś nieokreślony uśmiech; może cieszyła się, że wypocznie za te lata znoju, co ją przedwcześnie

pochyliły ku ziemi,—za niedospane noce, za troski o swego chłopca, który został teraz sam, jak drzewo w polu...

W ręce włożyły jej baby medalik, który zwykle nosiła na szyi. Ale pewnie i bez tych świętości przyjąłby ją Pan Jezus do Swojej chwały. Te czarne, spracowane ręce świadczyły przecież o życiu nędzy i mozolu...

I pochowano ją bez światła i chorągwi, bo nie było komu za to płacić. Trzej parobcy z Witkiem wnieśli trumnę do kościoła, postawili na ziemi, jegomość pokropił święconą wodą i wrócił na plebanię, a oni zanieśli Wojtkowę na cmentarz, oddzielony rowem od księżego pola. Witka aż odrywać musiano od trumny, tak lamentował. Na pocieszenie zaprowadzili chłopci sierotę do karczmy, kazali mu wypić miarkę wódki, sami wypili i rozeszli się wszyscy do roboty.

Po południu wypadło Witkowi paść owce na łące akurat naprzeciw cmentarza. Wszedł na pagórek i patrzył na mogiłę, przysypaną żółtym piaskiem, i na zatknięty przez Frankę krzyżyk z brzo-zowych patyków. Ogarnęła go żalność, ale wnet uspokoił się—trzeba było pilnować owiec. Wieczorem, przyszedłszy do kuchni, zjadł aż dwie miski kartofli, których mu Franka nie żałowała—boć zmartwienie wysysa człowieka, a on taki sierota!...

Z początku Witka nieraz chwycił żal za matką, zwłaszcza kiedy go kto skrzywdził i nie miał się komu pożalić. Ale w miarę jak mijały lata, pamięć Wojtkowej zacierała się w sercu syna, a mogiła jej porastała coraz bujniejszym chwastem. Wreszcie zupełnie zrównała się z ziemią; choćby Witek nie wiem jak szukał, nie znalazłby po niej śladu. Ale on już i szukać nie myślał!

Nienajgorzej działo mu się przez ten czas. Skończywszy 20 lat, został fornałem z pensją rs. 18 na rok. Chłopak był ładny, nietyle barczysty, ile wysoki i zgrabny. Zachował jasne włosy, które miał w dzieciństwie, wysypał mu się płowy wąs, a niebieskie oczy patrzyły przed siebie wesoło i szczerze. Do roboty był chętny—lubił go też młody dziedzic, pan Adam, który po śmierci rodziców objął gospodarstwo w Bubicach, a niejeden dostatni gospodarz żałował, że, jako parobkowi, nie może mu oddać córki.

— Chłopak nie hultaj, robi za dwóch i starszych szanuje; taki nie bijałby żony, nie strwoniłby dobytku, nie wypędziłby z domu teścia — mawiali.

Dziewczęta przepadały za Witkiem, bo nietylko umiał tańcować i śpiewać, ale w żartach był powściągliwy, przy robocie zawsze słabszej dopomógł, a w karczmie, nawet gdy podpił, nie zaczepiał nikogo.

I tak upłynął mu czas do 27-go roku życia — na pracy w dzień powszedni, na tańcach w niedzielę.

— Czemu się nie żenisz, Witek? — zaczepiali go ludzie.

— I, co mi tam po żonie! — odpowiadał, śmiejąc się; ale myślał inaczej, bo choć lękał się żeniaczki, miał pociąg do dziewcząt. Jednego dnia podobała mu się Marysia Dankówna, bo miała oczy jak iskry; w tydzień później spostrzegł, że Jagusia Kosiakówna ma piękne włosy, a w następną niedzielę cały wieczór tańczył z Kasią Szewczanką i poił dziewczynę wódką — tak mu się podobała jej wesołość, — ale nazajutrz i o tej zapomniał.

Czasem jednak po robocie, albo kiedy konno wracał z miasta, chwytala go nieokreślona tęsknota za tem, że już czasby pokochać jaką dziewczynę; ale myśli takie przychodziły mu rzadko — chłop na marzenia nie ma czasu...

Którejś niedzieli w kwietniu szedł ustrojony Witek na odpust do Podgórza.

Skórzanym pasem przepasał granatową sukmanę, wysmarował buty, a czystą koszulę z fantazyą związał u szyi czerwoną wstążeczką. Na gościńcu około murowanej kapliczki spotkał gospodarza Jędrzeja Grocholaka z żoną i córkami.

— Niech będzie pochwalony — odezwał się Witek.

— Na wieki wieków — odpowiedzieli chórem.

— Cóż to, Hanka, ustałaś?—zapytała po chwili jedna z Grocholakówien.

— Gdzie ja tam ustałam!—odpowiedział wesoły głos...

Witek obejrzał się—o kilka kroków z tyłu szła obca dziewczyna, której jeszcze nigdy nie widział. Chyba wszystkie babieckie kobiety przewyższała wzrostem. Smukłą a zarazem pełną kibić opinał aksamitny gorset wyszywany; czarne warkocze, zdobne we wstążki, spadały niżej pasa, a oczy jak dwa płomienie świeciły z pod zrośniętych brwi i kwiecistej chustki. Dziewczyna zerknęła z boku na Witka—ale on minął ją, tylko dłużej jej się przypatrzył, a w dalszej drodze obejrzał się za nią parę razy.

— Nie wiem, coby to za jedna—myślał,—ale że ładna, to ładna. Warkocze ma niby powrozy! gdzie Kosiakównej do nich! a oczy Marysine niech się schowają; silna też musi być jak chłop...

— Co tak pędzisz, Witek? — odezwał się za nim kobiecy głos.

— Do kościoła śpieszno, żeby nauki nie opuścić—odpowiedział Witek, którego to spotkanie nie zdawało się cieszyć. I poszedł dalej, a jasne oczy Rybitwianki goniły za nim i chciałyby go zatrzymać.

Witek nie powiedział prawdy; nie chodziło mu o naukę, ale miał chęć zostać sam... Przy

rozmowie nie mógłby tak dobrze widzieć obrazu przed chwilą spotkanej dziewczyny, a obraz ten pokazywał się bardzo często. Wszedł do kościoła, stanął po lewej stronie za ławkami i zaczął mówić pacierze. Już było pełno ludzi, ołtarzyki przybrano świeżemi gałęzmi, podstawiano obrazy, księża w bogatych kapach odprawiali nabożeństwo. Organy grały tak smutnie, organista zawodził żałobnym głosem, sine obłoki dymu wzbijały się z kadzielnicy w górę, jak na obrazie skrzydlate głowy aniołów. Witkowi zrobiło się rzewnie na sercu. Ukląkł i zaczął prosić Boga o wszystko dobre dla Kościoła i Ojca Świętego, jak go w małości uczył proboszcz, o urodzaje ziemskie i o wieczny odpoczynek dla duszy matki. Organy przestały grać, tylko w nich huczało; chłopcy w białych komżach zatrzęśli dzwonkami, ksiądz podniósł w górę kielich, jakby wyrobiony ze słonecznej jasności, — a tłum runął na ziemię.

— Czy aby już przyszła?— błysnęło nagle w umyśle Witka. Podniósł oczy... o parę kroków przed nim klęczała dziewczyna, o której wiedział tylko tyle, że ją nazywają Hanką. Ile razy rozległ się dzwonek, ona pochylała się nisko, brzęcząc paciorkami, których moc zwieszała się jej na szyi.

— Musi że nigdy nie widziałem ładniejszej— myślał Witek, nie spuszczać z niej oczu. — Co

też ona za jedna? Pewnie córka po tej siostrze Grocholaka, co była za mężem pod Jasną Górą.

Po podniesieniu ludzie powstawali—za ich przykładem poszedł Witek, sam nie wiedząc, gdzie jest i co się z nim dzieje; w czasie Baranka Bożego zapomniał ukłęknać, aż go drugi parobek szarpnął za sukmanę; a potem jak upadł na ziemię, nie powstał, dopóki się suma nie skończyła.

— Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny!—zabrzmiało w kościele. Witek wtórował, ale tylko półgłosem, bojąc się zagłuszyć inny, srebrny głos, rozlegający się tuż przy nim i poza którym nie słyszał.

— Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie!—prosił tłum, a Witek, zapatrzony w smukłą postać nieznaney dziewczyny, sam nie wiedząc, co mówi, powtarzał:

— Święty Boże, jakaż ona ładna!

Kiedy ludzie zaczęli wychodzić, ocknął się i sam zdumiał swemu bluźnierstwu...

Musiała mu chyba zadać urok, kiedy tak zapomniał o świętem miejscu i nie mógł od niej oczu oderwać.

Wyszli wreszcie Grocholakowie, a za nimi Hanka z książką, zamkniętą na klamerkę, i muslinową chustką w ręku. Była to istotnie siostrzenica Grocholaka, sierota, którą przed paru dniami sprowadzili. Potrzebna im była dziewczucha do po-

mocy, więc, zamiast najmować obcą, woleli wziąć krewniaczkę. Strawy dla niej w chacie nie zabraknie, a na szmaty niech sobie sama zarobi. Zresztą szmat tych miała Hanka Bartusówna bez liku, a wstążek, paciorków i pierścionków pełne pudełko. Po śmierci matki służyła przez rok we dworze; co zarobiła, wydała na gałganki, a i prezentów dostawała niemało.

Od owej pierwszej niedzieli, kiedy Hanka ukazała się w kościele, a potem wieczorem w karczynie, wszyscy chłopcy potracili dla niej głowy.

— Widziałeś Grocholakową siostrzenicę? — pytali Witka inni fornale.

— Co nie miałem widzieć, przecie mam oczy.

— I cóż?

— A nie — odpowiadał, ale myślał co innego.

Zalecali się do Hanki parobcy, zalecali gospodarscy synowie, a i sam dziedzic, spostrzegłszy ją raz, zapytał:

— Czyja ta ładna dziewczyna?

Hanka usłyszała to pytanie i odpowiedziała ze śmiechem:

— Czyja mam być, swoja własna!

Panu Adamowi tak podobała się odpowiedź, że odtąd, ile razy spotykał dziewczynę, żartował z nią, a ona chichotała, aż rozlegało się w polu.

Tymczasem Witek w głowę zachodził, co się z nim samym działo z powodu Hanki. Już mu robota nie szła jak dawniej, często w polu przysta-

wał i patrzył na gościniec w stronę kapliczki, gdzie pierwszy raz spotkał dziewczynę. Niekiedy mignie mu się jaka czerwona spódnica, a jemu wciąż zdaje się, że to Hanka. Spostrzegłszy omyłkę, odchodził z niechęcią, nie odpowiadając na wesołe zaczepki dziewczyny, która przecież nie była winna temu, że nie jest Hanką. Inni parobcy wciąż rozprawiali o urodzie obcej. Witek z nikim o niej nie mówił, tylko czasem zapytywał samego siebie: dlaczego mu właśnie ona tak bardzo przypadła do serca?...

Nie umiał sformułować, że Hanka łączyła w sobie to wszystko, co mu się pojedynczo podobało w innych dziewczętach: strojny stan Marysi Wróblanki, długie włosy Kosiakówny, ogniste oczy Dankówny i wesołość Szewczanki...

Nastało lato...

Hankę często brano do dworu—najprzód do pielienia, a potem do żniwa. Nietęga z niej była robotnica—wolała śmiać się z parobkami; ale zato nikt jej nie dorównał w śpiewie i tańcach... Kiedy w niedzielę wywijała oberka w karczmie, w najspokojniejszych ludziach burzyła się krew, a Witek, jeżeli kiedy miał rozum, to go zupełnie stracił..

Istne czary... Dawniej, wróciwszy z roboty, zagrzebał się w słomę i spał jak drewno; teraz, ledwie fornalkę wypręże i koniom dołoży siana, już błąka się pod Grocholakową chałupą, czatując

na Hanke. Czasem dziewczyna wybiegnie z wiadrami do rzeki—Witek już jest przy niej, nabiera jej wody, przynosi wiadra, a wszystko tylko za uśmiech albo obietnicę, że mu Pan Jezus zapłaci...

Ile razy z wielką nieśmiałością przysunął się do niej, Hanka odpychała go ze śmiechem...

— Niechaj mnie, bo wujenka zobaczą.

— Kiej ich tu niema...

— Pewnikiem gdzie podpatrują; tak do mnie serca nie mają, że strach! jeszczeby wujowi narzeczyli.

Zbywała chłopca zartami, a on szanował ją prawie jak święty obraz. Czasem Witek napróżno czekał na Hanke. Nie pokazała się przez cały wieczór, więc smutny wracał do stajni i kładł się; ale co oczy zmruży, widzi przed sobą czerwone usta dziewczyny i słyszy jej śmiech wesoly. Żegna się, chcąc złe odegnąć, ale i to niezawsze pomaga. Zapominał jednak o wszystkich troskach, byle spojrział na Hanke.

Ile razy pan wysyłał go po listy, czy po jaki sprawunek, Witek wracał z prezentem dla niej... Czasami przywiózł jej garść karmelków, to znów kilka obwarzanków, albo wstążkę. Hanka gryzła karmelki, wplatała wstążkę w warkocz, a Witek cieszył się, że nie pogardziła jego darem.

Nastało zniwo. Czas był suchy i ciepły, wieczorami błyskało się na zachodzie, niekiedy zbie-

rały się drobne chmurki, ale wnet pierzchały przed księżycem, jakby ze strachu. Żyto szczęśliwie sprzątnięto, już i pszenica pochylała pełne kłosa, czekając, aż na nią przyjdzie kolej. Przyszła. Ledwo słońce wyjrzało na wschodzie, już różnobarwny tłum ciągnął ode wsi w pole. Lśniły się wyostrzone kosy i sierpy, czerwieniły jaskrawe chustki i spódnice białe, odbijały od nich szare koszule i ciemne kamizelki mężczyzn. Po wypoczętej nocy w orzeźwiającej świeżości poranku robota szła zwawo. Słychać było miarowe uderzenia kos, szelest ścinanych sierpem kłosów, przerywane niekiedy śmiechem i nawoływaniem.

Gdzie była Hanka, śmiano się najgłośniej. Witek, oddzielony od niej kilkoma zagonami, co chwila podnosił głowę, patrzył w stronę, gdzie bielila się jej koszula, i śmiał się, choć nieraz nie dosłyszał jej słów...

Słońce wznosiło się wyżej i wyżej, rosa znikła, z nieba spadał żar na pochylone głowy zniwiarzy... Przyszło wreszcie południe. Ci, co mieli blisko do domu, rozeszli się,—innym baby albo dzieci przynosiły obiad w dwojakach. Zjadłszy, rozkładali się pod cieniem gruszy albo kilku wiśniowych drzew, dziko rosnących u stóp pagórka. Wypoczynek trwał krótko—przy zniwie zwlekać nie można. Więc znowu zabręczały kosy, zaszeleściły sierpy, ale jakoś leniwiej niż rano, jakby na

pracowite ręce spadła ze słońca ociężałość. Już się miało ku zachodowi, kiedy ludzie zabrali się do podwieczorka.

Hanka usiadła na skraju pola, gdzie jej wypadło żąć ostatni zagon, i gryzła czarny chleb... Przy niej siedział Witek z rękami splecionymi wokoło kolan i zapytywał, czy może nazajutrz posłać swatów do Grocholaka, a na przyszłą niedzielę dać na zapowiedzi. Hanka żartowała z niego.

— Czekaj—mówiła,— aż pieniędzy uzbieram choć na pierzynę.

— Matula nie mieli nigdy pierzyny, a przecie ożenili się—zauważył Witek.

— Insze to były czasy i inszy u was obyczaj — odpowiedziała dziewczyna.— U nas najbiedniejsza ma pierzynę i choć ze dwie poduszki. A co różnego odzienia!

Chłopak zamilkł; gdyby sprzedał samego siebie, jeszczeby mu nie starczyło na zakupienie wszystkiego, co potrzebne dla Hanki. Co tu robić?... Dziedziec pan niezgorszy, ale nie można spodziewać się od niego pomocy...

— Chyba Pan Jezus dopomoże! — pocieszał się Witek i smutnie spuścił głowę.

Dziewczyna, spostrzegłszy to, zaczęła doń mówić:

— Weźże na rozum: cobyśmy robili, jak się poženimy? Jabym zmarniała na nic, bo i kraj mi

się nie podoba i ludzie krzywo na mnie spoglądają. Wujenka wydziwia od rana do nocy i zazdrości mi każdej łyżki strawy. U nas inaczej!...

— Jabym za tobą, Hanko, pojechał w twoje strony — cichym głosem odpowiedział Witek.

Ale ledwie wymówił te słowa, chwyciła go żalność za wielkim polem, które tyle razy obszedł wzdłuż i wszerz, — za borem, na którym teraz kładły się białe obłoki, — za wsią, gdzie z każdej chałupy wyglądali znajomi ludzie, — za cmentarzem, gdzie zapadnięty grób matki porastał bujnym chwastem.

— Pojechałbym za tobą — powtórzył, jakby chcąc zagłuszyć żal, co się tak nagle zbudził w sercu.

— Czy aby mnie nie zwodzisz? — żywo przerwała Hanka.

— Nie—krótko odpowiedział chłop.

— Kiedy tak, przyjdź wieczorem za stodołę, to pogadamy; tera niema czasu: patrzaj, ekonom jedzie i znów naskarzy wujowi, że nie robię, ino siedzę i chichoczę z chłopami.

Wzięła sierp i stanęła do roboty. Na gościńcu istotnie ukazał się koń, a na nim jeździec w jasnym ubraniu i kapeluszu z szerokimi brzegami. W miarę jak się zbliżał, Hanka poznała, że to nie ekonom, ale sam pan jedzie przyjrzeć się żniwom. Poznała go po koniu z białą gwiazdką na czole, — po psie, co z głośnem szczekaniem wyprzedzał go

o kilka kroków,—poznała wreszcie i jego samego po rumianej twarzy, czarnej bródce i jaskrawym krawacie, luźno związanym u szyi. Przygotowała sobie wiązkę kłosów—i, jak tylko pan nadjechał, podbiegła i obwiązała mu nogę.

— Któraż to? — zapytał dziedzic, nie mogąc widzieć twarzy pochylonej dziewczyny.

— A ja! — zaśmiała się Hanka, podnosząc szybko głowę i zalotnie patrząc w oczy panu, który obrzucił ją spojrzeniem pełnym zachwytu...

Hanka była w tej chwili bardzo ładna; czerwona chustka zsunęła się z jej głowy, odsłaniając grube warkocze; czarne oczy świeciły jak węgle, śniada twarz dyszała zdrowiem i wesołością.

— Śliczna dziewczyna! — mruknął młody dziedzic, który uchodził w okolicy za znawcę wiejskich piękności; sięgnął do kieszeni, wyjął z portmonetki szeleszczącego rubla i podał go dziewczynie.

Hanka zapłoniała się z radości na widok tak hojnego datku i pocałowała w rękę pana, który ją zlekka uszczypnął w policzek. Dziewczyna zarumieniała się jeszcze bardziej i schyliła po sierp, który leżał nieopodal. Pan pojechał miedzą ku innym żniwiarzom.

Witek przyglądał się zdaleka tej scenie; widział, że Hanka zbliżyła się do dziedzica i że ten jej coś wsunął w rękę. Nie dojrzał jednak pieszczoty, ani znaczącego rumieńca dziewczyny,—za

brał się więc znowu do roboty, myśląc, że to dobrze, iż datek pański dostał się Hance, a nie której innej.

Wieś usypiała. Zamilkły ludzkie głosy, czasem pies szczeknął, z sąsiedniej zagrody zawtórował mu drugi, a gdzieś zdaleka rozlegało się jednostajne warczenie młyńskiego koła. Światła w oknach gasły, a na niebo wszedł księżyc, smutnym blaskiem oblewając pola i chałupy, bielejące między drzewami.

Chata Grocholaka stała na skraju wsi... Od gościńca oddzielał ją płot z gałęzi, miejscami zapadły i dziurawy, a między nim i oknami na paru grządkach rosły kwiaty, pomieszane z bujnem zielskiem. Z lewej strony było wejście do chałupy, z tyłu stodoła, obora i niewielki chlew... Za stodołą w dół aż ku rzece ciągnęła się łąka. Na tej łące, oparty o płot i ukryty w cieniu stodoły, stał Witek. Czekał dość długo; gniewny gwar dochodził z chałupy—musiały się baby swarzyć, bo gadały wszystkie naraz, czasem tylko zagłuszał je basowy głos gospodarza. Wreszcie umilkli; upłynęła chwila i ciemność zapanowała w izbie. Witek myślał, że mu już przyjdzie odejść bez zobaczenia Hanki, kiedy usłyszał ciche stąpanie.

— To ty, Hanko?—zapytał.

— Ja—odpowiedziała, zbliżając się.

— Skaranie boskie z tą wujenką!... to pyskata baba! Ja tu nie wytrzymam... Pójdę, gdzie mnie oczy poniosą.

— Nie mów tak głośno, bo usłyszą—niespokojnie przerwał jej Witek;—przeleź ino przez płot; pójdziemy ku rzece, żeby nas kto nie zobaczył.

Hanka nie dała się długo prosić. Potrzebowała poskarzyć się przed kimś, a wiedziała, że nikt jej tak cierpliwie nie wysłucha, jak on...

Szli w milczeniu, aż stanęli na brzegu rzeki. Księżyc kładł na nią smugi światła, pod dotknięciem których woda nabierała blasku i życia. Na przeciwległym brzegu topole rzucały za siebie wielkie cienie, a w oddali las ostro odcinał się na tle jasnej nocy...

Usiedli na niskim pagórku, porośłym leśszczyną.

— Taka już moja dola — wybuchnęła naraz Hanka.—Wybiła mnie i nakłęła, sama nie wie za co... Powiada, że się chłopcy do mnie nastawiają. A cóż ja temu winna? Bogdajbym nigdy światła nie oglądała, zanim zeszałam na taką poniewierkę!

Ukryła twarz w rękach i, płacząc, tuliła się do Witka.

— Co ci to, Hanko, co ci to? — pytał, mimowolnie obejmując ją za szyję.—Cicho, nie płacz już, a niechaj jej Pan Bóg odpuści tej Grocholakowej, że krzywdzi sierotę.

Witkowi stanęło w pamięci jego własne dzieciństwo, guzy i sińce, które mu się tak często dostawały. Przytulił ją mocniej do siebie.

— Żebyś ty wiedziała—mówił, — od tej niedzieli, kiedym cię pierwszy raz zobaczył, tom cię tak polubił, jak jeszcze nigdy nie lubiłem żadnej dziewczyny. Na całym świecie niema drugiej jak ty... Jakaś ty śliczna! Usta masz niby wiśnie, a włosy... — nieśmiało dotknął jej ciężkich warkoczy i głaskał ręką.—Kiedy cię jeden dzień nie widzę, to jakby mi słońce zgasło; a jak spojrzę w twoje oczy, to jestem całkiem bez pamięci!

Głowa dziewczyny oparła się na ramieniu Witka.

— Hanko!—zawołał, całując ją — jabym za tobą w ogień poszedł!

Hanka uśmiechnęła się.

— Każdy chłop tak gada z początku, a potem dokucza. I tybyś mnie może bijał, jak wujenka. Znam ja was.

— A niechby mnie Pan Bóg ciężko skarał, żebym ja ciebie palcem tknął! — zawołał Witek.— A toć klnę ci się, jak w kościele, i ten księżyc na niebie słyszy moje słowa, że ci nigdy nie zrobię krzywdy i zawsze będę kochał.

Hanka milczała. W gruncie zaczynał jej się podobać ten tak szczerze zakochany chłopak, ale chciała się z nim jeszcze podrażnić.

— Cobyś ty ze mnie miał...—odezwwała się po chwili — ty z gospodarską córką możesz się ożenić... weźmiesz grunt, pieniądze.

— Co mi ta grunt, co mi gospodarstwo!... dla mnieś ty lepsza od wszystkich. Już i patrzeć mi się na tamte odechciało, odkąd ciebie zobaczyłem. Czyś ty na mnie jakie czary rzuciła?

Pochwycił ją w pól i całował oczy, które na niego rzuciły urok, w usta, w szyję, a Hanka nie broniła się.

Kiedy wracali łączką do chałupy, już się umówili, że po zniwach Witek przyśle swatów do Grocholaka, a przed Świętym Michałem podziękuje panu za służbę i pojedzie z Hanką do jej wsi...

.

Kiedy mały Adaś ukończył szkoły i wyrósł na pana Adama, praktykował kilka lat przy ojcu, a po jego śmierci sam objął gospodarstwo.

Do wszelkich druków miał nieprzezwyjężony wstręt, więc dla zabicia czasu objeżdżał konno swoje posiadłości, albo obchodził je z dubeltówką, polując na kuropatwy, zające i wiejskie dziewczyny. Najwięcej podobał mu się ten ostatni rodzaj sportu—i trzeba przyznać, że uprawiał go z powodzeniem. Jego śmiałość i hojność zdobywały mu względy niejednej wiejskiej piękności. Dobiegał

trzydziestki, był przystojny i ubierał się z przesadną, ale, jak na prowincjonalne stosunki, uderzającą elegancją. A że obok tych zalet jeszcze posiadał 40 włók ziemi, więc nie dziw, że do niego skrycie wzdychały okoliczne panny, a rodzice często roztrząsali szanse wydania za niego jednej z córek.

Pan Adam na spojrzenia panien odpowiadał spojrzeniami, na uśmiechy uśmiechami. Przyjmował zaproszenia matek, sąsiedzkie rady ojców, lecz unikał sakramentu małżeństwa. Czuł bowiem niejasno, że wraz z tym sakramentem skończy się dla niego epoka używania, a zacznie epoka udęczeń.

Zresztą, po cóż miał się żenić? Był zdrow, miał czysty majątek, a w domu wszelką wygodę, bo o nią dbała Zosia. Była to wiejska dziewczyna, przekształcona na gospodynię, która od trzech lat spełniała przy panu Adamie większą część obowiązków, będących udziałem żony, a miała w jego oczach tę wyższość nad najlepszą żoną, że ją można było każdej chwili zastąpić inną.

Zosia była córką Rochowej, komornicy, której niegdyś, jako żonie kościelnego, działało się niezle. Ale Roch umarł, zostawiając jej i dziesięcioletniej córce w spadku po sobie... nędzę. Rochowa odnajęła kąt w czworniaku od bezdietnego parobka, chodziła do roboty w polu; za pół rubla miesięcznie

usługiwała ekonomowi—i byłaby z dzieckiem przy-
mierzała głodu, gdyby nie łaska pańska i litość
chłopów, którzy ją czasem poratowali odrobiną
kartofli albo żyta.

Tak upłynęło lat siedm... Rochowa postarzała
i pochyliła się, a Zosia wyrosła na ładną dziewczy-
nę z niebieskimi oczyma i tak białą skórą na
twarzy, że nie mogło jej opalić nawet lipcowe
słońce.

Była bardzo wybujała i szczupła—i dlatego
nie podobała się we wsi, gdzie ją powszechnie
uważano za cherlawą.

Inaczej jednak wydała się panu, kiedy ją raz
spotkał wracającą od rzeki z wiadrami. Zatrzy-
mał się, zamienił z nią kilka słów, nie mogąc
wyjść z podziwienia, iż mała Zośka, którą nieda-
wno jeszcze widział bawiącą się z dziećmi na go-
ścińcu, urosła na dużą i tak nie po chłopsku ładną
dziewczynę.

Następnej niedzieli Zosia ukazała się na su-
mie w nowej chustce i niebieskich paciorkach,
a w kilka miesięcy później, po gwałtownej scenie
z matką, wpadła do dworu i rzuciła się do nóg
dziedzicowi, nieprzytomna z płaczu i wstydu...

Dziedzic uspokajał ją, jak się zwykle uspokaja
w podobnych razach—obiecywał krowę i męża.
Ale Zosia tak go zaklinała, tak groziła, że się uto-
pi, że pan Adam wreszcie uległ. Przestraszył się

sąsiedztwa rzeki i zbyt rozgłosnej awantury, i kazał gospodyni przyjąć Zosię do dworu w charakterze pomocnicy, Rochową zaś ułagodził kilku zagonami pod kartofle...

Jakiś czas wszystko szło dobrze... Zosia była tak pojętna, iż po upływie roku zajęła miejsce gospodyni. Dogadzała panu we wszystkim, — usuwała od niego dziecko, którego płaczu nie znosił, — doglądała drobiu, hodowała kwiaty, a wieczorami nalewała herbatę. Wszystko to robiła spokojnie, delikatnie, z wyrazem takiej psiej wierności i przywiązania w oczach, że pan Adam pieścił ją, stroił i, o ile był w domu, nie mógł obejść się bez jej towarzystwa.

Zosia przestała nosić się po chłopsku — miała suknie wełniane z obcisłymi stanikami, buciki na wysokich obcasach, i ponieważ pan lubił przezroczystą białosć jej skóry, zasłaniała się od słońca kapeluszem, ku wielkiej uciechu całej wsi... Miała tylko jedną wadę w oczach pana Adama: nie była dość wesoła. Czasami, siedząc z dzieckiem u piersi, płakiwała, albo wywodziła przed panem żale, że ksiądz nie chce jej dać rozgrzeszenia, a gospodarskie córki w kościele odsuwają się od niej...

Z początku pan Adam kazał jej żartować z tego, pocieszał ją pocałunkiem, albo pieśczołą okazaną dziecku, ale w końcu znudził się i zaczął stronić od domu. Zosia spostrzegła to i, przewidując,

że zobojętnienie może skończyć się zupełnem zerwaniem, desperowała jeszcze bardziej. Kiedy po parudniowej nieobecności pan Adam wracał do domu, Zosia, którą przez ten czas służba drażniła tem, że dziedzic jeździł w konkury, spotykała go z płaczem i pogroźkami, że utopi dziecko, a potem siebie... Jeżeli w takiej chwili nawinęła jej się mała Marysia, mająca już podówczas trzy lata, chwyciła ją za koszulinę i z wściekłością, której nikt nie podejrzewał w tak wiotkiej istocie, uderzała nią o ścianę. Potem nagle rzucała się do nóg panu, pytając, co mu jest winna, że ją chce porzucić, jak psa, a następnie tuliła do siebie rozżalone i przed chwilą bite dziecko...

Pan Adam wprawdzie jeszcze nie miał zamiaru zenić się, ale już myślał o wydaleniu Zosi. Dokuczyła mu swoją zazdrością i łzami. W dodatku zaś była znowu niezdrowa, a dziedzicowi bynajmniej nie uśmiechała się perspektywa powtórnego ojcowstwa.

„Zresztą — myślał, — czy dla niej samej nie będzie lepiej, jeśli ją wyposaże i wydam za jakiego porządnego chłopca?“

Gdyby pan Adam zajrzał w głąb swego serca, przekonałby się, że dbałość o los Zosi pojawiła się u niego dopiero od chwili poznania Hanki. Jej widok bowiem przekonał go, że gust do blondynek był u niego tylko przemijającym, a że w rzeczywi-

stości lubi brunetki o śniadej cerze i ognistych oczach... Hanka jakby stworzona dla niego: zachwała, zalotna i zmysłowa. Był znawcą i spostrzegł to odrazu po oczach i grubych, czerwonych ustach dziewczyny. Ta przynajmniej nie będzie robić scen; gdy mu się sprzykrzy, odprawi ją bez obawy skandalu. Przytem Hanka nie miała rodziców, a matka Zosi, która lubiła lamentować przed nim, rozstrajała mu nerwy...

Takie to myśli snuły się po głowie młodego dziedzica, kiedy w towarzystwie Bekasa wracał ze żniwa do domu...

Zastał stół nakryty, świeże kwiaty na komin-ku, a Zosię czysto ubraną, szyjącą dla dziecka przy otwartem oknie...

Obraz ten, niepozobawiony uroku, dziś niemi-
le oddziaływał na pana Adama. To, co go dawniej pociągało ku Zosi: delikatność jej wyglądu, łatwość przystosowania się do nowego życia, swoboda w noszeniu stroju, do którego nie nawykła, wszystko to dziś drażniło go niewymownie. Drażniła go hałasująca w sąsiednim pokoju Marysia, która co chwila przybiegała i wołała na niego „tato;“ drażniły duże niebieskie oczy Zosi, śledzące go z niepokojem i smutkiem, który zdawał się lada chwila rozpląnąć we łzach, a on łez nienawidził.. Podług niego, Zosia na damę nie była dość wykwintna, a na chłopkę niedość prosta. Nie

zdawał sobie sprawy, że, odrywając ją od zajęć, do których przywykła od dzieciństwa, i otaczając dostatkami, wydelikacił jej ciało i nadmiernie rozwinął wyobraźnię.

Zosia przywiązała się do pana Adama nie tylko dlatego, że ją stroił, ale że widziała w nim coś wyższego i godnego podziwu. Z tą miłością walczyły ciągle wyrzuty sumienia, wstyd, a od pewnego czasu niepokój i obawa, że ją opuści.

Była z natury cicha i potulna, i nie umiała wyzyskać położenia faworytki. Służba nie tylko nie okazywała jej żadnych względów, jak to zwykła czynić w podobnych razach, ale przeciwnie—często drwiła z niej... Bo też Zosia ustępowała każdemu i pokornym zachowaniem zdawała się przeproszać wszystkich za swoje niezasłużone szczęście. Była głęboko przekonana, że po to tylko jest na świecie, ażeby pana kochać i służyć mu...

Spostrzegłszy pana Adama, zerwała się i zajęła przyrządzeniem herbaty. Potem usiadła przy końcu stołu, podsuwała mu masło, owoce... Czujna na każde poruszenie, zdawała się zebrać o uśmiech albo dobre słowo.

Pan Adam nawet nie obejrzał się na nią, wypił w milczeniu herbatę, poszedł do swego pokoju i kazał zawołać ekonoma. Czekaając na niego, zapalił papierosa i przechadzał się z zafrasowaną miną.

„Raz trzeba z nią skończyć — myślał. — Robię to dla jej własnego dobra; przecież ożenić się z nią nie mogę; lepiej więc wydać ją za mąż, dopóki stan jej nie jest widocznym: to rzecz uprosi. Ale któregooby tu chłopca wybrać dla niej?...”

Zatrzymał się i spojrział przez otwarte okno. Żniwiarze z kosami i sierpami stali pod oficyną, czekając na wódkę i zapłatę, którą zwykle w sobotę otrzymywali wzamian za kwitki. Między dziewczętami stała Hanka, a za nią Witek z kosą, zarzuconą na plecy.

„Śliczna dziewczyna, prawdziwy typ wiejskiej piękności!” — pomyślał znowu pan Adam.

Dało się słyszeć stąpanie ciężkich kroków za drzwiami, a po chwili ukazał się w nich ekonom, kontrast nieboszczyka Kacperskiego: chudy, z łysą głową, żółtą twarzą i zezowatemi oczyma.

Załatwiwszy gospodarskie interesa, pan Adam jakby od niechcienia spytał:

— Słuchaj, Krzycki, czy to dobra robotnica ta Hanka?

— Ale! jaka tam robotnica.

— Cóż, niezdatna?

— Zdatna jest; jeżeli chce, zrobi lepiej od innych... Ale nieczęsto chce, tylko zęby szczerzy i parobków mi bałamuci. Może jak wyjdzie za mąż, ustatkuje się...

Pan Adam odwrócił się do okna, chcąc ukryć niepokój, jaki odmalował się na jego twarzy.

— Czy to ona ma iść za mąż?

— Gadają na wsi, że Witek się w niej durzy.

— Który Witek?

— A nasz parobek, proszę wielmożnego pana. Głupi on! brać dziewczynę biedną, której w głowie tylko stroje i tańce—ciągnął dalej Krzycki, ośmielony milczeniem pana.—Co on z nią poźnie, kiedy oprócz sukmany na grzbiecie nie ma... A szkoda chłopca, zmarnuje się przy niej...

Jakaś myśl nagle błysnęła w głowie pana Adama.

— Czy wielmożny pan nie ma mi nic więcej do rozkazania?

— Nie, możesz odjeść.

— Padam do nóg!

Ekonom wyszedł, a dziedzic został sam...

„A zatem Witek chce się żenić — myślał.— Jesteśmy rówieśnikami, a chłop w tym wieku zwykle myśli o żeniactwie. Nie znajdę lepszego męża dla Zosi: on nie ukrzywdzi ani jej, ani dziecka. Dam taki posąg, jakiego się nie spodziewa: cztery morgi, chatę i jeszcze coś z inwentarza.“

„A jeżeli nie przystanie?“—szepnął panu Adamowi wewnętrzny głos.

„Witek nie miałby się zgodzić? — uspokażał dziedzic samego siebie. — Chłop jest tak chci-

wy na ziemię, że dla jednej morgi wzięłoby Zosię z pocałowaniem ręki. Witek nawet pewno nie marzył o tem, że zostanie gospodarzem. Wartoby jednak kuć żelazo, póki gorące — myślał, chodząc po pokoju. — Może jeszcze dziś napomknę o tem Zosi. Ale nie, jestem zmęczony, a ona jak zacznie lamentować, to mi przez całą noc nie da spokoju.“

Zabezpieczywszy w myśli los Zosi i Witka, pan Adam przeszedł do sypialnego pokoju i zaczął się rozbierać. Co zrobi z Hanką, tego nie formułował jeszcze nawet przed samym sobą. Wiedział tylko, że jej z lichwą wynagrodzi utratę narzeczonego.

Nazajutrz w czasie sumy pan Adam, rozparty w kolatorskiej ławce, słuchał kazania proboszcza, — to znaczy, że oczami uzbrojonemi w szkła ścigał najprzód wystrojone sąsiadki, a potem klęczące po prawej stronie nawy baby i dziewczęta wiejskie.

W kościele było gorąco i duszno...

Panie, zasłaniając usta rękoma, ziewały, poczem spuszczały oczy i znowu przybierały pozy pełne pobożności i skupienia. Z bab jedne drzemały, inne tuliły do siebie kwilące dzieci. Chłopi przestępowali z jednej nogi na drugą, kręcili czapki w rękach, pocili się i wyglądali raczej znudzeni, aniżeli przerażeni opisem piekła, które stanowiło treść dzisiejszej nauki.

Wzrok pana Adama padł na zgrabną postać Hanki, która w aksamitnym gorsecie, obwieszona paciorkami, z książką do nabożeństwa w ręku stała niedaleko niego.

„Żadna z tych panien jej nie dorówna“—pomyślał, zwracając się w stronę, z kąd rzucały na niego tęskne spojrzenia kandydatki do stanu małżeńskiego.

Nie sam tylko dziedziec podziwiał w tej chwili Hankę. I Witek także pożerał ją oczyma, i, pomimo obawy piekła, myślał, że wkrótce z tej samej ambony usłyszy swoją zapowiedź z Hanką.

Przy jednym z bocznych ołtarzy siedziała na stopniach Zosia. Unikała głównej nawy i, jak zwykle, kryła się w cieniu. Z tego miejsca nie była widziana, a sama doskonale widziała panienki, z których każda mogła zostać żoną pana Adama i którym dlatego przyglądała się z tak bolesną ciekawością.

Groźne słowa księdza jak grad spadały na jej pochyloną głowę; zakryła twarz rękoma i z przerażeniem słuchała opisu mąk, na które zasłużyła swemi grzechami.

Co miała robić? czy doprawdy dla takich, jak ona, i Pan Bóg nie ma miłosierdzia?

Kazanie skończyło się; ksiądz, ubrany w pontyfikalne szaty, odrpawiał sumę; dzwony dzwoniły, dym kadzidła wznosił się do góry, zasłaniając

twarz ukrzyżowanego Chrystusa, a z oczu Zosi płynęły łzy i spadały na stopnie ołtarza.

Przez całą ową niedzielę pan Adam nie mógł znaleźć sobie miejsca; odmówił zaproszeniu sąsiada, obiadu prawie nie tknął, wreszcie gwizdnął na Bekasa i poszedł w pole.

Postanowił nieodwołalnie dziś rozmówić się z Zosią—i to wprawiało go w stan takiego niepokoju. W jego sercu zupełnie mimowolnie obudziło się coś nakształt żalu. Czuł, że Zosi nie można stawiać na równi z dziewczętami, które opłacał pieniędzmi, a później bez skrupułu oddalał. Jedne po drugich zaczęły wychylać się już zatarte wspomnienia ich kilkoletniego pożycia... Widok rzeki przypominał mu pierwsze spotkanie z Zosią, kiedy wysmukła i wiotka z ciężkimi wiadrami powracała do domu. Była wtedy bardzo ładna ze spuszczonej oczyma, z rumieńcem zmieszania na twarzy. A potem, zamieszkawszy z nim, jakże umiała mu dogadzać! z jakim taktem usuwała się przed gośćmi! jak go pielęgnowała, kiedy poprzedniego roku zapadł na tyfus! Ile razy otworzył oczy, pochylała się nad nim niespokojna, pełna czułości twarz Zosi; ile razy na rozpalonej głowie uczuwał orzeźwiający chłód, wiedział, że to ona zmieniła mu okład...

„Człowiek jest głupi, że się tak przywiązuje“—myślał pan Adam, pragnąc stłumić wzrusze-

nie. I znowu uspokajał się tem, że, im prędzej wydali Zosię, tem większą odda jej przysługę... i obiecywał sobie, że jej nigdy na niczem nie będzie zbywało.

Już zmrok zapadał, kiedy wrócił do domu. Poszedł wprost do pokoju Zosi, otworzył drzwi i zatrzymał się na progu. Marysia rozebrana kłęczała na niskim, drewnianem łóżeczku i powtarzała za matką pacierz: „daj tacie zdrowie, szczęście i wszystko dobre.“

Pan Adam szybko zamknął drzwi i wyszedł. Już się był zdobył na odwagę, już sobie ułożył całą rozmowę z Zosią, ale modlitwa dziecka na nowo obudziła w nim coś bardzo podobnego do wyrzutów sumienia. Uczuł żal do dziewczyny za to, że mu było tak trudno rozstać się z nią.

Po chwili znowu skierował się ku pokojowi Zosi. Wolał, aby stanowcza rozmowa odbyła się w nim, jako najbardziej oddalonym od służby. Przeczuwał bowiem, że nie obejdzie się bez sceny.

Marysia już spała, a Zosia, pochylona przy lampce, wskazując sobie palcem wiersze, półgłosem czytała na książce do nabożeństwa. Obejrzała się i, spostrzegłszy pana Adama, z uśmiechem podała mu krzesło. Już tak dawno nie był w jej pokoju!

Pan Adam usiadł, ale zdawał się być zakłopotany; nie wiedział, od czego zacząć; rzucił okiem na książkę.

— Cóż to czytasz? Jakże ci idzie? — zapytał.

— Już lepiej, tylko jeszcze prędko nie umiem—odpowiedziała, rumieniąc się.

— To dobrze — odezwał się pan Adam, choć czuł, że jest bardzo źle... Zacierał ręce, zapalił papierosa, przeszedł się parę razy po pokoju, wreszcie usiadł i zaczął mówić:

— Słuchaj, Zosiu, mam ci coś ważnego do powiedzenia; tylko nie przerywaj mi, nie płacz, bo wiesz, jak tego nie lubię.

Dla dodania sobie odwagi chciał ton swój uczynić stanowczym. Zosi wydał się on groźnym. Tknęło ją złowrogie przecucie. Serce zaczęło jej bić gwałtownie, w gardle coś ją tak ścisnęło, że przez chwilę nie mogła wydobyć tchu.

„Żeni się!“ — przeleciało jej przez myśl jak błyskawica, i wydało się jej, że ze wszystkich stron słyszy wołania:—pan się żeni! pan się żeni!

Zbladła i nie była w stanie wymówić słowa. Jej spokój wprowadził w błąd pana Adama. Sądził, że natrafił na szczęśliwą chwilę i że burza nie przyjmie groźniejszych rozmiarów.

— Chcę wydać cię za mąż—rzekł głosem, który miał być wesołym, ale w którym było czuć wewnętrzne drżenie.

Zosia zerwała się z krzesła; przez chwilę nie rozumiała, co się z nią dzieje; zdawało jej się, że oszaleje.

— Co, chcesz mnie wypędzić? — zawołała ochryplym głosem, zapominając o uszanowaniu, należnem panu.—Wypędzić, jak psa! Ale ja nie odejdę! Tu jest moje miejsce i tu zostanę!

Zosia miotała się w gniewie, biegała po pokoju, chwyciła pana Adama za ramię i ścisnęła go, wołając:

— Nie odejdę, nie odejdę!

Nie spodziewał się po niej tak gwałtownego wybuchu.

— Zosiu, oszalałaś! Posłuchaj, co do ciebie mówię! Ja cię nie wypędzam... chcę wydać cię za mąż... Dostaniesz grunt, będziesz gospodynią.

Potrząsł nią silnie, żeby wydobyć ramię z jej uścisku.

Oprzytomniała i padła przed nim na kolana.

— Zlitujcie się, panie, nie wypędzajcie mnie! Cóżem ja wam winna? Już nigdy nie będę płakać, nigdy się nie odezwę, tylko pozwólcie mi zostać!

Łkania rozrywały jej piersi.

— Zosiu, uspokój się. Przecie rozumiesz, że cię nie mogę dłużej trzymać; opamiętaj się!

Dziewczyna skoczyła, pobiegła na drugi koniec pokoju, wyciągnęła z kołyski śpiące dziecko i z niem razem rzuciła się przed panem Adamem.

— Marysia, ty proś tatę, proś, aż się ulituje. Przecie ty jego dziecko. Proś, Marysia, słyszysz!

Nogi pana Adama oplotła rączynami dziecko, które, nagle zbudzone i przerażone łzami matki, zaczęło krzyczeć.

Pan Adam schwycił się za głowę; było coś tak rozdzierającego w rozpaczycy Zosi, w krzyku Marysi, że przez chwilę myślał, iż ulegnie. Ale zapanował nad wzruszeniem—bo na cóżby się zdało, gdyby dziś nie doprowadził do skutku swojego zamiaru? Jutro sceny rozpoczęłyby się na nowo. Nie kochał już Zosi i czuł, że go nęca czarne oczy Hanki.

— Wstań i nie rób awantur—rzekł ostro.—
Wszystko to na nic się nie zda; nie rozumiesz, że to robię dla twojego dobra.

Zosia zdawała się nie słyszeć i tylko ciągle powtarzała:

— Marysia, proś, ty proś!.. przecie nad własnym dzieckiem będzie miał zmiłowanie.

— Daj pokój dziecku, połóż je spać i nie płacz — niecierpliwie zawołał pan Adam, który zauważył, że scena ta nadmiernie się przeciąga.

— Dam ja jej spokój! — krzyknęła Zosia, w której na nowo obudziła się wściekłość.—Zabiję tego szczeniaka! Po co ma żyć! Tam niech dzieci żyją, gdzie mają ojca, gdzie mają dom... ale takie niech przepadają!

Za każdym słowem ręka jej opuszczała się na niewinną głowę Marysi, która płakała coraz głośniej.

Pan Adam wyrwał dziecko i uniósł je wysoko, ażeby go Zosia nie mogła dostać.

— Suka, a nie matka! — szepnął przez zaciśnięte zęby.

— A ty co? — krzyczała Zosia nieprzytomnie.—Cóż to, nie twoje dziecko? wyprzesz go się może, ty zaprzańcze! Oddaj mi ją!—wrzasnęła nagle, rzucając się na pana Adama i wrywając mu Marysię.—Oddaj, ona moja! Wezmę ją... pójdę, gdzie mnie oczy poniosą! A tobie niech Pan Bóg zapłaci za naszą krzywdę, niech ci się w godzinie skonania przypomną nasze łzy!

Chwyliła dziecko i jak szalona wypadła z pokoju. Biegła przez ogród, nie oglądając się, dopóki się nie potknęła o drzewo i nie upadła. Ból i świeże wieczorne powietrze wróciły jej przytomność. Utuliła Marysię, która wkrótce zasnęła,—potem przypadła twarzą na zroszoną ziemię. Płakała długo, aż jej wreszcie zabrakło łez i zbudziła się w niej myśl, ogłuszona niespodzianym ciosem.

Co pocznie? Gdzie pójdzie?... Do matki? Za nic. Cóżby u niej robiła? Wszyscy naigrawaliby się z niej... Do służby nikt jej z dzieckiem, a wkrótce z dwojgiem dzieci, nie weźmie. Przyszłość zdawała jej się równie czarną, jak te czarne cienie, które padały od starych lip...

— O! ja nieszczęśliwa!—jęknęła, dźwigając się z ziemi i z trudem podnosząc uśpioną Marysię.

Siły zupełnie odmawiały jej posłuszeństwa—nie doszłaby nawet do wsi... Zresztą któreż drzwi otworzyłyby się przed nią? Czy miała własny kąpiel, gdzie mogłaby złożyć zmęczoną głowę? czy choć jeden głos ludzki odezwałby się do niej inaczej, jak z wyrzutem albo szyderstwem?

Postała chwilę, niepewna, co robi, a potem powlokła się do domu nieśmiało, jakby zakradała się tam, gdzie już dla niej nie było miejsca.

Niepostrzeżona dostała się do swego pokoju, zamknęła drzwi, ułożyła Marysię i sama w zroszonej sukni i z rozpłomienioną twarzą rzuciła się na łóżko.

W tej samej porze Witek wrócił z miasteczka, dokąd go pan wysłał po listy. Odprowadził konie, a potem skierował się do karczmy, pewien, że tam spotka Hanę. W kieszeni od sukmany niósł karmelki, na które dziewczyna była bardzo łakoma, i żółte paciorki, o które się dawno przymawiała.

Już zdaleka doszły go dźwięki skrzypców. W karczmie było tłumnie i hałaśliwie. Starsi gospodarze siedzieli na ławach pod ścianą, paląc fajki i pijąc; młodzi tańczyli, dodając sobie animuszu tupaniem i okrzykami. Dziewczęta hasały—niektóre z parobkami, inne między sobą,—a nawet i starsze baby dały się skusić dźwiękom oberka i puszczały się w taniec.

Witek dojrzał oboje Grocholaków i ich córki, ale Hanki nie było.

— Pewnie kazali jej pilnować chałupy—pomyślał,—to biedaczce musi się przykrzyć.

Kazał dać sobie miarkę wódki i kawał wędzonej kiełbasy, i wyszedł, nie zważając na zaczepki dziewcząt, które ciągnęły go do tańca.

Co mu po tańcach, kiedy Hanki niema? Pójdzie do niej pod płot—choć zobaczy ją, pogada.

Dochodząc do Grocholakowej chałupy, spostrzegł, że coś białego mignęło między drzewami.

Czyby Hanka chodziła po podwórzu? Pies z sąsiedniej zagrody szczeknął, potem umilkł, a Witek nadstawił ucha. Czy mu się zdaje, że z za płotu dochodzi męzki głos, przerywany stłumionym śmiechem Hanki?

Któżby to mógł być z nią?

Krew uderzyła Witkowi do głowy.

Może go Hanka zwodzi? Po chwili uśmiechnął się z takiego przypuszczenia. Pewnie mu się zdawało. Nic innego, tylko jedna z dziewcząt przyszła do niej i chichoczą.

Poszedł dalej, kryjąc się w cieniu drzew, żeby nikt nie widział, iż tak późno idzie do Hanki.

Naraz wyraźnie usłyszał męzki głos; słów nie rozróżnił, ale już nie mógł wątpić, że z Hanką rozmawia chłop...

„To bałamutna dziewczyna!“ — pomyślał z gniewem i zbliżył się jeszcze, chcąc ją znienacka najść i nastraszyć. Już tylko parę drzew oddzielało go od chałupy, kiedy nagle zatrzymał się i nie śmiał kroku postąpić.

Z Hanką rozmawiał dziedzic; to jego jasne ubranie bielilo się między drzewami.

Witkowi serce zabiło gwałtownie, ręce mu się trzęsły; ukryty za pień starej topoli patrzył i słuchał, w nadziei, że coś dosłyszcy i zobaczy. Pan, pochylony nad Hanką, mówił do niej, a ona śmiała się dziwnym, urywanym śmiechem. Potem Witek najwyraźniej dojrzał, jak dziedzic objął dziewczynę za szyję.

— Nie wytrzymam — syknął. Coś go ciągnęło naprzód. Pięści składały się do bicia, ale z drugiej strony niewidzialna siła przykuwała do miejsca i jakiś głos groził: „nie waż się, przecie to pan...“

Dał się słyszeć szelest i odgłos kroków; Witek przysiadł na ziemi i ukrył się jeszcze staranniej; po chwili dziedzic przesadził płot i szybko poszedł gościńcem ku dworowi.

Witek czekał, aż zniknie na zakręcie.

„Czemu on się ogląda? — myślał — czemu idzie tak wolno? co chce jeszcze widzieć?“

Pan ani myślał oglądać się — to Witkowi każda chwila wydawała się tak długą.

Nareszcie! Zerwał się i w mgnieniu oka był na Grocholakowem podwórzu. Hanka właśnie weszła do izby i zamykała drzwi za sobą.

— Hanko!—zawołał stłumionym głosem.

— Kto tam? — odezwała się z za drzwi dziewczyna.

— To ja, chodź ino tu...

Hanka uchyliła drzwi i, poznawszy Witka, stanęła na progu.

— A co?

— Kto tu był?—zapytał Witek.

— Kto miał być... nikt nie był—odpowiedziała dziewczyna, trochę przestraszona tonem Witka.

— Łzesz! jakto nikt, a dziecko? Co on tu robił u ciebie?—z uniesieniem wołał Witek.

— A tobie co do tego? — zuchwale odparła dziewczyna.

— Co mnie do tego! a toż nie przysięgałaś mi? już zapomniałaś, że zaraz po Matce Boskiej Zielnej mamy się ożenić?

— Ojej! nie z tego nie będzie, kiedyś taki zazdrośnik. Nic nie zrobiłam złego, a przychodzisz do mnie, jakbyś mnie chciał bić... Co mi po takim gniewliwym chłopie. Szukaj sobie innej dziewczyny!

Cofnęła się i chciała wejść do izby, ale Witek uchwycił ją za rękę.

— Hanka, co ty gadasz! Gdzie ja gniewliwy! Jabym i nie umiał gniewać się na ciebie. Ale po co ty, Hanka, po nocy rozmawiasz z dziadkiem? Ty nie wiesz, ty tu od niedawna... — ciągnął dalej, mocno ściskając jej ramię.—Nasz dziadek pan niezgorszy, ale okrutnie na dziewczyny łakomy. Nie patrz ty na niego; zobaczysz, że pożałujesz...

— Wielki z ciebie chłop, a głupi!—odpowiedziała Hanka, która już po twarzy Witka zmiarkowała, że mu wszystko potrafi wmówić.—Cóż to ja miałam pana psami wyszczuć? Przyszedł, pośmiał się, no i co w tem złego? Gdzie ty masz rozum? Przecie jak się poženimy, a dziadek będzie na nas łaskawy, to i dla ciebie lepiej.

— Ale po co on ciebie za szyję ściszał?—rzekł znowu Witek, który nie mógł tego przenieść, żeby Hanka kto dotknął.

— Oszalałeś, alboś się może upił w karczmie!—gniewnie odparła dziewczyna.—Na żartach się nie znasz! Już ja widzę, że z naszego wesela nic nie będzie. Idź ty sobie z Panem Bogiem! nie pójdę za ciebie, i tyle!

— Hanka, co ty gadasz?... Gdzieżbyś ty mnie miała teraz porzucić!

Witkowi łzy zakręciły się w oczach...

— Przecie ty wiesz, jak ja ciebie kocham! Patrz, przyniosłem ci żółte paciorki, jakie chciałaś. Wyciągnął paciorki z kieszeni i podał jej...

Hanka obejrzała je z uśmiechem. Co jej teraz po takich paciorkach, kiedy pan przyrzekł jej prawdziwe korale!

— I karmelki przywiozłem; chcesz? — zapytał chłop.

— Dawaj!—śmiejąc się, odparła dziewczyna i usiadła na progu.

— Cóż, nie gniewasz się już?—siadając obok niej, spytał Witek.

Hanka tak zręcznie pokierowała sprawą, że teraz Witek czuł się winnym wobec niej.

— Nie gniewam się, ale co z ciebie głupi chłop, to głupi!—chrupiąc karmelki, odpowiedziała Hanka.

— Kiej mnie tak w sercu zabolalo, jak zobaczyłem przy tobie dziedzica. A jak cię objął, tom się ledwie powstrzymał... aż mnie coś ciągnęło, żeby go pięścią... Po co zaczepia dziewczęta?

— Ej, co z tobą gadać! Lepiejbyś do domu poszedł. Tylko patrzeć, jak wujowie wrócą, i będę miała za swoje.

Hanka wstała, Witek na pożegnanie pocałował ją w oba policzki i poszedł. Był uspokojony. Gdzieżby go Hanka zwodziła i za co, kiedy on był dla niej z takim szczerem sercem! Czuł tylko głuchy żal do pana. I stanęły mu w pamięci słowa matki: „Co wypatrzysz przy dworze? Co cię tam spotka dobrego? Sponiewierają cię ino, i tyle.“

„Mało ma dziewczeczek, jeszcze i do naszych dziewcząt łazi—myślał, wracając do domu.—Ale jak się ożenię, wara od niej, bo, jak mi Pan Jezus miły!...“

Witek nie śmiał dokończyć i położył się spać...

Następny tydzień był ciężki dla pana Adama. Jednego dnia Zosia padała mu do nóg i prosiła o przebaczenie, drugiego obrzucała go przekleństwami... trzeciego groziła mu, że się utopi...

Pan Adam nie przewidywał końca temu wszystkiemu i dałby nie cztery morgi, ale czterdzieści, żeby się od niej uwolnić... Wezwał wreszcie do pomocy Rochowę i przedstawił jej całą sprawę.

Rochowa miała więcej doświadczenia od córki i umysł praktyczny; nieraz też mawiała Zosi:

— Cóż ty myślisz, że się pan z tobą ożeni, albo że cię będzie wiecznie trzymał?... Patrz na Marysię: tak samo trzy lata była w Sobólce przy dziedzicu, a potem co?... Odprawił ją z dwojgiem dzieci i oprócz szmat nic nie dał... A Kaśka z Kalinówki? Chorą rządcą wypędził ze dworu, jak młoda dziedziczka miała przyjechać. Też krzyczała, że się utopi. Po co to darmo gębę psuć?... Nie ty pierwsza, nie ty ostatnia!

Przez tych kilka lat Rochowa postarzała się bardzo, ciężko jej było pracować, przytem dokuczała jej samotność. To też starowina często za-

glądała do karczmy, zostawiając tam każdy grosz, wyżebrany u pana i u Zosi. Uśmiechała się jej myśl spokojnego kąta w domu córki, gdzie mogłaby odpocząć i kołysać wnuczeta.

Pan Adam nie omylił się co do skuteczności jej interwencji. Kiedy bowiem Rochowa przez kilka dni z rzędu płacząc, prosząc i grożąc, przekładała Zosi, że jeżeli teraz nie przyjmie pańskiej ofiary, zostanie później wypędzona bez niczego, dziewczyna uległa. Wyczerpały ją łzy i bezsenność—i zobojeźniała na wszystko.

Rochowa z tryumfem zaprowadziła córkę do pana, kazała paść mu do nóg i podziękować za wszystko dobre. Zosia usłuchała, bo była teraz potulna jak dziecko. Pan podniósł ją, pogłaskał i rzekł:

— Zobaczysz, dam ci takiego męża, który cię będzie szanował i nie zrobi dziecku krzywdy.

Zosia słuchała w milczeniu... Nie zapytała nawet, kogo jej pan przeznacza. Wszystko jej było jedno.

Przy wyjściu dziecko wsunął Rochowej w rękę niebieski papierek, na widok którego łzy rozczulenia polały się jej z oczu.

— Takiego drugiego pana na świecie nie ma!—zapewniała Zosię, wracając z nią do jej pokoju.—Niech mu Pan Jezus wynagrodzi!

Pan Adam teraz dopiero odetchnął. Najtrudniejsza część sprawy była już załatwioną. O zgodzeniu się bowiem Witka na małżeństwo z Zosią nie wątpił i postanowił tegoż wieczora rozmówić się z nim...

Od owej nocy, w której Witek zobaczył u Hanki dziedzica, ogarnął go niepokój... Na razie dziewczyna tak zręcznie wszystko mu wytłumaczyła, że jej przyznał rację i nawet przeprosił, ale po głębszem zastanowieniu w jego umyśle zaczęły budzić się wątpliwości...

„Co pan u niej robił? — myślał naza jutrz. — Przecie darmo nie będzie wieczorami chodził do dziewcząt.“

Przypomniały mu się słowa Hanki: „Pozartował, pośmiał się, no i co w tem złego?“

„Może to i prawda — wmawiał w siebie chłop. — Ona toby ino chichotała cały dzień...“

Przecie za ten jej śmiech, za jej wesołość, on sam tak ją polubił.

Przez chwilę zdawał się być uspokojony, ale znowu stanął mu w pamięci obraz dziedzica, obejmującego Hankę. Krew w nim zawrzała... Sama myśl, że go dziewczyna zwodzi, tak go bolała, że ją chciał co prędzej zatrzeć.

„Abo to ja w życiu jedną dziewczuchę przez zbytki ścisakałem — pocieszał się, — a przecie nie z każdą żeniłbym się...“

Ale wtedy rzecz szła o inne dziewczęta, które mu były obojętne, a nie o tę jedną, którą kochał.

„Pocziwa dziewczucha nie da ścisnąć się pierwszemu, co ją zaczepi, choćby to był sam dziedzic. To wiem...”

Przez kilka dni następnych Hanka nie przychodziła na robotę do dworu, bo u Grocholaków było zniwo; ale Witkowi zdawało się, że to coś złego wróży.

„Dlaczego jej tu niema? — myślał — czyby jej dziedzic zakazał?”

Nareszcie we czwartek przyszła; Witkowi odrazu wydało się, że słońce jaśniej świeci, i tak uwiijał się przy robocie, że inni parobcy śmieli się z niego, mówiąc:

— Witek tak łapczywie kosi, jakby nie na pańskim robił, ino na swoim.

Ale po południu znowu obudziły się w nim podejrzenia. Pan przyjechał do zniwa. Kilka dni wcale nie zaglądał w pole, a przez ten czas i Hanka nie było; dziś, akurat kiedy dziewczyna przyszła, i on jest... Zatrzymał konia i coś do niej mówi. Witek słów nie słyszy. Hanka zwrócona do niego plecami, więc nawet twarzy jej nie może dojrzeć.

— Czego on od niej chce?—dręczy się Witek.

Kosa tak mu zaczyna ciążyć, że ją ledwie podnosi.

Dziedzie skręcił w bok, a Hanka znowu zabrała się do roboty.

„Dam ja jej! — myśli Witek z gniewem. — Po co zęby szczyrzy do każdego.“

Kiedy p. Adam pokłusował gościńcem ku domowi, Witek podszedł do Hanka.

— Co dziedzie mówił do ciebie? — spytał ją z tłumionym niepokojem.

— Eh, daj mi ta spokój! — odparła Hanka, chcąc zbyć go byle czem. — Co ci do tego?

— Co mi do tego? ja ci pokażę, co mi do tego! — groźnie zawołał Witek.

— I cóż mi zrobisz? — drażniła się z nim Hanka. — Jużem ci powiedziała: odczep się ode mnie i szukaj sobie innej dziewczyny!

— Jak jeszcze raz zobaczę, że idzie do ciebie wieczorem, zaczaję się w krzakach i tak go zbiję, że nie wróci.

— Cha, cha, cha! — szydersko śmiała się dziewczyna — waż się ino go tknąć... obaczysz, do kryminału cię wezmą.

— To i wezmą, ale on tu łązić nie będzie! — z wściekłością odpowiedział Witek.

— Do roboty! — zawołał nadjeżdżający w tej chwili ekonom — przy tej dziewczce to się najlepszy parobek znarowi...

Witek wziął kosę i zaczął żąć.

Kiedy słońce zaszło, Hanka, nie oglądając się za nim, wróciła do swojej chałupy.

„Niema co, jeno ją dziedzie bałamuci — myślał w drodze do stajni. — A nie grzech mu to... przecie już jedną trzyma we dworze...”

Ledwie miał czas napić konie, kiedy mu dano znać, że go pan woła do kancelaryi. Dawniej rozkaz taki nie zdziwiłby Witka, dziś najmniej znacząca rzecz wydawała mu się podejrzaną.

Wszedłszy do pokoju, uklonił się czapką do ziemi i stanął na progu.

Pan Adam, który siedział tyłem do drzwi, odwrócił się.

— To ty Witek?

— Ja, proszę wielmożnego pana.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Cóż to, słyszałem, że się chcesz zenić?

„A jemu co do tego! — przemknęło, jak błyskawica, przez myśl Witka.

— Albo to mnie nie czas? — odparł krótko — chłopu ciężko przez baby.

— A w służbie u mnie zostaniesz?

Witek nie wiedział, co odpowiedzieć.

— A na zagospodarowanie masz?

— Szesnaście rubli mam u wielmożnego pana — rzekł.

„Po co on się o to wszystko pyta? — myślał Witek i nieufność jego wzrastała z każdą chwilą.

Podejrzewał dziedzica, ale nie mógł jasno sformułować, o co.

Po chwili milczenia p. Adam odezwał się:

— A chciałbyś mieć swoje chałupę i własny grunt?

Witek zmieszał się tak, że nic nie odpowiedział, otworzył tylko oczy i usta.

— Chciałbyś? — powtórzył dziedzic.

Chłop potarł ręką czoło. Czy mu się śni, czy pan z niego żartuje? Za co miałby mu dawać grunt i chałupę? Nagle rozjaśniło się w jego umyśle.

„Czyżby pan płacił Hance?..“ — Nie śmiał dokończyć, ale czapka wypadła mu z rąk i patrzył na dziedzica bezmyślnym wzrokiem.

— Słuchaj dobrze, co ci powiem — ciągnął, niezrażony jego dziwnym zachowaniem pan Adam: — dostaniesz cztery morgi gruntu, chałupę i pięćdziesiąt rubli.

— O Jezu, więc to prawda! — wyrwało się z piersi Witka.

— Będiesz gospodarzem, niczego ci nie zabraknie, dam i ziarna na zasiew; ale pamiętaj, żebyś dla dziewczyny był dobry i dziecka nie krzywdził.

Witek uczuł zawrót w głowie. „To Hanka ma dziecko?.. a z kąd dziedzic o tem wie?“ — myślał.

— Chcę zapewnić los Zosi, a żeś ty chłopak poczciwy, więc ciebie wybrałem jej na męża.

— Zosi?... co dziedzie powiedział?... Zosi? Więc nie o Hanke chodzi?

Pod Witkiem zachwiały się nogi i ogarnęła go radość tem większa, że ją musiał tłumić w sobie. Gdyby mógł, padłby do nóg dziezdicowi i przeprosił go za swoje podejrzenia; a gdyby tu Hanka była, wiedziałby, jak ją przebłagać! Pótyby całował, ażby mu wszystko darowała.

Pan Adam, który już dobrą chwilę obserwował Witka, dostrzegł, że mu ręce drżały.

— No cóż, przystajesz?—zapytał.

Witek tylko zaśmiał się bezmyślnym śmiechem.

Jakżeby on mógł żenić się z Zosią?.. przecie on tylko jedną Hanke lubi, na inne dziewczęta już od pół roku nie patrzy.

— Nie mogę—odezwał się wreszcie.

— Oszalałeś! pomyśl tylko, co dostajesz; przecie na taki posag zlakomiłby się niejedyn gospodarski syn...

— Kiej nie mogę — stanowczo odparł chłop.

— Namyśl się dobrze, żebyś później nie żałował.

Witek zaciął się i tylko ciągle powtarzał: nie mogę, nie mogę.

— Ha, jak uważasz — rzekł ostatecznie pan Adam, odprawiając go.—Znajdzie się inny.

Niespodziany opór Witka rozdrażnił pana Adama. Wmawiał w siebie, że go wybrał na męża

dla Zosi, ponieważ bez obawy może powierzyć mu los dziewczyny i dziecka. W istocie jednak nie dogadzało mu uczucie Witka dla Hanki. Wprawdzie dobrze wiedział, że wobec takiej dziewczyny współzawodnictwo z parobkiem nie jest dla niego niebezpieczne,—zawsze jednak wolałby, ażeby ten węzeł rozwikłał się przez małżeństwo Witka z Zosią.

Zawołał ekonoma i, opowiedziawszy mu, o co chodzi, polecił wynaleźć innego porządnego chłopca.

— Ale pamiętaj, żeby to był chłop trzeźwy i pracowity. Nie oddam Zosi byle komu, i, uważasz, niech się to jutro skończy; chcę, żeby w niedzielę wyszła pierwsza zapowiedź.

Krzycki, przejęty ważnością powierzonej sobie misyi, mrugnął zezowatem okiem, na znak, że rozumie, i oddalił się, a pan Adam poszedł nad rzekę, gdzie w zaroślach czekała na niego Hanka.

We dworze pogasły światła, tylko w Zosi pokoju przez zamkniętą okiennicę świeciła jasna szpara.

Pochylona nad skrzynią, wyjmowała z niej cienkie koszule, muślinowe fartuszki, wełniane suknie ze świecącymi guzikami. Matka namówiła ją, żeby to wszystko sprzedała w miasteczku. Co jej teraz po takich rzeczach!

Zosi nie strojów było żal—ogłądała je, jak pamiątki po kimś umarłym. Brała każdy przedmiot do ręki, długo wpatrywała się w nie, jakby chcąc

przypomnieć okoliczności, w których go dostała, a potem kładła go obok siebie na ziemi.

Na dnie kufra stało pudełko, w którym Zosia chowała najcenniejsze rzeczy: korale ze złotą sprzączką, pierścionek z Matką Boską Częstochowską, sznur bursztynów, a pod tem wszystkim fotografię pana Adama w ramce z drobnych muszli, kupionej kiedyś u węgra. Pudełko wypadło z rąk Zosi, paciorki rozsypały się, a ona siedziała długo, wpatrzona w wizerunek dziedzica...

Ile na niego łez spadło tego wieczora, niktby nie zliczył. Marysia ich nie widziała. Spała z ręką wsuniętą pod głowę, nie domyślając się zmiany, jaka miała wkrótce nastąpić w jej życiu...

Kiedy Witek tego wieczora wrócił od pana, ogarnął go żal, że niesprawiedliwie pogniewał się na Hankę.

Przerażała go myśl utracenia jej—to też, pomimo wyraźnego zakazu dziewczyny, poszedł na łączkę pod płot i postanowił, bądź-co-bądź, zobaczyć się z nią...

Czekał niedługo: zaledwie zgasło światło, ostrożnie otworzyły się drzwi i ukazała się Hanka.

Szła szybko przez podwórze, jakby w obawie, że ją gonią. Zbliżywszy się do płotu, spostrzegła kogoś po tamtej stronie,—ale że noc była ciemna, nie mogła rozróżnić rysów, ani ubrania.

— Kto tam?—spytała szeptem.

— Ja—również szeptem odrzekł Witek.

— Po coś tu przyszedł? — z niecierpliwością w głosie odezwała się dziewczyna.—Nie mówiłam ci, żebyś tu nie łaził?

— Przyszedłem na zgodę — nieśmiało tłumaczył się Witek.

— Nie chcę ja twojej zgody. Sponiewierałeś mnie, a teraz na umizgi przychodzisz!... Wynoś się!

— Daruj mi już ten raz! — prosił Witek, zatrzymując ją za rękę.

Hance śpieszyło się bardzo, bo pan czekał na nią i przyrzekł jej dziś dać korale. Wiedziała, że nie uwolni się od Witka, jeżeli nie powie, że mu przebacza; złagodniała więc odrazu, pozwoliła objąć się i pocałować.

— A teraz zabieraj się!—rzekła po chwili.— Słyszałeś, drzwi skrzypnęły.

Witek nadstawił ucha.

— To ci się ino zdaje, niema nikogo — uspokajał ją.

— Akurat niema! Pewnikiem wujenka podpatruje—gorączkowo mówiła dziewczyna.

— Zostań jeszcze chwilę — prosił Witek, obejmując ją w^o pół. — Tak dawno nie gadaliśwa z sobą.

— Idź już, idź! — odtrącając go, nalegała Hanka. — Niech ino zobaczy, będzie krzyku na całą noc...

— Choć pocałuj mnie na pożegnanie.

— To namolny chłop! — niecierpliwie mruknęła dziewczyna, nadstawiając mu twarz i wyrывая się z jego objęcia.

Witek doznał nieprzyjemnego zdziwienia, choć nie umiał zdać sobie z niego sprawy — i poszedł.

Hanka czekała, aż zniknął na zakręcie drogi, potem przesadziła płot i żywo pobiegła ku rzece.

„Co jej się stało? — myślał Witek, wracając do domu. — Nie daje przychodzić do siebie, do karczmy ani zagłada. A dlaczego mnie teraz na gwałt wypychała?... Przecie wiem, że nikogo nie było. Powiada, że się wujów boi. Abo to prawda! Kogo ona się tam boi! Może dziedzic miał do niej przyjść?“ — przeszło mu przez głowę.

Zatrzymał się, uczuł ból i przerażenie, gorsze niż owego wieczora, kiedy pierwszy raz zobaczył bielejące między drzewami ubranie pana Adama.

— Nie wytrzymam — szepnął, — pójdę, zobaczę, czy go tam niema.

Zawrócił i, zbliżywszy się do chałupy Grocholaków, wyteżył wzrok i słuch... Cisza panowała dokoła.

Mimo to, kiedy Witek dostał się na swoje posłanie, nie mógł usnąć. Przypominał sobie rozmowę z dziedzicem — i to, co na razie pocieszyło go, mianowicie, że pan myślał o wyposażeniu nie

Hanki, lecz Zosi, teraz wydało mu się podejrzanem.

„Już mu się ta sprzykrzyła — myślał, — chce pozbyć się jej i wziąć do dworu Hanke. Ale czyżby ona przystała? przecie tak niedawno jeszcze przysięgała, że mnie lubi. Ale dlaczego teraz ucieka ode mnie, dlaczego mnie dziś z takim gniewem odtrącała?“

Biedny Witek, nieprzyzwyczajony do bezsenności i sercowych trosk, wzdychał, przewracając się z boku na bok... Usnął wreszcie, ale nie na długo. Przyszedł świt, zajrzał przez okienko stajni, zbudził go i wprzągnął do pracy.

Wieść o tem, że pan wydaje za męża Zosię, rozeszła się szybko w Babcicach. Witek wspomniał o niej stangretowi i kilku parobkom, a ekonom puścił ją w obieg na własną rękę. To też wynik tych manewrów nastąpił bardzo prędko.

Już w piątek o zmroku wcisnął się do kancelaryi pańskiej Krzycki, a za nim kandydat do ręki Zosi, Tomek Sałata; był to barczysty chłop, z długimi włosami, zadartym nosem i rezolutną miną.

Dziedzic, uprzedzony przez ekonomę, potwierdził jego wybór. Skoro Witek odrzucał trafiający mu się los, dobrze że mężem Zosi zostanie Tomek, bo go znano we wsi jako pracowitego i trzeźwego chłopca.

— Cóż, Tomek, chcesz żenić się z Zosią?—zapytał pan Adam.

— Co nie mam chcieć, proszę wielmożnego pana, kiej dostaję grunt i 50 rubli—odparł śmiało Tomek.

— Pamiętaj, żebyś dla niej był dobry — ostrzegął dziedzic.

— Co mam być zły...—spokojnie odpowiedział chłop — niech ino będzie robotna i nie dokucza człowiekowi.

Pan Adam zamyślił się, a po chwili milczenia rzekł:

— To idź do Zosi i pogadaj z nią, może-
byście dali na zapowiedź, a za dwa tygodnie wy-
prawię wam wesele.

— Juścić, niema co zwlekać — zawyrokował Tomek.—Żniwa na ukończeniu, ani się obejrzymy, jak trza będzie brać się do orki i do siewu.

— No, więc podziękuj wielmożnemu dziedzicowi i idź w zaloty—śmiejąc się, powiedział Krzycki, dotychczas niemy świadek tej sceny.

Tomek objął pana Adama za kolana, pocałował go w rękę i wyszedł na dziedziniec, gdzie czekała Rochowa. Zaprowadziła go do Zosi, która blada, z podpuchniętymi oczyma, siedziała przy łóżku i na widok Tomka zaczęła cicho płakać.

Chłop zmieszał się trochę, potem zbliżył się do dziewczyny i zaczął ją uspokajać.

— Cicho, Zośka. Po co to płakać? Przecie ja nie zbój, krzywdy ani tobie, ani dziecku nie zrobię. Jak jej tam na imię? — spytał, wołając do siebie dziewczynę.

— Marysia—szepnęła Zosia.

Chłop pogłaskał dziecko.

— Kiedy tak, Tomek, to napijwa się do siebie — rzekła z drugiego końca pokoju Rochowa, dzwoniąc kieliszkiem w butelkę.

— Napijwa się—przystał Tomek.

Rochowa naląła kieliszek, wychyliła go ze smakiem, potem napełniła go dla Tomka. Wypił go, wytarł rękawem wąsy i rzekł, wskazując na Zosię:

— I ona niech się napije.

— No, tera ty, Zośka — pochwyciła Rochowa, kontenta, że przy okazji i sobie drugi raz pozwoli.

— Nie mogę, odwykłam od wódki — odsuwając podawany przez matkę kieliszek, powiedziała Zosia.

— Nawykniesz! — zaśmiał się Tomek. — Nie ma co, pij — powtarzał, stojąc nad nią. — Taki już obyczaj.

Zosia umoczyła usta w kieliszku i z niechęcią odstawiła go na bok...

— No, dziatki — odezwała się znów Rochowa, która w braku kieliszka łyknęła parę razy z butel-

ki, — jutro pójdziecie do jegomości do pacierza, a w niedzielę będzie pierwsza zapowiedź.

— Jakoś ja tego pacierza zapomniałem — rzekł zafrasowany Tomek.

— To ci Zosia pomoże, ona przecie córka kościelnego — pocieszała go Rochowa.

Odkąd Zosia przekonała się, że postanowienie pana jest nieodwołalnym, nie stawiała już żadnego oporu...

Nazajutrz po południu wstąpił po Zosię Tomek i poszli razem do księdza.

Na dziedzińcu Marysia bawiła się w piasku i, spostrzegłszy matkę, chciała biedz za nią... Wywołało to ogólny śmiech wśród służących, którzy przyglądali się tej scenie przez okno kredensowego pokoju.

— Panna młoda z dzieciakiem idzie dawać na zapowiedzi — odezwał się lokaj.

Zosi łyzy nabiegły do oczu; perswadowała Marysi, że zaraz wróci, — ale ta nie dała się przekonać; musiała ją matka wziąć na ręce i zanieść do pokoju. Potem ze spuszczoną głową poszła na plebanię. Szlochając, wysłuchiwała surowych napomnień księdza — i to jej tylko dodało otuchy, że nie najgorzej złożyła egzamin z katechizmu.

Obawy Tomka co do braków w jego religijnem wychowaniu nie były płonne. Na pierwsze zadane sobie pytanie: ilu jest Bogów? — bez zawaha-

nia odpowiedział: Dziesięcioro. Oburzony tem proboszcz kazał Zosi w ciągu tygodnia wyuczyć go katechizmu i tylko pod tym warunkiem przystał na ogłoszenie zapowiedzi.

— Jaki to głupi chłop — biadała wieczorem Rochowa, dowiedziawszy się od córki o nieuctwie przyszłego zięcia.—Patrzy, zdaje się, niczego, a rozumu nie ma. Dziesięcioro Bogów! Żeby choć był powiedział, że trzech, to jeszcze; ale dziesięcioro, to przykazań Boskich.

Nazajutrz w czasie sumy ogłoszono pierwszą zapowiedź Tomasza Sałaty i Zofii Pawlitzakówny.

Przez następne dwa tygodnie Witek prawie nie widywał Hanki. Żniwa skończyły się, więc do roboty nie przychodziła; a wieczorem, choć wycekiwał na nią, ani wyjrzała z chałupy. Podejrzania, najprzód niejasne, zaczęły nabierać ciała i dręczyć go tak, że nawet w nocy nie miał spokoju.

Raz o zmroku, pławiąc konie, spotkał dziewczynę nad rzeką. Uśmiechnęła się do niego jak dawniej, pozwoliła się objąć i naraz pierzchły wszystkie obawy Witka. Czegoby ona z nim nie zrobiła!

„Zawsze mówiłem, że ona mi urok zadała — wzdychał. — Niema rady na to... Choćbym chciał, już jej kochać nie przestanę.“

Wieczorem porwała go taka tęsknota za nią, że nie wytrzymał i poszedł w stronę łąki. Żeby miał nawet do okna zapukać i wywołać ją, zrobi to... Co się ma kryć przed jej wujami, przecie on Hankę uczciwie lubi i chce dać na zapowiedzi choćby w niedzielę, choćby zaraz.

Szedł gościńcem i gwizdał wesoło, nie zważając na to, że w oknach już było ciemno i wieś spała. Nagle głos mu zamarł w piersiach—spozstrzegł dziedzica, który znowu wracał od Grocholakowej chałupy.

Pierwszem uczuciem Witka było rzucić się na niego i zbić go, zbić na śmierć, ale nie śmiał... Obudziło się w nim jakby nieświadome wspomnienie strachu, którym go od dzieciństwa przejmowali mieszkańcy dworu—i ten strach wziął górę nawet nad gniewem i zazdrością. W milczeniu patrzył za odchodzącym; a kiedy pan Adam zniknął mu z oczu, nie wiedział, gdzie się ma obrócić. Iść do Hanki? Po co? Żeby go znowu okłamała. Bo ona kłamie. To nieprawda, że dziedzic tylko pośmiać się do niej przychodzi.

Witek machnął ręką i wrócił do stajni. Leżąc na słomie, wśród nocnej ciszy, przerywanej czasem parsknięciem konia, albo monotonną śpiewką świerszcza, rozmyślał.

Już nie wierzy Hance—przecie drugi raz widzi pana, wracającego od niej wieczorem. Chwilami

zdawało mu się, że ją nienawidzi. Chciał usnąć, zamykał oczy, bo samo myślenie o niej bolało go; ale nie mógł spać. Albo widział przed sobą dziedzica, obejmującego Hankę,—albo słyszał jego słowa: „dostaniesz grunt, chałupę i pięćdziesiąt rubli.“

„Dawniej, póki nie znałem Hanki, ożeniłbym się z Zosią—myślał. — Czemu nie? dziewczyna dobra, skłonna, znam ją od dziecka, byłbym gospodarzem.“

„Cztery morgi i 50 rubli! Sto lat mógłbym służyć i nie zarobiłbym tyle pieniędzy. Ot sprawiedliwość dworska! ot za co się płaci „u dziedziców!“

Jak mógł zasięgnąć pamięcią, widział siebie i matkę, ciężko pracujących. I co mieli za to? Matka umarła przedwcześnie, nie zostawiwszy nawet tyle, ile trzeba na uczciwy pogrzeb, a on dobiega trzydziestki i odłożył szesnaście rubli.

Ale co wszystko znaczy wobec tego, że pan bałamuci dziewczynę; tyle ich jest na świecie, a on się do tej jednej wziął!

„I com ja mu winien? — myślał Witek.— Czyż mu zawsze wiernie nie służyłem? Oj, świętą prawdę mówili matula: „co ty wypatrzysz przy dworze? co cię tam spotka dobrego? Chyba poniewierka i krzywda.“

Tymczasem w kuchni folwarcznej robiono przygotowania na wesele Zosi. Dziedzic kazał wy-

dać dwa barany i wieprza. Zarznięto je już na kilka dni naprzód, robiono kiełbasy, pieczono mięso, chleb i ciasto.

Zosia nie wtrącała się do niczego i całemi dniami płakała w swoim pokoju, ale zato Rochowa brała we wszystkim jaknajczynniejszy udział. Tomek już wziął się do roboty przy nowem gospodarstwie. Obejrzał wyznaczoną mu przez dziedzica chałupę, wybielił ją, połatał dach i naprawił płoty.

Korzystając z jarmarku w Podgórzu, Rochowa sprzedała żydówce wszystkie rzeczy Zosi i wzamian za nie przyniosła jej parę samodzielných spódnic, chustkę, zapaskę i grube, sznurowane trzewiki. Nie zapomniała też o czepku dla siebie na wesele—wybrała najpiękniejszy, z szeroką, rurkowaną falbaną. Chciała wystąpić w całym blasku, bo bardzo wzrosła w dumę, odkąd Zosia miała zostać gospodynią.

Przyszła nareszcie niedziela. Od samego rana panował niezwykły ruch w Bubicach. Z folwarcznej kuchni przenoszono do karczmy, gdzie miało odbyć się wesele, duże miski z mięsem, sagany pełne rosółu i kaszy z flakami.

Nawet niezaproszeni chłopci z okolicznych wsi zostali na nieszpory, po których miał być ślub, ażeby zobaczyć orszak weselny i choć zdaleka przyjrzeć się zabawie; wielką izbę w karczmie

uprzątnięto, a muzykę sprowadzono aż z miasteczka.

— Co mamy sobie żałować? — mówiła Rochowa do kumotrów — przecie to pan płaci.

Pan Adam, pragnąc uniknąć kłopotliwego widowiska, prosto z sumy odjechał w sąsiedztwo...

Podczas gdy wszyscy zajmowali się weselem Zosi, ona sama układała rzeczy, które jeszcze tego wieczora miały być przeniesione do nowej siedziby.

Pościel swoją i Marysi związała w duży węzeł, łóżeczko jej wysunęła na środek i postawiła obok skrzyni; w tej chwili pokój jej wyglądał jakby po kimś umarłym...

Na łóżku nagiem, świecącym białymi deskami, leżał strój weselny, gruba spódnica w czerwone i zielone pasy, gorset i kraciasta chustka. Już cztery lata minęło, odkąd zdjęła z siebie to ubranie i na rozkaz pana zaczęła nosić cienką bieliznę, suknie i kapelusz. Ot i teraz jeszcze ma na nogach prunelowe buciki...

„Niech mu Pan Bóg nie pamięta — myślała Zosia, patrząc na ściany swojego pokoju i na rosnące pod oknami kwiaty; — kto je teraz będzie podlewał?“

Nagle zerwała się...

— Nie mogę tak... pójdę, pożegnaj go — mówiła gorączkowo do siebie, — przeproszę za swoje przekleństwa.

Pobiegła do pokoju dziedzica. Był pusty. Porzucane na sofie rzeczy świadczyły, że się pan Adam niedawno przebierał. Na dywanie przed biurkiem leżał Bekas i w radosnych podskokach przyszedł ją witać. Zosia pogłaskała go po głowie; pies spojrzał w jej zażwawione oczy i, jakby rozumiejąc, zaczął tulić się do niej.

Tego już było zanadto. Wybuchnęła płaczem i wybiegła. Wróciwszy do siebie, zastała matkę już ustrojoną w nowy czepek i jaskrawą chustkę, a Marysię ubraną w niebieską sukienkę.

— No, Zośka, chyżo!— zawołała Rochowa— druchny gotowe i Tomek czeka na dziedzińcu z družbami. Przestań się mazać i odziewaj się... Ino patrzeć, jak zadzwonią na nieszpór.

Zosia, ociągając się, zaczęła odpinać guziki od wytartej sukienki, jedynej, jaką sobie zostawiła; potem włożyła spódnice i gorset—już znowu była chłopką.

Wkrótce rozległy się w kościele dzwony. Prowadzona przez dziewczęta Zosia szła ku gościńcowi, za nią Rochowa ciągnęła Marysię, która zachowywała się tego dnia wyjątkowo niesfornie. W tyle z družbami szedł Tomek, gładko zaczesany, w błyszczących butach i granatowej sukmanie.

Za bramą połączył się z orszakim weselnym tłum, czekający od godziny,—poczem wszyscy weszli do kościoła.

Odśpiewawszy nieszpory, ksiądz poszedł przebrać się do zakrystyi, a kościelny zaczął rozdawać obecnym duże woskowe świece. Rochowa była wpisana do bractwa i chciała, żeby ślub jej córki odbył się z możliwą uroczystością.

Wkrótce zapłonęły w całym kościele żółte, migotliwe światła, które wraz z dźwiękami organów, fałszywym śpiewem organisty i głośnem szlochaniem Zosi nadawały weselnemu zgromadzeniu pozór zupełnie pogrzebowy...

Nawet Tomek, pomimo że nie był miękkiego serca, rozplakał się... Rochowa przypomniała swego nieboszczyka i również zaczęła zawodzić, a Marysia, która klęczała przy babce, trzymając dwa razy większą od siebie świecę, na widok ogólnego rozczulenia upuściła ją i zaczęła tak krzyczeć, że ją wyniesiono z kościoła...

Nareszcie ceremonia skończyła się... Tłum wysypał się na gościniec. Muzyka zabrzmiała, wszyscy pocisnęli się do karczmy.

Wesoło bawiono się tej nocy w Babcicach. Muzykanci, którym pan młody nie szczędził wódki, grali bez wytchnienia. Obfite mięsne pożywienie, do którego nie nawykli nietylko parobcy, ale najbogatsi gospodarze, dodawało wszystkim ochoty do tańca.

Rochowa z zarumienionym nosem, z czepkiem nabakier i wiszącymi po obu stronach twarzy pa-

smami siwych włosów, wodziła rej, częstowała, a czasem puszczała się w taniec, tupiąc nogami i przyśpiewując. Tomek, dobrze podchmielony, zakasawszy sukmanę, płaśał naprzeciw świekry.

Marysia spała w alkierzu, na łóżku karczmar-ki; tylko Zosia siedziała na ławie pod ścianą z tak smutną twarzą, że ludzie zaczęli szeptać, iż to zła wróżba.

— Pewnikiem ktoś umrze — mówili: — abo ona, abo Tomek.

Przez cały dzień Zosia nie miała nic w ustach. Zaduch i ścisk, od których odwykła, odurzały ją; tłuste potrawy, które jej niegdyś tak smakowały, teraz, po delikatnej, dworskiej kuchni, budziły w niej wstręt... Czuła się chorą, oczy ją paliły od łez i bezsenności, sadza kopających lampek dusiła ją. Skorzystała z chwili, gdy nikt nie zwracał na nią uwagi, i wyslizgnęła się z izby. Owionęło ją świeże, nocne powietrze; usiadła pod płótem i oparła zmęczoną głowę na rękę.

Na gościńcu dał się słyszeć turkot i zabłysły dwa światelka, potem z głośnem trzaskaniem bicia przemknął przed karczmą kabryolet pana skrecił w bok i wjechał w dworską bramę.

— Wrócił!... — szepnęła Zosia, na którą znowu uderzyła fala wspomnień.

Był czas, kiedy, usłyszawszy zdaleka turkot powozu, wybiegała na ganek i witała dziedzica

uściskiem, a on ją dobrem słowem. Czemu to wszystko minęło? Czemu ją kusił, zwodził obietnicami, czemu ją brał do domu, kiedy ją miał później wypędzić?...

Już było dobrze po północy, kiedy Witek opuścił karczmę. Od godziny nie mógł znaleźć Hanki—widocznie wróciła do domu,—a i on przyrzekł dworskiemu wartownikowi, że go do rana zastąpi. Przed bramą, uzbrojony w wielki kij, czekał już na niego Jędrzej z nieodstępnym towarzyszem swoim, Kruczkiem.

Witek wziął kij i gwizdawkę. Zawołał psa i poszedł ku stodole. Na folwarcznym podwórzu spostrzegł kabriolet, którego stangret przez zapomnienie nie wtoczył do wozowni.

„Więc dziedzic już jest—pomyślał Witek;—pewno odjechał dziś rano, bo mu się żal zrobiło dziewczyny i nie chciał patrzeć na jej łzy...“

Witek parę razy obszedł gospodarskie budynki, przeciągł gwizdaniem dając znać, że czuwa nad pańskim dobrem; potem wrócił przed dwór...

Wielka cisza panowała dokoła, tylko od karczmy dochodziły stłumione odgłosy muzyki, tupania i śpiewów. Nagle Kruczek przystanął, podniósł głowę i z głośnym szczekaniem rzucił się w bok do ogrodu.

„Złodziej!“—przemknęło przez myśl Witkowi i pędem puścił się w ślad za nim... Pies ujadł

zawzięcie, wreszcie musiał dopaść kogoś, bo sły-
chać było szamotanie i trwożny krzyk... Witek
zadyszany zbliżył się... Jakaś kobieta, zwrócona
do niego plecami, napróżno starała się przeskoczyć
przez ogrodowe sztachety; pies jej nie puszczał,
ciągnął za spódnicę, chwycił za nogi, a ona rozpa-
czliwie i bezskutecznie broniła się urwaną z drze-
wa gałęzią.

— Kto tu?—głęboko zapytał Witek.

Nikt nie odpowiedział, tylko pies szczekał co-
raz gniewniej, a kobieta opędzała się coraz gwał-
towniej.

Witek podbiegł, uchwycił ją za rękę, spojrział
w oczy i krzyknął:

— Hanka, co tu robisz?

Naraz jasno zrobiło się w jego umyśle i po-
rwała go wściekłość.

— Zkąd wracasz? — wołał, ściągając ją
z płotu i rzucając na ziemię — zkąd? gadaj, bo ci
łeb roztrzaskam!...

— Puszczaj! — ochrypłym głosem krzyczała
Hanka.

— Od dziedzica wracasz? od dziedzica!...
Mnie przysięgałaś, a do niego po nocach łazisz!...

— Puszczaj!—syczała dziewczyna, wrywa-
jąc się z jego żelaznego uścisku.

— Nie puszczę, zabiję!... słyszysz?... zabiję,
jak bydlę, żebyś więcej światła nie oglądała!...

Nachylił się nad nią i rozpoczęła się walka. Dziewczyna broniła się, jak mogła: drapała, gryzła, a on targał ją za włosy, schwycił za gardło i byłby może udusił, gdyby nadludzkim prawie wysiłkiem nie wyrwała się i nie zaczęła biedz w stronę dziedzińca.

W pierwszej chwili Witek chciał rzucić się za nią, ale nagle oprzytomniał. Rozpacz obezwładniła go. Usiadł pod drzewem.

— Czym ja tego był wart — rzekł sam do siebie—za moje szczere serce, za moje kochanie?... Woli iść na wstyd, na poniewierkę! Ja za nią nie widziałem świata Bożego, a ona mnie maniła!...

Wyciągnął pięść ku dworowi.

— Zapłacę ja tobie!... Z dymem pójdziesz ty i twój dobytek!

Pobiegł w stronę budynków, ażeby natychmiast wykonać groźbę, ale nagle zatrzymał się i ujął głowę w obie ręce.

— Co ja robię nieszczęśliwy!? Nie, to ona winna: ona żeby nie chciała, nicby z tego nie było. Na stroje się skusiła, na korale!...

I znowu przeklinał, groził; serce wezbrało mu żalem za doznane krzywdy i zdradę, a na dnie jego płakała miłość, której nie mógł wyrwać, i skarżyły się zawiedzione nadzieje.

Szary brzask dnia zastał go jeszcze pod tem samem drzewem. W głowie jego przez parę go-

dzin walki i cierpień zrodziło się postanowienie. Wstał i zatoczył się jak pijany...

— Ot, co wypatrzyłem sobie przy dworze!— rzekł półgłosem. — Nie zostanę tu, nie zostanę... Niech oczy moje już nie patrzą ani na nią, ani na niego.

Tymczasem jednak pamiętał o swoich obowiązkach i zwrócił się do stajni, ażeby nakarmić i napoić konie.

Wieczorem kazał zameldować się panu. Wszedł, starym zwyczajem ukłonił się czapką i stanął u progu.

— Czego chcesz, Witek? — niedbale zapytał dziedzic.

— Przyszedłem wielmożnemu panu podziękować...

— Co?...

Pan Adam odwrócił się. Dziwna stanowczość brzmiała w głosie chłopca, a na twarzy osiadł mu wyraz ponurego smutku.

— Przyszedłem wielmożnemu panu podziękować!—powtórzył dobitniej.

— Gdzież ty pójdziesz? Czy masz lepsze miejsce?

— Pójdę w świat, gdzie mnie oczy poniosą!... Niech się wielmożny pan o mnie nie kłopotuje.

Pan Adam był trochę zmieszany; zrozumiał pobudki chłopca. Zaczął go namawiać, żeby został;

ofiarował się podwyższyć mu pensję. Nic nie pomogło.

Witek na wszystko odpowiadał:

— Nie, już pójdę, nie ostanę tu dłużej.

— Jak chcesz... — odrzekł wreszcie dziadec. — Wiele masz jeszcze pieniędzy u mnie? — spytał, otwierając szufladę biurka.

— Szesnaście rubli mi się należy.

Pan Adam wyjął z pugilaesu dwudziestopięciorublowy papierek.

— Masz; dodaję ci dziewięć rubli, boś mnie i ojcu memu wiernie służył.

Witek cofnął wyciągniętą ku panu rękę.

— Szesnaście rubli ino zarobiłem, więcej mi się nie należy. Po co się wielmożny pan ma dla mnie krzywdować?

— Głupiś! bierz, kiedy ci daję! — ofuknął pan Adam.

— Bóg zapłać wielmożnemu panu! Głupi to ja jezdem, ale na dziady jeszcze nie zeszedł — odpowiedział Witek z tłumionym gniewem w głosie.

„Kiedy się chłop zatnie, to już niema na niego rady“ — pomyślał pan Adam, zmieniając pieniądze na drobniejsze papierki; i wręczając je Witkowi, rzekł:

— No, a pamiętaj, Witek, gdyby ci źle było, zawsze znajdziesz u mnie miejsce.

— Dziękuję wielmożnemu panu... Już ja, da Bóg, nie wrócę tu...—odparł ponuro chłop, zawijając pieniądze w szmatkę. — Niech będzie pochwalony!...—dodał.

— Na wieki wieków!... A kiedyż myślisz odejść?

— Przecie dwa tygodnie do kwartału muszę dosłużyć wielmożnemu panu, kiej jezdem zapłacony. Na święty Michał odejdę.

Po wyjściu Witka pan Adam zamyslił się... Trochę mu było wstyd, a może i żał chłopaka, którego znał od dzieciństwa i któremu wyrządził krzywdę.

„Dlaczego był głupi i nie chciał zenić się z Zosią? Miałby dziś grunt i dostatek, a tak jeszcze się zmarnuje. Że też akurat potrzebował zakochać się w tej dziewczynie, która się mnie podoba. Przecież to nie moja wina“—pocieszał się pan Adam.

W dziwny sposób zeszyły Witkowi ostatnie dwa tygodnie w Babcicach. Był zupełnie spokojny; robił, co mu kazali, ale chodził jak błędny i często w polu albo przy młócce zamyslał się i wyglądał jak człowiek niespełna rozumu. Po nocach wzdychał i kręcił się, nie mogąc odegnać troski, która mu obmierzyła życie. Unikał spotkania z Hanką. Raz tylko jeden zaczął się w ogrodzie i widział ją

znowu wracającą ze dworu. Już nie żal czuł do niej, tylko gniew i nienawiść...

— Żebym ja prędzej wyszedł z tych kątów! — mruknął do siebie — może gdzieindziej są lepsze dwory i panowie.

Ogólny żal powstał w Babcicach, kiedy rozeszła się wieść o wyjeździe Witka.

Przyczyny nie były już dla nikogo tajemnicą; wiadano, że durzył się w Hance, i domyślano się po strojach i koralach dziewczyny, że ją dziedzie chce wziąć na miejsce Zosi.

— Żeby sobie tak dla dziewczuchy świat zawiązywać i iść w obce strony! — mawiali. — Ot, dziękowałbyś lepiej Bogu, żeś się z taką nie ożenił. Pluń na nią i basta! Czy to mało dziewcząt na świecie?

Ale Witek był niewzruszony. O ośm mil ztąd, w Wólce, służył za rządęcę Sankowski, ten sam, co kiedyś był pisarzem w Babcicach. Spotkał Witka na jarmarku w Podgórzu i namawiał, żeby się przeniósł w tamte strony. Co tam! pójdzie, zobaczy... Pan Bóg jest wszędzie.

W wigilię wyjazdu wieczorem Witek obszedł całą wieś i żegnał się ze wszystkimi. Spłakali się, wypili trochę przy tej okazji. Starszym ludziom Witek padał do nóg i prosił o błogosławieństwo. Kiedy wychodził, stawali na progu.

— Ostańcie z Bogiem — mówił im stłumionym od wzruszenia głosem.

— Idź z Bogiem, niech cię Matka Przenajświętsza prowadzi!

Już pożegnał wszystkich. Tylko na skraju wsi stała chałupa, do której nie wszedł... Przystanął przed nią, spojrzął przez okienko na dziewczynę z czarnymi warkoczami, która na niskim stołku obierała kartofle; patrzył na nią długo, potem plunął na drogę i zawrócił.

Nazajutrz o świcie, tym samym gościńcem, którym w dzieciństwie tyle razy pędził gęsi na paszę, szedł Witku z narzuconym na plecy węzełkiem. Jesienny deszcz siekł go po twarzy, wichher targał gałęziami drzew i ubarwiał go zwiędłymi liśćmi. Minał wieś, przed kościołem przeżegnał się pobożnie i poszedł dalej. W polu obrócił się... Miał suche oczy, ale mu coś we wnętrzu płakało...

I zdało mu się, że wiatr, co wieje, woła mu: „Witku, ostań się!“ i najeżone wróble na topoli świergotały: „Witku, nie odchodź!“ i brzozy u wnijścia cmentarza zaszeleściły opuszczonymi gałęziami i prosiły: „Nie odchodź, Witku!“ Cała jego rodzona wieś wołała za nim: „Witku, nie odchodź!“

Chłop stał długo, wpatrzony w uśpione chaty, w dwór ukryty za lipami, potem zwrócił się

w stronę cmentarza, zdjął czapkę i na głos powiedział:

— Wieczny odpoczynek! Oj, mówiliście wy prawdę, matulu: nie wypatrzyłem ja przy dworze nic dobrego, ino krzywdę.

III.

Czwartego dnia podróży, nad ranem, Witek stanął w Wólce.

Wskazano mu Sankowskiego w murowanej oficynie, która wydała mu się okazałą jak dwór... Dawny babicki pisarz, a obecnie rządca Wólki, człowiek starszy, z długą brodą, basowym głosem i przenikliwymi oczami, siedział przy herbacie. Przyjął Witka łaskawie i zaraz po śniadaniu zaprowadził do dziedzica.

Pan Barwiński, 60-letni kawaler, uchodził w okolicy za dziwaka i sknerę. Wielki dom, w którym za dawnych czasów bywało dworno i hu- cznie, stał pustkami. Tylko od czasu do czasu stary kredencierz z białą głową otwierał okna i oku- rzał sprzęty, otulone w szare pokrowce.

Dziedzie mieszkał w dwóch pokoikach, sypiał na żelaznym łożku, jadał najprostsze potrawy i je- ździł bryczką, zaprzężoną fernalskimi końmi, bo cugowych i powozu nie posiadał.

Zato budynki były murowane i całe, stadnina i obora słyngły z rasowości, ogród na całą okolicę dostarczał wyszukanych owoców, stawy były zarybione, gospodarstwo rolne wzorowe, a złożony w banku kapitał wzrastał z każdym rokiem.

Pan Barwiński był okazałej tuszy, miał duże wąsy i łysą głowę, tylko nad czołem sterczały mu dwa pasma siwych włosów, nadające jego twarzy wyraz groźny i komiczny. Jadał za dwóch, a pomimo otyłości i wieku był czynny za trzech... Wstawał równo ze słońcem i na starym stępaku, który służył mu wiernie już dziesięć lat, objeżdżał pola.

Dla ludzi był surowy, za lenistwo i pijatyki nie szczędził batów; ale że przytem był sprawiedliwy, wchodził w ich interesa i sam dawał przykład pracowitości, więc się go ludzie trzymali i lubili go...

Kiedy Sankowski przyprowadził do niego Witka, dziedzic w ciemnej kurtce z domowego sukna, z zarzuconą na plecy strzelbą, wybierał się na kuropatwy. Wysłuchał uważnie rzędęcę, bystro spojrział w oczy chłopu, który stał onieśmielony z czapką w ręku, wreszcie odezwał się:

— No, kiedy ręczy za ciebie Sankowski, zgodzę cię za fornala, ale pamiętaj, że u mnie trzeba dobrze robić.

— Roboty się nie boję, wielmożny panie—
odpowiedział Witek.

— To dobrze, krzywdy nie będziesz miał,
ale za lenistwo albo upicie się wypędzę, sły-
szysz?

— Słucham, wielmożny panie.

— A teraz pošlij go pan do młocki — rzekł
dziedzic do rządcy. — Przed południem zajrzę tam
i zobaczę, co on wart... Do nogi, Dyana!

Żółta wyzlica, radośnie skomląc, pobiegła za
panem, a Witek poszedł do młocarni, gdzie mu
Sankowski miał wyznaczyć robotę.

Z początku było Witkowi ciężko w nowych
stronach. Parobcy niechętnie przypuścili go po-
między siebie i często wyraz „przybłęda“ obił się
to jego uszy. Przyszedł tu z żalem w sercu, a że
go zewsząd otoczyły obce twarze, więc zamknął
w sobie ból, zrobił się ponury i milczący. Przytem
tęsknił do rodzinnych stron... W Wólce był pię-
kny pałac, sady wokoło, wgłębi wielkie lasy,
ale mimo to Witkowi zdawało się, że niema jak
jego wieś, z jej piaszczystymi polami i płytką rze-
ką. Z biegiem czasu jednak oswoił się z nowem
otoczeniem, trzeźwością i spokojem pozyskał we
wsi pewną powagę, tylko nie zdobył ludzkiej
miłości.

Nikt nie uwierzyłby tu, że go w Babcicach ze-
gnano ze łzami i do dziś dnia wspominają...

Ale pan Barwiński znał się na ludziach i od razu ocenił parobka, który najpierwszy wstawał do roboty, nigdy się nie upijał, konie lubił i dobrze je utrzymywał.

Zaczął więc posyłać Witka po listy, ze zbożem do młyna, a wreszcie widząc, że jego czwórka najlepiej wygląda, kazał mu wozić siebie do miasta albo w sąsiedztwo. W krótkim przeciągu czasu przekonał się, że go nikt tak zręcznie nie podsadza do bryczki, tak mu starannie nie owija nóg derą, i wytworzył się stosunek pełen życzliwości ze strony pana, a niemej wdzięczności ze strony chłopca.

W drodze pan zazwyczaj rozmawiał z Witekkiem; a że był wesoły i lubił żarty, więc się chłop nieraz porządnie uśmieiał.

— Cóż, nie myślisz o żeniaczce? — spytał go raz pan Barwiński.

— Co mi ta po żonie!.. samemu lepiej—odparł Witek.

— Masz rację, bratku!—śmiejąc się, potakiwał mu dziedzie. — Widzisz, i ja zostałem starym kawalerem i dobrze mi z tem. Ale przyznaj się, pewno dużo tracisz na dziewczęta, co?

— Niedoczekanie ich! — gniewnie mruknął chłop.

— No, a cóż robisz z pieniędzmi?... ciułasz?

— A juści, odkłada się...

— To masz rozum! Kto grosz do grosza odkłada, temu z nich wyrastają ruble. Zbieraj, to na stare lata zostaniesz gospodarzem.

— Gdzie mi ta do gospodarstwa!—westchnął Witek.

— A cóż ty myślisz?.. oszczędzaj, sprawiaj się porządnie, to za jakie piętnaście lat będziesz miał za co kupić grunt; ja ci sam tanio sprzedam.

Witek zamyslił się—to mu pan ówieka zabił w głowę!

Wróciwszy do domu, zaczął rachować, wiele pieniędzy mógłby odkładać co roku. Że w rachunkach nie był mocny, więc się długo mozolił, zanim obliczył, że wydając z 28-miu rubli pensyi tylko 8 na rok, zebrałby w ciągu piętnastu lat okrągłych rs. 300. Na zakupienie gruntu wystarczyłoby może, a przecie w Wólce są jeszcze inne zarobki.

„Dobrzeby było choć na starość swój chleb eść“—myślał Witek, i postanowił iść za radą dziedzica i odkładać grosz do grosza. Wyjął szmatę, w której chował pieniądze, i zaczął liczyć. Z szesnastoma rublami, wywiezionymi z Babie, miał około pięćdziesięciu.

— Długo czekać!—westchnął.

Dużo jeszcze skwarnych lat upłynie, a on będzie chodził z kosą ścinać cudze zboże, dużo razy jeszcze pójdzie za pługiem orać nieswoją ziemię!

Ale co tam! trza być cierpliwym, a może da Pan Bóg doczekać lepszych czasów.

Od chwili, w której nadzieja zostania gospodarzem jasno sformułowała się w umyśle Witka, wszystkie jego usiłowania skierowały się ku temu, ażeby powiększyć zarobki.

Wyjeżdżając z panem, zabierał w zanadrze chleb i żywił się nim cały dzień, ażeby otrzymaną jako strawne czterdziestówkę w całości zachować. Ponieważ za bydło, zajęte w szkodzie, pan pieniądze oddawał parobkom, więc Witek urządzał formalne polowania na chłopską chudobę.

Raz w ciemną i dżdżystą noc zaczął się w rowie pod łąką, którą zwykle wypasali, bo była najbliżej gospodarskich gruntów. Przemókł do nitki, woda ściekała mu z włosów i sen go morzył, ale nie ruszył się z miejsca, ciągle nadstawiając ucha, czy nie usłyszy skoku spętanego konia, albo ryczenia krowy. Naraz wstał i, jak pies, wietrzący zwierzynę, zaczął skradać się ku miejscu, zkąd doszedł go hałas.

— Aha! mam cię! — zawołał po chwili i zarzucił przyniesiony z sobą powróż na szyję koniowi, który jadł z apetytem, nie podejrzewając, że mu to poczytują za zbrodnię. Witek uprowadził go do folwarcznej stajni i znowu wrócił na stanowisko.

Nazajutrz aż trzech chłopów musiało wykupywać bydło, a Witkowi do kieszeni wpłynęło dziesięć złotych... Niezrażony tem, że spędził bezsenną noc na deszczu, często powtarzał te próby.

Od tej pory stosunek jego z gospodarzami zarysował się wrogo. Zmówili się pewnego wieczora, napadli na Witka i zbili go tak, że przez parę dni nie mógł chodzić na robotę; ale dziedzic, dowiedziawszy się o tem, kazał mu w nagrodę wypłacić rubla, a przy pierwszym spotkaniu poklepał go i nazwał zuchem.

Lata mijały, dawne wspomnienia zacierały się, a Witka stopniowo oświadczyła żądza posiadania na własność choćby najmniejszego kawałka ziemi. Żył wpatrzony w ten daleki cel, poświęcając dla niego młodość, która zaczynała uciekać, nie zważając na samotność i zaczepki dziewcząt, z których niejedna byłaby chętnie wyszła za niego.

„Lepiej wcale nie zadawać się z babami—myślał Witek,—at, ziemia, ta nie zdradzi: napracujesz się na niej, to prawda, ale wywdzięczy się...

Z goryczą przypominał sobie, że, gdyby nie głupie kochanie jego dla Hanki, byłby już gospodarzem. I żal jego do niej zamienił się w nienawiść. Myślał wyłącznie o oszczędzaniu i zarobkach. Doszedł do tego, że mu sam brzęk srebrnych czterdziestówek albo szelest nowego papierka sprawiały nieopisaną rozkosz. Na jego prośby rządca

wypłacał mu zasługi nowemi pieniędzmi, a on przeliczał je i lubował się niemi.

Z czasem zrobił się z niego zupełny odludek. Od karczmy stronił jak od zarazy,—przecie tam się zawsze zostawi jakiś grosz, a pan powiedział, że kto grosz do grosza odkłada, temu z nich wyrastają ruble. Z początku trudno mu było oprzeć się pokusom. Niekiedy dochodziły go dźwięki skrzypek tak rzewne, że go aż za serce chwytaly; innym razem znów jak ucięły dziarskiego oberka, to mu się nogi same rzucały do tańca.

Wdziewał tedy lepszą sukmanę i szedł w stronę karczmy; ale kiedy zobaczył przez okno rudą brodę i długie pejsy Szai, i pomyślał, że jego ukochane, z takim znojem zapracowane pieniądze, utoną w kościstych palcach żyda, porywał go żal i wracał do domu.

— Patrzajcie ino, jak ucieka!—wołali za nim chłopci.—Ściska pieniądze w garści gorzej żyda.

— Żeby kiedy człowieka poczęstował... ale gdzie tam! półkwatka nikomu nie postawi, taki na swoje grosze łapczywy.

— Cóż to, że wam nie postawi—zaśmiała się jedna z dziewcząt; — do mnie to się niby umizgał, a jakem go latoś na jarmarku prosiła, żeby mi paciorki kupił, to się tak obruszył, że mnie mało nie zbił.. „A pójdziesz ty! — powiada — jabym ci

miał za moję krwawicę paciorki kupować! Dosyć się ja ich nakupowałem!”

Witek nieraz słyszał te szyderskie uwagi; z początku było mu wstyd, potem przestał chodzić do karczmy, a ludzie także przywykli do jego skąpstwa i bali się go, widząc, że jest w łaskach u pana.

Niegdyś tak strojny, Witek zaniedbywał się teraz w ubraniu, kupował za marny grosz używane rzeczy, nauczył się łątać sukmanę i buty, i widywano go nieraz z igłą w niezdarnych palcach.

Z czasem odzwyczaił się nawet od palenia, choć mu to nie przyszło z łatwością; obliczył, że z dwudziestu groszy, wydawanych miesięcznie na tytoń, uzbiera się po roku ośm złotych, i pewnego dnia, wracając z miasta z pełnym kapciuchem, powiedział sobie:

— Ostatni raz kupiłem tytoń.

Rozłożył na dwa tygodnie porcyę, która mu zwykle wystarczała na tydzień.

„Pomału odstawię się od fajki, jak dziecko od piersi“—myślał.

Pałąc, rozkoszował się dymem i długo nie wypuszczał go z ust.

W końcu drugiego tygodnia zapas tytoniu wyczerpał się; Witek stracił apetyt, chodził chmurniejszy niż zwykle; a w niedzielę, kiedy mu wiatr

przyniósł od karczmy granie, porwała go taka tęsknota, że machnął ręką.

„Niech co chce będzie, raz tylko człowiek żyje“ — pomyślał.

Wyjął z zanadru kapciuch i już szedł do Szai po tytoń, kiedy mu jakiś głos szepnął:

— A grunt?

Zatrzymał się...

— Nie, nie można, trza cierpieć i tyle — powiedział sobie. Usiadł przed stajnią i wysypał pieniądze ze szmatki do kapciucha. Niech tam leżą; jak mu się zachce fajki, wyjmie kapciuch, spojrzy na nie i wspomni przyszłe gospodarstwo.

W końcu odwykł zupełnie, już go nawet nie ciągnęło do palenia.

Dawniej Witek w każdą rocznicę śmierci Wojtkowej dawał księdzu rubla na wotywę za jej duszę. W miarę rozwijającego się skąpstwa rubel wydał mu się tak wielkim pieniądzem, że nawet na ten cel nie chciał go poświęcić i w następnym roku dał tylko dwa złote.

— Przecie matuli wszystko jedno — perswadował sobie. — Za te organiścine granie mam płacić cztery złote i groszy dwadzieścia, kiedy dobrodziej i tak odmówi pacierze, jak trzeba.

Sam klęczał przez całą mszę, bił się w piersi i powtarzał: „wieczny odpoczynek,“ jakby chciał tem zastąpić muzykę i przebłagać matkę, że jej pożało-

wał pieniędzy. W końcu i dwóch złotych było mu żal. Nie wymieniano już więcej w czasie mszy imienia Wojtkowej, która samotna i zapomniana leżała na babickim cmentarzu...

Pan Barwiński z zajęciem śledził rosnącą namiętność Witka do pieniędzy i cieszył się, że jego słowa padły na grunt tak dobry. Sam nietylko utrzymał, ale znacznie powiększył majątek rodziców; poświęcił temu całe życie i nieraz mawiał sąsiadom i chłopom: „Ziemia to fundament, trzymać się jej rękami i zębami. Jak kto dobrze pracuje się na roli, to ją tak pokocha, że z radością myśli nawet o tem, że kiedyś w niej legnie.“

Jeżeli dostrzegł w którym z chłopów skłonność do ulepszenia gospodarstwa, dopomagał mu radą i czynem,—a parobków nietylko zachęcał do składania pieniędzy, ale nawet w ostatnich czasach przechowywał je u siebie, płacił im pięć procent od ich sum; sam jednak nie posługiwał się nimi w swoich interesach.

— To taki święty grosz, jak z kościelnej skarbonki — mawiał.

I Witek złożył swoje pieniądze u pana, który go tak polubił, że nawet patrzył przez szpary, kiedy on, wracając z miasta albo z młyna, zabierał po drodze chłopą lub żyda, którzy szli tą samą drogą; wiedział bowiem, że Witek nie robi tego

dla wódki, ale dla tych paru groszy, które powiększą jego oszczędności.

Tak upłynęło lat trzynaście... Czas i trawiąca Witka namiętność wyryły na nim ślady. W przerzedzonych włosach srebrzyły mu się białe nitki. Sieć drobnych zmarszczek otoczyła oczy, a dwie głębokie bruzdy wokoło ust nadawały jego twarzy wyraz ponury i smutny...

Stary pan także posunął się bardzo; już nie mógł wsiadać na konia, ale bryczką objeżdżał gospodarstwo; wreszcie któregoś dnia zachorował i umarł tak prędko, że ledwie miał czas pooddawać parobkom zaoszczędzone przez nich pieniądze. Przy tej sposobności Witek dowiedział się, że już ma przeszło trzysta rubli gotówki. Zmartwił się szczerze śmiercią dziedzica i w dniu pogrzebu niósł trumnę jego na sam ementarz, nie dając zmienić się nikomu.

Idąc, cały czas myślał, że nie miała matka racyi, kiedy mówiła, iż nie przy dworze nie wypatrzy i od każdego dziedzica dozna poniewierki; przecie przy tym panu i dobrego nauczył się i nie miał żadnej krzywdy.

Legł tedy pan Barwiński na wiejskim ementarzu, pod murowaną kaplicą, na której, oprócz herbu i trupiej główki, stały wyryte napisy, świadczące, iż przodkowie jego już od lat dwustu śpią w tem miejscu snem wieczystym...

Ze śmiercią starego pana nastąpiły w Wólce nowe porządki. Majątek objął po nim synowiec i sprowadził się tu z licznym dworem. Odświeżono pałac, zdjęto pokrowce z mebli, zapełniono stajnię cugowemi i wierzchowemi końmi. Jeszcze przed końcem żałoby zrobił się gwar, gości zjeżdżało się pełno, oddawna nie pamiętano w okolicy takiego ruchu.

Pan, okazały szatyn, z długimi faworytami i jasnymi oczyma, które pogardliwie spoglądały przez binokle, mało zajmował się gospodarstwem; natomiast znał się na koniach, świetnie powoził zaprzęgiem „à la Daumont“ i był niezrównanym aranżerem majówek i pikników.

Pani, blada blondynka, o wiotkiej postawie i delikatnym wyglądzie, zdawała się tylko z musu prowadzić światowe życie. Zmęczonym uśmiechem przyjmowała gości, oprowadzała ich po parku, wymawiała się, o ile mogła, od zaproszeń, i tylko w dziecinnym pokoju, gdzie wszechwładnie pannały nauczycielka francuzka z boną angiolką, zmieniała się do niepoznania. Biegała z dziećmi, wymyślała im coraz nowe gry i zdawała się jaśnieć odblaskiem ich radości. Nieraz turkot powozu przerywał uciechę; wtedy dzieci zasmucone rozchodziły się po kątach, a pani Barwińska z uprzejmem powitaniem na ustach, a wyrazem znużenia w oczach, szła naprzeciw zaproszonych przez męża gości.

I ludzie zmienili się w Wólce.

Starego Sankowskiego zastąpił elegancki rządcą z zadartym nosem i podkręconym wąsikiem; ekonom także był nowy i gnębił parobków, którzy samego dziedzica nie widywali prawie nigdy.

Witkowi Wólka wydawała się teraz inną i równie obcą, jak w pierwszych latach pobytu; i znowu zbudziła się w nim tęsknota do Babcie.

„Już tu inaczej, jak za starego pana — myślał. — Tamten i pogadał z człowiekiem i pośmiał się; jak potrzeba, kijem wygrzmocił, ale zawsze to był pan, niby rodzony ojciec. A ten dziedzic jak dwie krople wody stary z Babcie. Nieprzystępny taki, że aż człowieka ciarki przechodzą, kiedy spojrzy przez te swoje cudackie szkła; a jak się odezwie, to ino gębę rozdziawisz, a słowa ci przez gardło nie leżą.“

W miarę jak ustalały się w Wólce nowe zwyczaje, niechęć Witka do dziedzica rosła.

— Żeby to stary pan wiedział! — mówił nieraz, patrząc na bezład i niesumienność, które wkraśniały się do gospodarstwa. Nowy rządcą i ekonom kradli, każdy na swoją rękę; ogród, przynoszący dawniej okazały dochód, nie dostarczał nawet produktów na dworski stół, bo ogrodnik wywoził je w nocy do miasta; w dodatku zaraza jakaś padła na owce, i piękna owczarnia, którą chlubił się stary Barwiński, stanęła pustkami. Tylko konie i za-

przęgi były we wzorowym porządku, bo tego pilnował sam pan...

— Co się dzieje! — szeptali do siebie dawni parobcy ze szkoły nieboszczyka. — Słychane rzeczy brać fornalskie konie i wozy na majówki do lasu! Zboże ścięte leży na polu i deszczu tylko patrzeć! Obraza Boska! Na marne pójdzie dobytek, co go stary pan całe życie dorabiał.

A Szaja, który zdobył całe zaufanie dziedzica i coraz bardziej wzbijał się w dumę, wieczorem w alkierzu opowiadał pod sekretem Gołdzie, że pan już od dziesięciu lat zaciągał długi na rachunek przyszłego spadku, że z kapitału, złożonego w banku, nie zostało nic, że już nawet hipoteka obciążona. Głaskał przytem z zadowoleniem rudą brodę i znacząco mrugał w stronę kołyski, gdzie pod czerwoną pierzyną spał mały Icek, jak gdyby na ruinie dziedziców budował plany przyszłości syna.

— Dobrze, że tu niedługo zostanę — myślał Witek, — bo mnie serce boli, jak na to patrzę; a nieboszczyk to się pewno w grobie przewraca. Oj, chyba że matula prawdę mówili; widać tylko jeden taki pan był na świecie, jak nasz stary!

Najwięcej do nowego dziedzica zniechęcało Witka to, że musiał sam przechowywać swoje trzysta rubli, które dotychczas leżały w kasie nieboszczyka Barwińskiego. Martwił się tem, że mu mogą ukraść pieniądze, i czuł żal do pana, że mu

nie może zawierzyć. Tymczasem drobny wypadek przekonał Witka, że i we dworze jest osoba, godna zaufania.

Któregoś dnia, rąbiąc drzewo, Witek silnie skaleczył się w głowę. Przybiegli mu na ratunek parobcy, obwiązali szmatami ranę i zaprowadzili do stajni.

— Trzebaby harniki — odezwał się stangret Mateusz, który nabył wielkiego doświadczenia przy koniach.

— Co się tam bawić w lekarstwa!—odpowiedziała Mateuszowa — kapuściane liście przyłożyć i tyla.

— Głupiaś!—ofuknął ją mąż—harnika najlepsze lekarstwo na rany. Szkoda, że dziedziczka wyjechała; możnaby pójść do dworu... ona wszystkim rozdaje lekarstwa; ale cóż, kiej jej niema, może nawet dziś nie wróci.

— A czy tego dostanie w karczmie?—zapytał Witek, którego położyli w kącie na słomie.

— Ale! do apteki trza posłać.

— To oni każą sobie płacić za tę harnikę—powiedział z niepokojem.

— Cóżeś myślał, że ci darmo dadzą? — nasmiewali się parobcy.

— To nie trzeba; po co pieniądze wydawać... i tak przejdzie.

— Więc cierp, kiedyś głupi i załujesz dzieśiatki—odpowiedział Mateusz, wracając do swojej roboty.

Za jego przykładem poszli inni, a Mateuszowa, dumna z odniesionego zwycięstwa, pobiegła po kupustę i obłożyła nią ranę.

Nad wieczorem Witek zobaczył w półmroku stajni nachyloną nad sobą postać kobiety, która, oświetlając jego twarz zapaloną latarką, spytała:

— Cóż to, mój człowieku, podobno skaleczyliście się? Pokażcie mi głowę.

Witek otworzył oczy. To sama pani dziedziczka przyszła do niego. Chciał wstać, podziękować,—ale ona nie pozwoliła mu ruszyć się, obmyła ranę, ostrzygła włosy i przyłożyła plaster. Robiła to tak delikatnie, że Witkowi zdawało się, iż mu lżej od samego dotknięcia jej miękkich rąk... Skończywszy, kazała mu leżeć, dopóki jutro nie przyjdzie zmienić opatrunku, i wyszła.

Postać jej, białą ubrana, z jasnymi włosami i zapaloną latarnią w ręku, odbijała od ciemnego tła stajni jak świetlane zjawisko.

Witka ogarnęło wielkie zdumienie, potem zrobiło mu się dziwnie około serca. Już dawno nikt w taki sposób nie przemawiał do niego. Stał mu nagle w pamięci stary dziedzic babicki, z którym łączyło się wspomnienie jego pierwszego zawodu, a potem rumiana twarz pana Adama, dla

którego zdradziła go Hanka. Tamci krzywdzili go, choć znali od dziecka; sam jej mąż nigdy nie powiedział mu dobrego słowa, a ona taka miłośnier-na dla biednego parobka!

„Powiedziałbyś: anioł zszedł z ołtarza — myślał Witek, patrząc na nią, — ino jej skrzydeł brak...“

Nazajutrz rano pani znowu zajrzała do chorego; w obiadowej porze przysłała mu rosółu i osłodzonych ziółek, które mu bardzo smakowały, bo miał gorączkę i ciągle pragnienie.

W tydzień później panna służąca dała znać pani Barwińskiej, że jakiś chłop od godziny czeka na ganku i pragnie widzieć się z nią... Wyszła — Witek, blady, z obwiązaną głową, padł jej do nóg...

— Bóg zapłać jaśnie pani — wybąknął; — nigdy tego nie zapomnę, że jaśnie pani nie brzydziła się mnie i własną ręką opatrywała ranę. Nigdy nie zapomnę — powtórzył. Potem uklonił się nisko i poszedł.

Od tej pory namiętność Witka do pieniędzy miała rywalkę w osobie dziedziczki. Zdumiewało go, że istota tak nieskończenie wyższa zniżyła się do niego, dbała o to, żeby go pocieszyć i przynieść mu ulgę w cierpieniu. Ile razy dowiadywał się, że pani odwiedziła chorego we wsi, serce Witka wzbierało wdzięcznością dla niej, jak gdyby jemu samemu wyświadczyła przysługę.

„Co to za człowieczna pani! — myślał — niech jej Pan Jezus wynagrodzi na dzieciach...“

Kiedy przyszła wiosna, Witek wybrał się w niedzielę do lasu i wrócił nad wieczorem z pełnym garnczkiem jagód.

Na dziedzińcu spotkał państwa, którzy z gośćmi i dziećmi wychodzili na spacer.

— Poziomki! — zawołały radośnie dzieci, rzucając się na garnczek.

— Ach, jaka masa, jakie dojrzałe! — dodała, podchodząc, pani. — Wiele chcesz za nie?

— Nic nie chcę — odrzekł chłop.

— Jakto nic? Przecie należy się wam...

— Kiej ja ino tak, z dobrego serca, dla jaśnie pani jagód uzbierałem — nieśmiało rzekł Witek.

— Ależ tak nie można — mówiła dziedziczka, wyjmując z portmonetki dwie srebrne czterdziestówki.

— Będziecie mieli dosyć?

Witkowi błysnęły oczy. Taki duży zarobek odrazu i to jeszcze nowe, śliczne pieniądze. Stał jak zamagnetyzowany.

„Wezmę — myślał, — przecie napracowałem się!“

Wyciągnął rękę, po chwili czterdziestówki zabrzączały na dnie jego kieszeni.

Wróciwszy do stajni, napił konie, a potem swoim zwyczajem usiadł na progu. Przykrzyło

mu się w niedzielę bez roboty; w karczmie grali, a jemu różne myśli snuły się po głowie. Wspominał nędzne swoje dzieciństwo, — matkę, co mu je czasem osłodziła pieszczotą, — Hankę wietrznicę, co go tak zwodziła, — nieboszczyka pana, który go nauczył zbierać pieniądze, — wreszcie dziedziczkę, która była tak litościwą dla niego w chorobie.

I naraz markotno mu się zrobiło o te czterdziestówki, które od niej przyjął.

„Obmywała mi ranę — myślał, — przynosiła lekarstwa, a ja czem jej się wywdzieczyłem? Uzbierałem krzywą jagód i za to wziąłem srebrniki, jak Judasz.“

Tak się teraz wstydził tych pieniędzy, że gdy by śmiał, poszedłby oddać je dziedzicze. Żal jednak nie trwał długo i po chwili przyszło zastanowienie.

„Przecie tera niema nijakich zarobków. Dwa złote i groszy dwadzieścia dla pani nic nie znaczą, a dla mnie to spory pieniądz — myślał. — Żeby się człowiek już raz mógł dostać na swoje — westchnął. — Tak coś ciągnie do Babc. Za starego pana to się o tem nie myślało i z pieniędzmi nie było kłopotu: trzymał je u siebie i każdego roku coś do nich dołożył; mówił, że się tak należy. A tera! Trzymaj sam w garści i dygotaj, żeby nie zginęły.“

Obejrzał się wokoło: nie było nikogo. Wyjął z zanadru kapciuch i, rozłożywszy pieniądze na kolanach, zaczął liczyć. Trwało to długo, — bo choć Witek często wracał do tego zajęcia, nie nabrał wprawy w rachowaniu. Doliczył się wreszcie. Miał trzysta dwadzieścia siedm rubli. Upajał się widokiem pieniędzy, głaskał papierki palcami i powtarzał półgłosem:

— Trzysta dwadzieścia siedm!...

Słońce zapadło za ciemną ścianę lasu, z ogrodu dochodziła woń jaśminu, w karczmie grano coraz huczniej, a Witek, głuchy i ślepy na to wszystko, układał pieniądze, zapatrzony w swoje nadzieje, zasłuchany w ten głos wewnętrzny, który mu szeptał:

— Już niedługo!...

Od czasu, jak przy śmierci starego pana dowiedziano się, że Witek ma przeszło trzysta rubli oszczędności, ustaliła się w Wólce jego reputacya bogacza.

Jedni, nie zważając na jego ponurość i czterdzieści lat, chcieli wydawać za niego córki; kilku zamożniejszych gospodarzy, kupując kolonie, proponowało mu przystąpienie do spółki; inni bezskutecznie udawali się do niego o pożyczki.

Któregoś dnia zaczął go w polu stary Zantar, biedujący z półtuzinem dzieci na trzymorgo-

wej zagrodzie. Miał zafrasowaną minę i nieśmiało przystąpił do Witka.

— Słyszeliście, jakie mnie nieszczęście spotkało? Krowa mi padła, i to jeszcze na przednówku.

— Oj, chodzi bieda po świecie! — odpowiedział mu Witek na pociechę.

— Pożyczta mi, Witku, choć ze dwadzieścia pięć rubli, a ja wam po żniwach oddam — odezwał się znowu Zantar. — Nie mam co dzieciom w gębę włożyć.

— O la Boga! a zkądbym miał taki pieniądz?—bronił się Witek.

— Gadają ludzie, żeście sporo grosza odłożyli...

— Abo to prawda!

— Pierwsze żyto przedam i oddam; niech mnie Pan Bóg skarże, jeśli nie mówię prawdy—zaklinał się Zantar.

— Nie prosilibyście dłużej, kiej powiadam, że nie mogę. Zresztą już ja tu nie będę popasał, rychło wrócę w swoje strony.

— Poratowalibyście biednego człowieka w potrzebie—ciągnął niezrażony odmową Zantar—i sami mielibyście zysk: przecie zapłacę prowizję.

— Co za prowizję?

— Wiadomo: jak kto pożyczta, bierze prowizję. Szaja, jak komu da rubla, wraca mu się ru-

bel, prowadząc za sobą bez mała dwa na rok. Cóż, zgoda?—dodał i wyciągnął rękę.

Witek namyślił się chwilę; nęcił go zarobek, choć niebardzo rozumiał, w jaki sposób można za rubla dostać dwa na rok; chciałby przytem i Zantarowi dogodzić, ale wyjąć z kapciucha aż dwadzieścia pięć rubli było nad jego siły.

— Żal mi was—rzekł,—boście stateczny gospodarz; ale co robić, kiej nie mam. Nie martwcie się, pan Jezus nikogo nie opuści.

— Bóg zapłać za dobre słowo—odpowied Zantar i poszedł próbować szczęścia u Szai.

„Za starego pana było inaczej — myślał Witek:—nikt nie nagabywał o pieniądze, leżały sobie i kwita; a tera ni dnia, ni nocy nie masz spokojnej. Do tego dziedzica człowiek aniby śmiałości nie miał, aniby mu zawierzył.“

„Co też te żydy robią, że im się grosz tak mnoży? Pamiętam, jak nastał do nas Szaja. Chodził w obdartym chałacie, żona cały rok w jednej spódnicy, strzępy z nich leciały, karmili się też, Boże odpuść. A tera spojrzeć ino na nich w szabas! Nie dziwota, kiej mu się z rubla dwa na rok wylęga.“

— Żebym tak poszedł i spytał Szai — mówił sobie nieraz.—Abo on powie! Żyd katolikowi wszystkiego zazdrości. Może to jakie czary i grzech

wdawać się z żydem? — myślał chłop. — Czy ja wiem, kiej jezdem w lesie bez drogi?”

Niepokój, żal do pana, który był przyczyną jego trosk, i chęć zysku staczały w nim walkę. Im bliższym był celu, tem stawał się niecierpliwszy. Lata czekał spokojnie, a teraz miesiące dłużyły mu się niby lata.

Postanowił jednak rozmówić się z żydem; niech co chce będzie, musi spytać go o radę!

Szczęśliwy traf zdarzył, że niedługo potem, jadąc z młyna, spotkał Witek Szaję, który także wracał do Wólki.

— Zabierz mnie, Witek!—zawołał żyd.

— A no, siadajcie kupiec.

Witek wstrzymał konie, żyd wdrapał się na wóz i pojechali. Od czasu, jak Szaja, zmuszony wynieść się z karczmy, założył w Wólce sklep i zaczął handlować zbożem, chłopci nazywali go kupcem.

Witek namyślał się, jakby zacząć rozmowę, kiedy go Szaja sam zaczepił:

— Co to, Witek, gadają, że uzbierałeś takie wielkie pieniądze, że niedługo zostaniesz gospodarzem?

— Jakie tam wielkie! w kapciuch to można schować

— Porządny z ciebie chłop — mówił żyd. — Inny przepiłby, a ty przez tyle lat jesteś w Wólce

i nigdy nie byłeś pijany, choć pewno nieraz ciągnęło cię do karczmy.

— Jeszcze jak! — westchnął Witek.

— Żebyś ty, Witek, miał rozum, tobyś nie zmieścił swoich pieniędzy we dwa kapciuchy.

— Jakiem prawem? — ciekawie zapytał Witek.

— Tybyś, Witek, u mnie trzymał pieniądze; jabym ci zapłacił lepszy procent, jak stary pan... On wam dawał na rok dziesięć groszy od rubla, a jabym tobie dał dwadzieścia. A jak trzymasz taki majątek u siebie, to i nic z niego nie masz i jeszcze ci go ukradną. Na cudzy grosz każdy jest łapczywy.

Witek niespokojnie trzasnął z bicia. Zmrok zapadał, jechali przez las — nuż go żyd napadnie i ograbi? Lecz wnet uśmiechnął się ze swoich obaw. Przecie Szaja nie rozbójnik. A niechby i napadł. Z politowaniem spojrzął na drobne ręce żyda.

„Pięciu takim angielszykom dałbym radę“ — pomyślał.

— Cóż, zawierysz mi pieniądze? — niby obojętnie dodał Szaja, który dlatego tak nalegał, że właśnie w tych dniach dziedzie natarczywie żądał od niego pieniędzy, a on na razie nie miał gotówki.

Witek podrapał się w głowę.

— Lepiejby mnie kupiec nauczył, jak to się mnożą pieniądze, bo mi oddawać nijako—rzekł po chwili.

Żyd uśmiechnął się szyderczo.

— Abo to chłop nauczy się tego! Ty przecie niby mądry, a cóżeś zrobił? Żeby się pieniądze mnożyły, trzeba mieć dobrą głowę.

— A grzechby to wam było chłopu rozumu nauczyć?—nieśmiało wtrącił Witek.

— Chłop, ja tobie mówię, Witek, jest od tego, coby kole ziemi robił, a od handlowania to pan Bóg stworzył żydków. Gdzieby to chłop taki rozum miał... Daj pieniądze, a może się tobie za rok dorobi 30 rubli i będziesz wielki pan...

— A jakbyście nie oddali, a ja tyle lat zbierałem?—rzekł po namyśle Witek.

— Głupi ty, Witek! Twój dziedziec po dwa tysiące rubli bierze ode mnie, a jabym tobie trzysta nie oddał? Na taki majątek to i plunąć nie warto—dodał, spluwając.—Szajaby tobie ukradł trzysta rubli, Szaja, który niedługo będzie?...

Umilkł i uderzył się palcami w usta, jakby chcąc skarcić je, że wypowiedziały za dużo.

Wjechali w topolową aleję, prowadzącą do dworu.

— No, masz ty, Witek, dziesiątkę—rzekł Szaja, wsuwając mu do ręki miedziaka. — Żebyś ja tobie mógł tak mojego rozumu dać choć za dzie-

siatkę, tobyś ty dopiero był chłop! No, ale może jeszcze zmądrzejesz. Ja tobie dam dwa, ja tobie, Witek, dam trzy grosze od rubla na miesiąc, pamiętaj to sobie.

Po rozmowie z żydem ogarnął Witka jeszcze cięższy niepokój. Przypominał sobie Zantara i myślał, że go Pan Bóg skarże za skąpstwo, to znowu bał się złodziei. Najbardziej jednak dręczyła go myśl, że mógł tak łatwym sposobem powiększyć majątek, i nie robił tego. Dziesięć razy mówił sobie: „Pójdę do żyda, niech pisze kwit, oddam mu wszystko,“ — lecz znowu wstrzymywała go obawa, że, rozstawszy się z pieniędzmi, może nie zobaczyć ich nigdy.

Tak przeszło kilka tygodni, aż nareszcie błysnęła mu myśl szczęśliwa. Przypomniał sobie dziedziczkę, która była tak miłosierna dla niego. Może i tym razem poratuje go w potrzebie, schowa u siebie pieniądze, i uwolni go od niepokoju i bezsennych nocy.

Któregoś dnia po południu, zobaczywszy dziedziczkę na ganku, wdział lepszą sukmanę i poszedł do dworu. Przy schodach nieśmiało zatrzymał się. Dawno już nie widział pani i uderzyło go coś w jej postawie.

„Mizernie wygląda — pomyślał — i jakaś niewesoła, musi że chora.“

— Niech będzie pochwalony — powiedział, zdejmując czapkę.

— Na wieki wieków! A, to wy, Witku—budząc się z zamyślenia, odpowiedziała.

— A ja; dopraszam się jaśnie pani o posłuchanie.

— Chodźcie do kancelaryi — rzekła, prowadząc Witka do pokoju, w którym jej mąż zwykle przyjmował interesantów.

Usiadła przy biurku, chłop stanął u progu.

— A co to, Witku?

— Przyszedłem do jaśnie pani po radę.

— Chorzy jesteście?

— Nie, dziękować Bogu, zdrowy jezdem.

— Więc cóż?

Witek nie wiedział, jak zacząć.

— Nie wedle choroby przyszedem, ino wedle tej krzyny pieniędzy, com se uzbierał u nieboszczyka pana.

— Uzbieraliście?

— A juści. Jakem nastał do Wólki, powiedział mi stary pan: „muisz, Witek, uzbierać grosza na kupienie gruntu.“ Choć człowiek od dziecka w służbie i u nieboszczyka pana nie miałem krzywdy, ale zawsze lepiej w starości robić na swoim.

Jakiś cień padł na twarz pani Barwińskiej—może pomyślała, że są tacy, którzy na starość będą pozbawieni własnego dachu...

— Tak mi powiedział — ciągnął dalej Witek—i zaczonem odkładać grosz do grosza. Tera, chwalić Boga, mam już trzysta rubli i dwadzieścia siedm!

— I chcecie odejść?

— Jak się uzbiera ze 350, podziękuję jaśnie państwu za wszystko dobre i wrócę w swoje strony, może się i ożenię.

— A czegoż chcecie ode mnie?

— Żeby mi to jaśnie pani pomogła wedle tych pieniędzy. Zaczepiają mnie różni, obiecują prowizyę, ale ja się na tem nie rozumiem. Szaja mi maćci głowę, żebym mu oddał...

— Tylko się z Szają nie wdawajcie — śpiesznie przerwała dziedziczka,—on nie takich jak wy oszukuje.

— Jam se też tak myślał—odparł Witek.— Mówię: kiej pan dziedzic bierze od żyda, niech pani dziedziczka weźmie od chłopa. U żyda mogą zginąć pieniądze, a u jaśnie pani są pewne.

Pani Barwińska zawahała się...

„A nuż się rozejdą—pomyślała,—jak rozeszło się tyle większych sum? Co za nedorzeczność—uspokoila się po chwili,—przecież na opłacenie takiego długu wystarczą mi jeszcze moje suknie.“

Witek sięgnął po kapciuch i mocno ścisnął go w garści, czekając na odpowiedź.

— Chcecie mi oddać pieniądze na przechowanie?— spytała go wreszcie.

— A juści! Ino na jeden rok, na przyszły św. Michał, da Pan Bóg, uzbiera się do 350.

Pani Barwińska wciąż wahała się.

— Ale cóż ja z niemi zrobię? Oddajcie je lepiej komu na procent.

— Ja już i procentu nie chcę, ino żeby były pewne. Nikomubym nie powierzył, ale jaśnie pani dla mnie jak matka.

— A więc dobrze— rzekła nareszcie.

— Bóg zapłać jaśnie pani — odpowiedział Witek, składając kapciuch na stole. Pocałował dziewczkę w rękę i gotował się do wyjścia.

— Czekaście, Witku, trzeba zrachować pieniądze — odezwała się pani Barwińska; — wydam wam kwit na nie.

— Co mi ta po kwicie! przecie u jaśnie pani są pewne; a rachować, to wczoraj rachowałem. Jest 327 rubli i drobnemi cztery złote.

— Jeszcze ja zrachuję przy was.

Witek zatrzymał się, a dziewczka rozłożyła przed sobą rozmaitej wartości papierki.

Była tam mieniąca, sztywna, widać nowsza od innych storublówka; były różowe, niebieskie, zielone asygnaty—jedne całe, inne miękkie, ostrzępione, przesiąkłe potem, zużyte od ciągłego liczenia. Gdyby te nieme papierki mogły opowiedzieć

swoję historję, zaświadczyłyby o ciężkiej pracy, której były nagrodą,—wyraziłyby przywiązane do nich nadzieje. Ale one tylko zcicha szeleściwały pod palcami dziedziczki. Witek od progu śledził za niemi oczyma, w których rozczulenie mieszało się z żalem i trwogą. Ledwie rozstał się z niemi, a już go zaczął dręczyć niepokój.

— Jest, jakeście mówili: rubli trzysta dwadzieścia siedm i cztery złote — odezwała się dziedziczka.—Weźcie worek, schowam pieniądze u siebie—dodała, wstając.

Witek zmiął w rękę kapciuch, a uczuwszy, że jest pusty, zawahał się chwilę. Potem poszedł do drzwi i, widocznie zawstydzony, zatrzymał się...

— Chcecie jeszcze co, Witku?

— Bo to, proszę jaśnie pani, możebym wziął ze dwa papierki i te drobne na przynętę. Do pustego worka pieniądz niechętnie idzie.

Czuł, że musi mieć przy sobie choć trochę drobnych, aby czasem zabrzączeć sobie nad uchem,—choć parę papierków, aby pocieszyć się ich szelestem.

— Dobrze, weźcie te dwa ruble i cztery złote, będzie okrągły rachunek; więc macie u mnie trzysta dwadzieścia pięć rubli—rzekła dziedziczka.

Witek schował podane sobie pieniądze.

— Niech będzie pochwalony — powiedział, wziął za klamkę, uchylił drzwi; już połowa jego

wielkiej postaci zniknęła za niemi, kiedy znowu wrócił. Poszedł wprost ku dziedziczce i objął ją za nogi.

Pani Barwińska zrozumiała tę niemą prośbę. Chłop wyszedł, a ona stała przy biurku, pogrążona w myślach. Po chwili wszedł mąż jej ze strzelbą, zawieszoną przez ramię.

— Czegóż to chciał ten twój admirator, zbierający poziomki?—spytał z uśmiechem.

— Ten mój admirator, o którym mówisz tak pogardliwie, potrafił jeszcze, oprócz poziomek, zebrać przeszło trzysta rubli i przyszedł mi je powierzyć.

— *Sapristi!* nigdybym nie myślał, że z tego chłopca taki kapitalista. I cóż, przyjęłaś jego depozyt?

— Tak usilnie prosił, iż w końcu uległam. *Mais cela ne me souriait pas*, nie lubię mieć u siebie cudzych pieniędzy.

— *A cela ne tienne*, oddaj je mnie; nawet bardzo mi się przydadzą w obecnej chwili.

— Znowu potrzebujesz pieniędzy?—spytała go z widocznym niepokojem.—Na cóż poszła suma za srebra, zastawione w Warszawie?

— Na pokrycie naglącego długu, *nous aurions eu l'huissier à la maison*.

— Więc jesteśmy zrujnowani?— rzekła znowu przestraszona.

— *Allons donc!* nie obawiaj się; mamy zbyt duży majątek, tak prędko się nie zrujnujemy.

— Ale jesteście na drodze do tego.

— Najlepiej z damami nie rozmawiać o interesach — z odcieniem niecierpliwości w głosie odparł pan Barwiński. — Najładniejszej z tem nie do twarzy. *A bon entendeur salut!* Będę cię jednak prosił o owe 300 rubli; właśnie miałem posłać po Szaję; wolę zapłacić procent chłopu, aniżeli żydowi. *Ton protégé* będzie miał czysty zysk...

— Władziu, ja mam przeczucie, że ten Szaja nas zgubi; wyrzuc go z Wólki, nie mogę znieść tego człowieka.

— Jest mi bardzo użyteczny, trudnoby mi było obejść się bez niego.

— Ja wiem, że płacisz mu lichwiarskie procenta.

— Ale za to mam pieniędzy, ile zechcę, na każde zawołanie — odparł lekceważąco dziedzic, puszczał dym z cygara. — *Il a de l'esprit comme un singe.* Już-to, że z nich mądra rasa, to im trzeba przyznać. *Eh, bien!* jeżeli chcesz dać zarobek swojemu wielbicielowi, powierz mnie jego kapitały.

— Władziu, pamiętaj, że to święty depozyt; wolałabym sama wszystko stracić, aniżeli narazić na stratę człowieka, który mi zaufał.

— *Cherè amie,* czyż nie rozumiesz, że on zyska na tem? a ja także potrzebuję tej sumy dzisiaj, bo

ją wczoraj przegrałem Janowskiemu w baka i muszę zapłacić przed upływem wieczora. *Si tu as des scrupules*, zachowaj je; poszlę po Szaję i nie wątpię, że się u niego znajdzie tak nieznaczną sumę.

Pan Barwiński miał wekslowych i hypotecznych długów bez liku i troszczył się nie o zmniejszenie, lecz o powiększenie ich, ale honorowe czyli karciane zobowiązania uważał za święte.

Żona jego nareszcie uległa, bo choć trapiły ją złe przeczucia, jeszcze nie знаła prawdziwego stanu rzeczy.

Tejże nocy i o tej samej godzinie, w której Witek, śpiąc zagrzebany w słomę, śnił o przyszłym gospodarstwie, jego pieniądze jechały z dziedzicem do Janowa.

Pan Barwiński zastał tam, jak zwykle, liczne grono gości. W gabinecie z poza dymu cygar ledwie można było dojrzeć ustawione w kilku punktach stoliki, a przy nich rozgorączkowane twarze graczy.

W panu Barwińskim odezwała się żyłka szulerska; przysiadł się do jednego ze stolików.

Grano grubo. Z początku karta mu szła, suma przywieziona z domu podwoiła się. Szczęście, wino, którego nie żałował gospodarz, uderzyło mu do głowy. Ryzykował coraz więcej. Nad ranem siadł do powozu błądy, przepity, z zaciśniętymi ustami i pustą kieszenią.

Biedne, wystrzępione papierki Witka spoczęły obok wielu innych w pugilaresie stołecznego eleganta.

Jakkolwiek Witek nie sądził, żeby jego pieniądze zostały tak szybko puszczone w obieg, nie mógł dać sobie rady od chwili rozstania się z niemi. Już nazajutrz rano postanowił prosić dziedziczkę o ich zwrot, ale potem poszedł do roboty i opamiętał się. Kiedy wieczorem został sam, znowu napadły go obawy.

„Akurat, jakby mi kto rękę uciął—myślał.— Nie mogę, niech sobie leżą u mnie, przecie to już niedługo.“

Raz był nawet niedaleko dworu, ale zobaczywszy dziedziczkę, zawstydził się...

— Co ja robię najlepszego — perswadował sobie. — Zglupiałem na starość, czy co? Przecie prędzej u mnie zginą, aniżeli u jaśnie pani.

Stopniowo jednak przyzwyczał się do myśli, że nie ma pieniędzy przy sobie...

Minał rok, w ciągu którego stosunki dworskie popsuly się tak dalece, że nawet parobkom zamiast pensyi zaczęto wydawać kwitki; inni szemrali, Witkowi było wszystko jedno, bo rachował na opiekę dziedziczki.

Miał wprowadzić podarte buty i łataną sukmanę, ale nie myślał sprawiać nowych.

Przyszedł św Michał—już trzy kwartały nie płacono za usług.

Parobcy i chłopci, którym jeszcze nie oddano należności za żniwo, zebrali się w sobotę wieczorem pod oficyną, czekając na rządcę. Od rana padał drobny deszcz; ludzie stali dobrą godzinę—nikt nie wychodził.

— Może pana rządcy niema? — odezwał się jeden.

— Ale! jest — odpowiedział drugi; — widziałem, jak wchodził; kolację je...

— A i namby już pora do domu—zauważył któryś;—mokniemy cały dzień przy robocie, a wieczorem stój i czekaj na zapłatę.

— A może znów nie dadzą pieniędzy, ino kwitek?—szeptem zapytał inny.

— Kiej tak nie idzie; każdy swojego potrzebuje—niecierpliwie odpowiedział mu sąsiad.

— Juści, że potrzebuje; ale ponoć z naszym dziedzicem kiepsko.

— Gadaj zdrów! tyle ziemi ma i miałyby być kiepsko.

— Idzino, Witek, zapukaj do drzwi i powiedz panu rządcy, że tu jesteśmy—rzekł jeden z fernali, trącając w łokieć Witka, który, jak zwykle, czekał w milczeniu.

— Czy to my bydłęta, żeby tak moknąć?

— A juści, niech idzie; przecie tu nocować nie będziemy—odezwały się niecierpliwe głosy.

Witek usłuchał—wszedł do sieni, potem zapukał do drzwi na prawo.

— Kto tam? — zapytał rządcą, ukazując się na progu.

— To my, proszę wielmożnego pana; przyszliśwa na obrachunek.

— Nie będzie dziś obrachunku.

— Kiej wszyscy zebrali się z kwitkami.

— To sobie odejdą.

Rządcą potrącił Witka i wyszedł na ganek.

— Pieniądzy niema — powiedział głośno.— Idźcie do domu, jutro po sumie wydam wam kwitki.

— A jakże to?—odezwał się jeden z najśmielszych parobków—zima za pasem, każdy potrzebuje coś sprawić.

— Cóż ja wam poradzę?

— Pójdziwa do dziedzica.

— Idźcie, ale wiem, że nic nie dostaniecie— odrzekł, poczem usunął się z ganku i zniknął w głębi sieni.

Chłopi spojrzeli po sobie, niepewni co robić. Postali chwilę, podrapali się w głowę.

— Chodźwa—odezwał się jeden.

— Do dziedzica?—zapytał drugi.

— Kiej go niema—wtrącił Witek.

— A gdzie jest?

— Abo ja wiem... Ciągiem jeździ do Warszawy, to do miasta.

— Oj, cosik w tem jest—westchnął stary Mateusz.

Chłopi zaczęli się rozchodzić, jedni głośno szemrząc, — inni, mniej potrzebujący pieniędzy, w milczeniu.

— Czyby to taki pan sprzedawał cugowe konie i jeździł fornalskimi, gdyby miał pieniądze?—mówił znowu Mateusz parobkom, wracając do stajni.—Ledwiem nie zapłakał, kiedym naszą czwórkę odprowadzał na jarmark. Od źrebiąt je chowałem. Jak tylko zapłacą pensyę, odejdę. Czy ja zwyczajny jeździć szkapami?

— A czemże dziedziczka będzie jeździć?—zapytał Witek.

— Abo ja wiem! Wcale nie będzie jeździć, kiej konie i powozy przedane.

— Prędko mu się rozsypał taki majątek! Nie wierzyłyby człowiek, żeby tego nie widział na własne oczy — odezwał się jeden ze starych parobków.

— A co to za jedni ci, co to wczoraj przyjeżdżali? — pytano ciekawie Mateusza. — Chodzili po polu, coś pisali, wszędzie nosa wściubili, i do stajni i do obory?

— Musi kupcy na Wólkę—odrzekł Mateusz.

— Gdzieby ta dziedzic takie dobro przedawał—wtrącił Witek.

— Co ma robić... kiej nie ma pieniędzy, to i przeda; czy to on pierwszy?

Dostawszy się na swoje posłanie, Witek długo nie mógł usnąć.

„A gdyby istotnie było tak źle z dziedzicem, żeby aż musiał Wólkę przedać?—myślał.—To i co? Przecie jego pieniądze nie u dziedzica, ino u dziedziczki, a zaległych ma tylko 28 rubli i te mu pewno nie zginą. Co się ma trapić?“

Minęła zima, niezadowolenie nietylko na folwarku, ale i wśród resztek niegdyś licznej służby dworskiej ciągle wzrastało.

Ruina szła wielkim krokiem i ogarniała kolejno całe gospodarstwo. Wszędzie były braki, których nawet nie usiłowano zapełnić. Budynki, długi czas niereperowane, zaczęły się walić, dachy zaciekały, narzędzia w opłakanym stanie, kuźnia świeciła pustkami, browar stanął. Brak najpotrzebniejszych rzeczy dawał się czuć w samym dworze, gdzie pani Barwińska rozpaczliwie walczyła z położeniem bez wyjścia. Mąż jej zaczął miewać coraz nowe projekty w celu ratowania sytuacji. Jednego dnia chciał szukać kupca na majątek, drugiego mówił, że rozparceluje go między chłopów i zrobi doskonały interes. Łudził i siebie

i ją, a tymczasem Towarzystwo wystawiło wieś na subhastacyę.

— Co teraz poczniemy? — mówiła pani Barwińska do męża—nie będziemy mieli nawet za co wychować dzieci.

— *Tu exagères*—odpowiedział jej ze zwykłą zimną krwią. — Wystawienie majątku na sprzedaż nie jest rzeczą tak straszną. Zapłaci się ratę *et voilà tout*.

— Ale zkąd wziąć pieniędzy?

— Jakoś się znajdą. Może twoja rodzina przyjdzie nam z pomocą.

— Wiesz, że niewiele mają i że odsunęli się od nas, kiedym wbrew ich radzie ustąpiła mojej hypoteki na Wólce.

— Więc pojedę do Warszawy, poradzę się adwokata.

— Żadne rady nie pomogą; trzeba działać, niezwłocznie sprzedać wszystko, co jeszcze mamy kosztownego — gorączkowo mówiła pani Barwińska:—twoje i moje futra, porcelanę, suknie...

— *C'est une idée...* ale jakże się bez tego obejdiesz?

— Nie troszcz się o mnie: potrafię obejść się bez wszystkiego; zresztą oddawna nie używam tych rzeczy.

— *Tu es une femme vaillante.* Szkoda jeszcze, żeś sprzedała fortepian... mógłbym go w Warszawie korzystniej zbyć...

— Zapominasz, dlaczego go sprzedała — rzekła z naciskiem.

— *Ah, de grâce n'en parlons pas...* Wiem już, wiem: chodziło ci o pieniądze tego chłopca.

— Któreś ty obiecywał zwrócić w ciągu kilku tygodni.

— Wszak nie upominał się o nie?

— I dlatego, że się nie upominał, przyciśniona ostatecznością wydałam je po raz drugi. Żyliśmy z nich przez dwa miesiące, ale teraz stawiam jeden warunek, od którego nie odstąpię.

— Słucham cię — już trzymając za klamkę, zapytał pan Barwiński.

— Ze sprzedanych rzeczy odłożysz trzysta pięćdziesiąt rubli na spłacenie Witka. Nie mogę żyć z myślą, że naruszyłam jego depozyt.

— A gdyby nie wystarczyło na ratę?

— Wystarczy z pewnością, zresztą dokończ, wyproś u kogo z krewnych tę sumę, ale muszę ją mieć i pod tym jedynie warunkiem oddaję ci moje rzeczy.

— Ależ dobrze, *mon amie*, nie gorączkuj się... *On dirait vraiment*, że chcę krzywdzić moich chłopów.

— Nie masz tego zamiaru, a jednak krzywdzisz ich... Pamiętaj, że od roku nie są zapłaćeni. Serce mi się kraje na myśl, że nam złorzeczą, i słusznie.

— Masz szczególny talent odbierania mi odwagi, kiedy jej najbardziej potrzebuje — rzekł z goryczą pan Barwiński.— Dobranoc ci, muszę zebrać potrzebne rzeczy i przygotować się do wyjazdu...

Nazajutrz pan Barwiński podążył do Warszawy, a wraz z nim kilka dużych i ciężkich kufrów...

Dom w Wólce, przed rokiem tak bogaty i wykwintny, dziś został ogołocony z resztek tego, co miało jakąkolwiek wartość. Pusto w nim było i głucho... Nawet rzadziej słyszano śmiechy dzieci. Choć one najmniej cierpiały nad zmianę trybu życia, odczuwały jednak niejasno, że się wkoło nich dzieje coś niezwykłego. Widziały częste ślady łez na twarzy matki; dziwiły się przerwie w naukach, wywołanej odjazdem guwernera i nauczycielek; same chodziły po ogrodzie, którego ścieżki już zaczynały porastać zielskiem. Zdawało się, że na ich radość spadł cień ogólnego smutku.

W tydzień później pan Barwiński wrócił.

— Zapłaćciłeś ratę? — spytała go jeszcze na ganku żona, nie zważając na obecność służby.

— Tak—odpowiedział.

Odetchnęła—nieszczęście na jakiś czas odroczone.

Zaledwie weszli do pokoju, rzekła:

— A masz pieniądze dla Witka?

— *Par pitie*, nie mów mi o nim—odparł niecierpliwie.

— Dałeś mi jednak słowo.

— Czy to moja wina?... rzeczy *en bloc* kupił jakiś żyd, naturalnie za bezcen. Chodziło przecie o pośpiech. Na ratę nawet nie wystarczyło.

— Więc zkad wzięłeś resztę?

— Musiałem wyżebrać pięćset rubli u mojego kuzyna Pankowskiego. Upokorzyłem się tak dalece, że przystałem, aby on sam zaniósł pieniądze do Towarzystwa. Nie chciał mi zaufać. *Ce n'est pas un gentleman...*

Pan Barwiński rozdrażniony chodził po pokoju, a żona jego usiadła przy oknie, zgnębiona tem, że ostatnia nadzieja odzyskania pieniędzy Witka zawiodła ją...

Dnie mijały za dniami, przyszło lato, a w Wólce bezrząd przybierał coraz groźniejsze rozmiary. Duża część ziemi leżała odłogiem, nie było ziarna na zasiew i nie było robotnika. Rządca po hałaśliwej awanturze opuścił pana Barwińskiego; ekonom, nakradłszy, ile mógł, patrzył przez szpary na leniwą robotę parobków; a Szaja tak zhardział, że, przychodząc do dziedzica, nietylko nie stawał

w proggu, jak dawniej, ale odrazu siadał, a nawet zapalał cygaro.

Witek, przywykły do systematycznej pracy, w której każda rzecz musi być zrobiona na czas, nie mógł pojąć nieładu, jaki rozgospodarował się w Wólce.

„Może lepiej zara wziąć pieniądze od dziedziczki i wrócić do Babcic?—myślał.—Co ja tu wysiedzę, kiej wszystko przewaliło się do góry nogami?“

Potem znowu perswadował sobie, że warto dosłużyć do św. Michała i wywieźć okrągłych 350 rubli. Im więcej jednak gadano we wsi o długach dziedzica, tem wyraźniejszy ogarniał go strach...

Przemógł wreszcie nieśmiałość, któregoś dnia odział się w sukmanę i poszedł do dworu. Na ganuku nie było nikogo; zajrzał przez okno kredensowego pokoju—i ten świecił pustką.

Wielki dom, z powybijanemi gdzieniegdzie szybami, z odrapanym na rogach murem, zdawał się być żywym świadectwem upadku jego właścicieli. Na schodach, wiodących do garderoby, praczka reparaowała bieliznę.

— A co to?—spytała Witka.

— Ja do jaśnie pani.

— To sobie wracajcie, zkądście przyszli. Pani chora, leży w łóżku.

— Chora—powtórzył Witek, — a co jej jest?

— Abo ja wiem! Żeby kto inny tak płakał od rana do nocy, toby go już dawno nie stało.

— A czegoż to dziewczeczka się martwi?

— Nibyto nie wiesz? Wiadomo: płacze, bo niedługo ztąd wyjdą.

— Co też wy gadacie! a gdzieżby poszli?

— Czy ja wiem! No, ruszajcie z Bogiem; nie mam czasu na rozmowy, roboty teraz po uszy— rzekła, wstając, a Witek smutny i niespokojny wrócił do stajni.

Nie dał jednak za wygraną—przecież musiał dowiedzieć się, jak tam stoi z jego pieniędzmi. Czatował zdaleka na dziewczeczkę, aż nareszcie spostrzegł ją raz, kiedy szła do ogrodu. Nie zważając na to, że był boso i bez sukmany, pobiegł za nią.

— Proszę łaski jaśnie pani!—usłyszała za sobą pani Barwińska.

Głos Witka zabrzmiał jej w uszach jak wyrzut sumienia. Nie odwróciła się zaraz, ażeby pokryć zmieszanie. Po chwili z wysiłkiem zapytała:

— A, to wy, Witku! czego chcecie?

Chłop stał zawstydzony i patrzył na bladą twarz dziewczeczki.

— Ja, proszę jaśnie pani; wedle moich pieniędzy.

Pani Barwińska od roku przewidywała te słowa i bała się ich...

„Jak ja mu powiem, że nie mam tych pieniędzy?“ — myślała.

— To już chcecie odejść? — rzekła głośno.

— Na św. Michał odejdę.

— A więc wtedy przyjdźcie po pieniądze; zostawcie je jeszcze u mnie przez te parę miesięcy—wymówiła z trudem.

Witek wahał się...

— Ha, już niech zostaną, kiej taka wola jaśnie pani—westchnął i wyszedł z ogrodu.

Upłynęło jeszcze parę miesięcy—w łzach i trwodze dla pani Barwińskiej, w ciągłych rozjazdach dla jej męża.

Była połowa września — dziedzic od tygodnia bawił w Warszawie, a żona daremnie oczekiwała od niego wiadomości.

Wreszcie pewnego dnia umyślny przyniósł list, na którym, oprócz adresu, stało jeszcze wypisane ręką pana: „bardzo pilne.“

Pani Barwińska rozdarła kopertę:

„Najdroższa Maniu! Do ostatniej chwili ukrywałem przed tobą grożące nam nieszczęście—pisał dziedzic, — bo jedynym celem mojego życia było oszczędzić tobie cierpienie. *Le sort l'a voulu autrement.* Pozbawiony serca i wszelkich szlachetniejszych uczuć, Piotrowski, główny nasz wierzyciel,

wystąpił sądownie przeciw nam i już uzyskał wyrok. Lada chwila spadnie do Wólki komornik. Uprzedzam cię o tem, ażebyś miała czas z dziećmi wyjechać do swojego brata. *Tu comprends*, że nie mam po co wracać do domu, bo widok mojej boleści powiększyłby tylko waszę. Oddawna nosiłem się z zamiarem opuszczenia tego kraju, w którym nie mogłem zająć odpowiedniej pozycyi. Zresztą nie przeżyłbym tak strasznej zmiany losu i do ruiny dołączyłbym wam sieroctwo.

Wyjeżdżam do ciotki Sanockiej do Galicyi. Nie wątpię, że mi tam zajaśnieje lepsza gwiazda; uprzedzę cię, jak tylko wyklaruje się sytuacja, ażebyś mogła tam do mnie przyjechać. Wobec tego, co zaszło, brat twój będzie zmuszony tymczasowo zaopiekować się tobą i dziećmi.

Już kończę, *les larmes m'étouffent* i czuję się bardzo zdenerwowany. Przebacz, nie zapomnij i kochaj mnie zawsze.

Ton mari, qui t'aime.

Ladislas Barwiński.“

Gdy dzieci wróciły ze spaceru, zastały matkę zemdloną, a obok niej na ziemi list ojca..

Odzyskawszy przytomność, pani Barwińska odesłała zapłakane dzieci i strwożoną służącą. Potrzebowała spokoju i samotności, ażeby obmyśleć jakiś plan na przyszłość.

— Przedewszystkiem muszę spłacić Witka i resztę służby—mówiła sobie.—Ale czem?

Obeszła cały dom, kredensa, szafy—były puste. Tylko w jednej z nich przechowywała się pozbawiona wszelkiej wartości garderoba jej i dzieci. Zajrzała do pokoju męża—biurko było otwarte i próżne, w szafie samotnie wisiało stare palto.

Wróciła do siebie—w kasie leżały ostatnie trzy ruble.

— Więc pozostały mi tylko meble — rzekła do siebie;—trzeba je sprzedać conajprędzej.

Posłała po Szaję. W kwadrans ukazał się na progu jej pokoju żyd z zuchwałą miną, ubrany w długi, syberynowy surdut, z pod którego świecił złoty łańcuch od zegarka, łańcuch jej męża.

— Mój Szaja, mam do was interes — rzekła śpiesznie.

— I owszem, tylko mnie pani dziedziczka pozwoli usiąść, bo ja jestem bardzo sfatygowany, piję wody — odpowiedział; i nie czekając na jej zezwolenie, wygodnie rozsiadł się w fotelu.

Cała natura pani Barwińskiej wzdrygnęła się przeciw poufałości żyda, który w dużej części przyczynił się do ich ruiny, ale potrzebowała go tak gwałtownie, że zacisnęła usta i tylko odsunęła się od niego.

— Chciałabym sprzedać wam moje meble... pewno już niedługo zostanę w Wólce—rzekła.

— Jakie meble?—spytał żyd, głaszcząc rudą brodę.

— Całe umeblowanie domu, wszystko bez wyjątku.

— Kiedy pani dziedziczka nie ma prawa nie sprzedawać.

— Jakto nie mam prawa?

— Bo te meble moje — odrzekł powoli i uśmiech osiadł na jego bladych wargach.

— Kłamiesz!—zawołała gwałtownie, zrywając się. — Myślisz mnie oszukać, bo wiesz, że nie znam się na interesach...

— Co pani dziedziczka niepotrzebnie krzyczy? Niech pani dziedziczka zapyta się dziedzica.

— Mój mąż wyjechał i już nie wróci.

— To ja pani dziedzicze pokażę, czy ja kłamie; u mnie na to są papiery, ja nic nie robię bez dowodów.

Wydobył z kieszeni plikę dokumentów, z pomiędzy których dostał duży, w czworo złożony arkusz, i nie wypuszczając go z rąk, podał do przeczytania pani Barwińskiej.

Istotnie, mąż jej przed wyjazdem sprzedał Szai całe umeblowanie domu. Zbladła i zachwiała się tak, że aż żyd podsunął jej krzesło.

— Gdybym mogła umrzeć! — wyszeptała.

Szaja patrzył na nią chwilę.

— Niech pani dziedziczka się tak nie martwi — rzekł; — zmartwienie to bardzo szkodzi na zdrowie. Co się stało, już się nie odstanie. Taka piękna kobieta, jak pani dziedziczka, to powinna chodzić w złocie i w aksamitach. Żebym to ja był panem dziedzicem, oj, jakbym ja umiał uszanować takie fajne osobe. Ale on to taki...

— Wyjdz ztąd! — zawołała z oburzeniem.

— Adje! — odpowiedział żyd.

Na progu zatrzymał się jeszcze.

— Może kogo zawołać? — spytał. — Pani dziedziczka taka blada.

— Wyjdz, powtarzam ci!

Żyd zniknął za drzwiami, a pani Barwińska ukryła twarz w rękach.

„Jeszcze i tego musiałam dożyć, los mi niczego nie oszczędził“ — pomyślała.

Chwilami zdawało się jej, że szaleje — głowa jej pałała, pulsa biły gwałtownie. Rzuciła się na łóżko i zamknęła oczy. Nagle przywidziało się jej, że w uchylonych drzwiach stoi Witek.

„Nikomubym nie powierzył, ale jaśnie pani dla mnie jak matka“ — zabrzmiało jej w uszach.

— Boże, jakże jestem nieszczęśliwa! — wyszeptała, ukrywając twarz w poduszkach, jakby w nadziei, że odegna dręczące ją myśli.

„Co ja pocznę? — myślała w bezsilnej rozpaczy — chyba umrę...“

Uczuła w tej chwili taką tęsknotę za śmiercią, jakiej doznają ludzie bardzo zmęczeni życiem i dla których przyszłość ma w zapasie tylko nowe bóle i zawody.

Nad ranem uspokoiła się, zlała głowę zimną wodą i zasiadła przed biurkiem, dla napisania listu do brata.

„Władysław wyjechał za granicę—pisała,—lada chwila będzie w Wólce komornik. Ostrzegam cię, nie poszłam za twoją radą. Błagam cię teraz o litość nad dziećmi. Przyjedź, dopomóż mi wy dostać się ztąd...“

Skończywszy, posłała konnego posłańca do brata, zamieszkałego o dziesięć mil...

Wiadomość o bezpowrotnym wyjeździe pana rozeszła się w Wólce już następnego dnia.

Z początku nie chciano temu wierzyć.

— Jakżeby mógł tak rzucić ziemię, dom, zresztą żonę i dzieci?—mówili parobcy.—A co będzie z ich pieniędzmi? U kogo się o nie upomną? Juści u pani, przecie pan jej musiał wszystko zostawić.

Nazajutrz zebrała się przed dworem liczna gromada; byli tam parobcy, służba dworska, ludzie ze wsi, baby z dziećmi na ręku i starszemi, ucze pionemi u spódnic.

Pani Barwińska ze swojego pokoju usłyszała stłumiony szmer... Bała się zbliżyć do okna—każdy hałas przywodził jej na myśl komornika.

Zgiełk stawał się coraz wyraźniejszy. Na tle jego dały się słyszeć pojedyncze głosy:

— Z dziedziczką chcema gadać! A prosta dziedziczki, żeby do nas wyszła.

Pani Barwińska zbliżyła się do okna—któryś z parobków spostrzegł ją...

— Jest pani dziedziczka — rzekł, odwracając się do gromady.

— Prosimy łaski jaśnie pani, przyszłiśwa na obrachunek—odezwał się któryś.

— Na obrachunek! na obrachunek!—zawołali wszyscy razem, podnosząc do góry trzymane w ręku kwitki.

Pani Barwińska cofnęła się wгłęb pokoju.

— Co ja im powiem?...—szepnęła, chwytając się za głowę.

Pierwszą jej myślą było nie pokazać się wcale; po chwili jednak uznała, że nie ma prawa kryć się przed ludźmi, których mąż skrzywdził,—zdobyła się więc na odwagę i wyszła.

Kiedy stanęła na ganku, kilkadziesiąt rąk wzniosło się do góry, zdjęto czapki, a chór głosów przywitał ją słowami:

— Niech będzie pochwalony!...

— Na wieki wieków!...

Rzuciła okiem na tłum, zebrany przed dworem.

„Iluż ich jest! Boże, iluż ich jest!“ — pomyślała.

Dziedziniec był zapełniony ludźmi, bo oprócz interesowanych zeszli się i ciekawi. Cała Wólka miała być świadkiem ostatniej rozmowy z dziewczką.

— Czego to chcecie, moi ludzie?...—zapytała.

— Słyszeliśmy, że dziedzic już nie wróci do Wólki—rzekł, wysuwając się na przód, karbowy;—zatem przyszliśwa do jaśnie pani po zapłatę.

— Bez mała pięć kwartałów służyliśwa za kwitki—odezwał się drugi.

— Zima za pasem, każdy potrzebuje coś sprawić—zabrała głos jedna z bab.

— Biedę cierpieliśwa przez rok, bo nawet ordynaryę wydzielili nie całą—zawtórowała jej druga.

Co słowo, to oskarżenie.

— Nie mogę wam zapłacić!... — wyrzekła nareszcie pani Barwińska.—Nie mam pieniędzy.

Wśród tłumu wszczął się hałas—wszyscy mówili razem, kobiety głośno zawodziły, ręce groźnie podniosły się do góry.

„Sąd ostateczny nie może być straszniejszy!“—myślała pani Barwińska, stojąc przed tym trybunałem oskarżycieli, przejęta litością dla nich, uznająca słuszość ich wymagań, a taka bezsilna wobec tej nędzy. Każde ich słowo wżerało się w jej serce i wypalało w niem ranę.

— Jakże to?—górował nad innemi ostry głos starej kobiety, której siwe pasma włosów wydobywały się z pod chustki — to my na państwo darmo robili przez pięć kwartałów?

— Zmarniejemy w zimie... przedaliśmy na wiosnę kożuchy, żeby mieć za co kupić buty. Co tera pocniemy?

— Nie wyjdą im na dobre nasze pieniądze!

— A bodaj ich Pan Bóg skarał razem z dziećmi i z dobytkiem!

— Ażeby przed sądem Boskim nie doznali zmiłowania!

— Patrzajcie! — wołał jeden z parobków, wskazując na zgrzybiałą kobietę, wspartą na dwóch kijach, która zapadłemi oczyma bezmyślnie wodziła dokoła — dziewięćdziesiąt lat blisko ma, nie przetrzyma zimy i nie będzie jej za co uczciwie pochować!

Jakby na potwierdzenie tych słów, trzęsąca głowa staruszki pochyliła się nisko, a bezzębne usta coś szeptały...

— Słuchajcie! — odezwała się pani Barwińska.

Tłum nie zwracał na nią uwagi.

— Słuchajcie! — powtórzyła.

— Cicho! jaśnie pani mówi — uspakajała jedna z kobiet, w nadziei, że z ust dziedziczki spadnie jakaś wieść pocieszająca.

Uciszyło się...

— Moi drodzy — rzekła pani Barwińska, — wychodzę z Wólki biedniejsza, niż każdy z was... Nie mam gdzie złożyć głowy... nie wiem, co jutro dam dzieciom jeść...

Głos jej drżał, oczy nabiegły łzami.

— Boli mnie wasza krzywda; chciałabym wam dopomódz... wierzajcie, nie mogę... Pan Bóg mnie ciężko dotknął.

Łkania dławily ją... Kobiety zaczęły płakać i ocierały fartuszkami oczy. Mężczyźni ze zdziwieniem spoglądali po sobie.

— Żyliśmy zawsze zgodnie... przez pamięć na to przebaczcie mi, nie przeklinajcie moich dzieci.

W umyśle niektórych bab, pod wpływem wzruszenia, wynurzyła się fala dobrych wspomnień i chwilowo wzięła górę nad zalem.

— Człowieczna była pani, nad każdym miała miłosierdzie — szepnęła jedna.

— Co z tego, kiej nas tera krzywdzi — ponuro odpowiedział stojący obok chłop...

— Ona niewinna, nikomu źle nie robiła — broniła jej druga.

Dziedziczka, a nie ma co dzieciom dać jeść... Matki współczuły jej... One wiedziały, jak to boli, kiedy dzieci płaczą z głodu, a niema ich czem utulić.

— Ale jemu, dziedzicowi, niech Pan Bóg zapamięta naszą krzywdę!

Złowróźbne głosy znowu odezwały się w gromadzie.

Dziedziczka wyciągnęła ręce, jakby chciała prosić o zmiłowanie i nad nim, ale ta prośba nie przeszła jej przez usta.

— Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy! — rozbitym głosem wymówiła staruszka, trzęsąc głową, poczem zaczęła znowu w milczeniu przebierać sinemi wargami.

— Nierychliwy, ale sprawiedliwy! — powtórzyło kilka głosów.

— Co my tu wyczekamy?... chodźma—rzekł po chwili karbowy. — Na dziadyśmy zeszedli przez dziedzica, niechaj nas Pan Bóg pomści!

Poszedł naprzód, a zanim powoli ruszyli inni.

Pani Barwińska stała oparta o słup i patrzyła na odchodzących. Czy się choć obejrzą, czy ją pocieszą dobrem słowem? Nie,—więc nie przebaczyli, zawiętkim był ich żal... Stała za nimi w milczeniu nieme pożegnanie, czując, że nic już nie zapełni przepaści, która się dziś utworzyła pomiędzy nią i gromadą.

Chciała cofnąć się do domu, kiedy nagle zobaczyła przed sobą Witka.

Wobec zbiorowej krzywdy zapomniała o tej, najkrwawszej, za którą najwięcej była odpowiedzialną. Ale Witek pamiętał.

— Proszę jaśnie pani, przyszedem po swoje pieniądze—rzekł głosem, w którym dosłyszała łyzy, strach i groźbę.

— Witku — wymówiła z trudem, — Witku, nie mam, dziedzic wziął... i wasze pieniądze poszły.

— Co! moje pieniądze, gdzie poszły?—zawołał nieprzytomnie.—Gdzie one mogły pójść? Przecie ja nie dziedzicowi dałem, ino jaśnie pani.

Wbiegł na ganek i stanął przed panią Barwińską.

— Nie mam ich—wyszeptwała.

— Pani dziedziczka urąga się nad biednym człowiekiem... przecie to tak nie można.

— Witku, przebaczcie mi—prosiła, nie wiedząc, co mówi.

— Piętnaście lat robiłem na ten grosz, niczego nie zaznał, harowałem od rana do nocy, ludzie mnie przeklinają i ot co mam!

Objął panią Barwińską za kolana.

— Niech mnie jaśnie pani odda moje pieniądze, moję krwawicę, com się nad nią napocił i nabiedował. Przecie to grzech!

— Witku, przebaczcie mi, jam winna: dziedzicowi pożyczyłam... myślałam, że odda... przebaczcie...

— O Jezu, Jezu! więc to prawda! — łkał Witek.

— Może kiedy będę mogła oddać... przysięgam, że zrobię wszystko, aby wam zwrócić te pieniądze.

— Już miałem iść na swoje, jużem się o grunt wywiedział. Zestarzałem się w pańskiej służbie. Co ja pocznę? Bodajem tego dnia nie doczekał! — jęczał chłop.

Pani Barwińska już nie odpowiadała.

Upadła na ławkę i zakryła twarz rękoma.

Nagle Witek wstał, wyprostował się i rzekł ochrypniętym głosem:

— Gdzie tu sprawiedliwość! Od dziecka ino krzywda i krzywda! Ot, com zaznał przy dworach! W małości bili, potem zabrali dziewczynę, a teraz pieniądze. I jeszcze kto? Taka dobra pani! a ja prawie wierzyłem jaśnie pani jak Bogu!

Odwrócił się, machnął ręką i zszedł ze schodów...

Wiedziony przez nałóg, skierował się Witek ku tej samej stajni, na progu której tyle razy liczył pieniądze, gdzie w czasie bezsennych nocy marzył o przyszłym gospodarstwie.

W pewnem oddaleniu od niej stanął, czując, że w tej chwili nie wytrzymałby tam... Prawie że chciało mu się uciekać jaknajdalej od dworu i ludzi. Spojrzał dokoła i ociężale powlókł się

w stronę pól, jak człowiek, który wie, że, gdziekolwiek pójdzie, nie umknie przed własną zgryzotą.

Szedł przed siebie, nie oglądając się, i stopniowo przychodziło na niego uspokojenie; miał tylko niejasne uczucie, że stało się coś strasznego i, idąc, powtarzał bezmyślnie:

— Trzysta pięćdziesiąt rubli! już niema sprawiedliwości Boskiej!

Wtem stanął. W oddali bielita się wieś, a bliżej, na osobności, większa od innych chałupa, ogrodzona porządnym płotem. W polu, przytykającym do niej, gospodarz siał... Na środku stał wóz żyta, które chłop czerpał i rzucał w bruzdy. Za nim krok w krok szło kilkoletnie dziecko, z konopiastymi włosami, ubrane w koszulinę i słomiany kapelusz. Chwilami wspinało się na palce, nabierało ziarna w drobną rączkę i także sypało przed siebie.

Witkowi stanęły w pamięci wszystkie dawne jego marzenia. I on obsiewałby własną ziemię i za nim może chodziłoby dziecko, wołając na niego: tatulu, a na progu jego chałupy może także siedziałyby gospodyni, z drugim dzieckiem u piersi...

Przecie i jemu należało się coś za tyle lat znoju. A teraz wszystko przepadło i już nie wróci nigdy. Schwycił się za głowę. Nie, to nieprawda, to mu się tylko śniło!...

Ale świadomość wróciła prędko. Nie chciał przechodzić mimo chałupy i skręcił w bok, uciekając od widoku cudzego szczęścia.

Wokoło panował spokój. Po bladym niebie goniły się chmurki, zmieniając co chwila kształty, a zaorana ziemia dodawała szarą swoją nutę do ogólnego, bezbarwnego kolorytu... Witka przerażała ta wielka cisza, w której wyraźnie słyszał wewnętrzny głos, powtarzający mu bezustannie:

— Miałeś trzysta pięćdziesiąt rubli, a nie masz nic!...

Głos ten wkrótce tak spotęźniał, że zagłuszył wszystkie inne. Świerszcz gdzieś zawodził monotonna śpiewkę, a Witkowi zdało się, że on woła: „miałeś trzysta pięćdziesiąt rubli!“ Wróbel skakał z gałęzi na gałąź, a Witek w trzepotaniu jego skrzydeł usłyszał: „miałeś trzysta pięćdziesiąt rubli!“

Gdybyż ktoś odezwał się do niego ze słowem pociechy, gdybyż zerwał się z kąd taki mocny wichur, co by rozgonił jego myśli, albo i jego samego zmiotł ze świata!...

„Ot za co odejmowałem sobie od gęby!... ot za co znosiłem przekleństwa!... Nie mogłem to ja pożyczyć Zantarowi, albo i żydowi dać na kwitek?.. Poszedłbym do sądu, a teraz co?... Ni kwitu, ni pieniędzy! Chyba Pana Boga niema na niebie,

kiedy się dzieją takie rzeczy!“ — myślał, bezwiednie idąc w stronę lasu.

Ale w miarę jak się zbliżał, zdawało mu się, to że las od niego ucieka, to że ziemia rozstępuje się pod nim, albo że on sam jest pijany.

Doszedł wreszcie, skreślił ze ścieżki, błędził między niskimi jałowcami, a potem zapuścił się w głąb lasu...

Po obu stronach, przed nim i za nim, stały sosny z nagimi pniami, u stóp ich paprocie powiewały strzępiastymi liśćmi, gdzieś wyraźniał grzyb, albo nisko przy ziemi, jak korale, czerwieniły się borówki. Samotność tu była zupełna, tylko chwilami ptak się odezwał, albo pomknęła wiewiórka, czepiając się chropowatego pnia...

Witek dostał się na polanę, otoczoną ze wszystkich stron murem drzew liściastych... Były tam stare dęby, brzozy z gałęzmi opuszczonymi jak postronki, sztywne olszyny, a wszystkie drzewa jesień przystroiła w najświetniejsze barwy, żeby jeszcze większą żalność obudzić po nich w sercach ludzi. Liście trzymały się słabo, lada powiew zdmuchiwał je, — wtedy zataczały krąg w powietrzu, jak ranione ptaki, i cicho spadały na ziemię...

Witek już nie mógł iść dalej; usiadł pod drzewem i oparł się o pień... I znowu przesunęły mu się w pamięci wszystkie nędze jego życia: przepędzenie z zabawy, urągania chłopców, baty ekono-

ma, kara za wpuszczenie gęsi w szkodę, skrzyżowane na piersiach ręce matki, które jeszcze przez szpary trumny widział takie czarne... kochanie dla Hanki i dzień, w którym ją dostrzegł wracającą od dziedzica, a potem lata samotności, tłumionych pragnień, zwalczanych pokus i ostatnia wielka nadzieja, która mu przez ten czas przyświecała.

Już był tak blizkim celu i nagle wszystko runęło...

— Niema sprawiedliwości, niema Boga na świecie! — rzekł i schwycił się rękami za głowę, chwiejąc nią w obie strony.

— Co ja zrobię nieszczęśliwy? gdzie ja się podzieję?...

Wtem podniósł oczy, zobaczył nad sobą potężny konar dębu i nagle ogarnęło go pragnienie cierpienia fizycznych i śmierci. Z dziką rozkoszą myślał, jak założy sobie powróż na szyję, jak zawiśnie na gałęzi, jak powróż zadławi w nim oddech... Zdawało mu się, że niepokonana siła zmusza go, ażeby odpiął pas i założył go sobie na szyję.

Poczuł wielką trwogę; zmrok zapadał, jednocześnie powstał wiatr i cały las się rozjęczał.

„To tak na mnie wieje — myślał Witek. — Boże odpuść, Boże ratuj, żebym w grzechu nie opuścił tego świata.“

Zerwał się z ziemi i zaczął pędem uciekać od fatalnego drzewa, szepcząc pacierze.

Powoli minęła najgorsza trwoga, a kiedy późnym wieczorem wracał do domu, tylko słyszał, jak nad nim płaczą drzewa:

— Biednyś ty, Witku, biedny!

Ale już zła moc go opuściła.

Nazajutrz rano Witek zobaczył na dziedzińcu powóz, a przy nim obcego furmana. W czeladnej izbie, przy śniadaniu, spytał któregoś z parobków, co to za jeden?

— Stangret paninego brata, co tu wczoraj przyjechał. Ponoć dziś zabiera ze sobą dziedziczkę i dzieci.

— Pani jedzie, a któż tu ostanie? — spytał znowu Witek, zatrzymując w pół drogi łyżkę, którą niósł do ust.

— Nikt nie ostanie, przedadzą Wólkę i będzie nowy dziedzic.

„I znowu będę służył, i znowu będę harował od rana do nocy na pańskim, i tak do końca — pomyślał Witek. — Nie zaznać mi już lepszej doli!“

— Więc nam nikt nie wróci naszej krzywdy? — rzekł głośno.

Parobcy przerwali jedzenie i spojrzeli po sobie.

— A któżby wrócił? Pan Bóg na tamtym świecie!

Umilkli i, dokończywszy śniadania, wyszli.

Każdy mógł poznać, że się w Wólce dzieje coś niezwykłego...

We dworze od wczesnego rana drzwi wejściowe były otwarte. Wynoszono kufry, tłumoki z pościelą i ładowano je na wóz...

Nieliczna służba biegała z kuchni do domu, z domu do stajni; dzieci, ubrane po podróznemu, zaglądały do każdego kąta, chodziły żegnać się ze żrebietami, z barankami, z topolą, na której rokrocznie bocian wił sobie gniazdo. Cieszyły się oczekującą ich zmianą, a zarazem coś dławilo je w gardle na myśl, że wyjadą z Wólki i, jak im powiedziała matka, wyjadą na zawsze.

Psy podwórzowe, widząc, że im nikt nie broni przystępu do domu, zgromadziły się na ganku, a potem rozpoczęły hałaśliwe harce w pustym salonie.

Wokoło dworu krążył Szaja; wchodził i wychodził, stawał przy wozie, na który ładowano mizerny dobytek właścicieli Wólki, i śledził oczyma wszystkie wejścia: bał się, żeby nie wyniesiono czegoś z rzeczy, które za marne pieniądze zostały jego własnością.

Nareszcie spakowano wóz, przykryto go płachtami, wprężono czwórkę fernalskich koni, parobek wdrapał się na wierzch i ruszył. Na gościńcu, pod sztachetami, zebrały się wiejskie dzieci,

potem przyłączyli się do nich starsi, liczba widzów wzrastała z każdą chwilą. Wszyscy wylegli, ażeby przyjrzeć się odjazdowi dziewczki.

Około piątej przed ganek zajechał powóz. Tłum poruszył się... Kobiety wzięły młodsze dzieci na ręce. Wzruszenie ogarnęło wszystkich.

— Człowiek do kamienia przywyknie, a cóż dopiero do człowieka — rzekła, ocierając łzy, jedna z kobiet. — Bóg to raczy wiedzieć, jacy teraz nastaną dziedzice.

Od pół godziny stał powóz, dzieci już się w nim rozsiadły, a pani Barwińskiej jeszcze nie było. Nie miała odwagi opuścić domu, z którym wiązało ją tyle wspomnień. Do chwili przyjazdu brata krzepiła się myślą, że on dopomoże jej wyjść z Wólki bez poczucia wyrządzonej tylu biedakom krzywdy. Ale i ta nadzieja zawiodła ją... Brat jej miał liczną rodzinę i zagmatwane interesa. Przyjmując na siebie ciężar wychowania jej dzieci, robił prawie nad możność.

Kiedy pani Barwińska usłyszała turkot zajeżdżającego powozu, siły ją opuściły. Długo stał nad nią brat, mówiąc o obowiązkach względem dzieci. Usłuchała wreszcie i wyszła na ganek. Stangret trzasnął z bicia i podjechał, służąca wyniosła ostatnie pakunki...

Wzrok pani Barwińskiej padł na zebraną za sztachetami gromadę. Byli tam wszyscy, każdą

kobietę znała z imienia, między dziećmi było kilku jej chrześniaków. Nie brakowało nikogo. Ale jakże się zmienili, stoją zdaleka, nikt nie przychodzi jej żegnać, nikt nie powie, jak dawniej:—Jedźcie, paniuleczku, z Bogiem.—Nie przebaczyli, nie przebaczą nigdy. Dzieci ich jeszcze będą pamiętały dziadków. A kto tam stoi z tyłu, najdalej ze wszystkich? To Witek, chmurny, wsparł się o sztachety i patrzy na nią...

Zachwiała się, brat podtrzymał ją i wsadził, drzwiczki trzasnęły i powóz potoczył się przez dziedziniec. Zebrany tłum rozstał się na obie strony.

Pani Barwińska wstrzymała oddech. Czy po to przyszli, ażeby ją przeklinać? O Boże, więc takim będzie ostatnie jej wspomnienie z Wólki?

Ale z niczyich ust nie wyrwało się ani jedno słowo, ręce sięgnęły po czapki, głowy pochyliły się nisko...

Czy to był odruch, czy litość dla bladej twarzy dziewcziczki i dla małych paniątek, którym łzy płynęły z oczu?

Trwało to jedną chwilę—konie pomknęły; dziewcziczka, łkając, wcisnęła się wgłąb powozu, który zniknął za topolową aleją...

Chłopi w milczeniu zaczęli się rozchodzić—jedni do domów, drudzy do karczmy, zkąd już dochodziły odgłosy muzyki.

Witek długo nie ruszał się z miejsca—stał, jak przykuty do płota, zapatrzony w drogę, którą oddaliła się dziewcziczka i na której już nawet kurz, wzniesiony kołami powozu, ułożył się do równowagi. Wreszcie powlókł się do stajni i, jak dawniej, usiadł na progu.

„Już nie wrócą moje pieniądze“ — myślał;— za kilka dni Święty Michał... służby nawet nie mam... choć z głodu zdychaj.“

Z karczmy dochodziły dźwięki skrzypców. Witek nadstawił ucha.

— A toż to ten sam oberek, co go u nas grywali w Bubicach; tańcowałem ci ja go z Hanką, aż ludzie się dziwowali.

Zamyślił się, wspominając dawne dzieje; wczesny jesienny zmrok zapadał, a w karczmie wciąż grali i grali. I porwała go taka tęsknota, że już nie mógł usiedzieć.

— Pójdę i ja, choć posłucham tego grania— rzekł i poszedł w stronę karczmy.

Nie dochodząc do chałupy, w której był sklepik Szai, spostrzegł bryczkę, zaprzęzoną w jednego konia, a w niej starego żyda z białą brodą. Szwargotał z Szają, który stał oparty o bryczkę i, zobaczywszy Witka, zawołał:

— Chodzino tu, Witek!

— Czego?—niechętnie spytał chłop.

— Chciałbyś zarobić dwa złote?

— A to jak?

— Do młócki cię jutro wezmę.

— E, co mi tam! — odparł Witek i chciał iść dalej.

Ale żyd zastąpił mu drogę.

— Tamtych zgodziłem po 40 groszy, a tobie dam dwa złote, boś ty chłop porządny, no i takie stracie wielgie miałeś... A nie mówiłem: daj Witek pieniądze, zapłacę procent i wystawię kwit. Bałeś się żyda, a państwo lepiej cię oszwabili.

— Bodajesz przepadł! — mruknął Witek.

— No, czego na mnie kłać, przecie ja nie winien. Ja tylko mówię, że chłop głupi, kiedy nie słucha żyda. Ja ci przecie chcę dać zarobek. Cóż, zgoda? pójdziesz młócić?

— Co mam robić...—odparł Witek — niech i tak będzie.

— No, to weź zadatek; masz 20 groszy — rzekł Szaja, wsuwając mu w rękę dwa miedziaki.

Witek wziął pieniądze i poszedł. Już dawno nie był w karczmie na niedzielne granie, a tłumo tam było i gwarno. Witek poszedł wprost do okienka, przed którem siedziała gruba karczmar-ka w kraciastej sukni, białym fartuszką, i kazał dać sobie półkwaterek.

Wychylił go duszkiem — zrobiło mu się ciepło wewnątrz i rażno na duszy; więc rzuciwszy na stół drugiego miedziaka, zawołał:

— Jeszcze wódki! — Potem usiadł w kącie przy stole, na którym rozparli się muzykanci i rznąli mu nad uchem dziarskiego oberka.

Spostrzegłszy Witka, któryś z fernali zawołał:

— Cóżes to się dziś przyłączył do naszej kompanii?]

— Już ci nie żal pieniędzy na wódkę? niema co, pij! — wołał mu drugi — dobry trunek na frasunek!

Witek, jakby tylko czekał na zachętę, kazał sobie dać trzecią miarkę; po wypiciu jej zrobiło mu się lekko, prawie wesoło, myśl o straconych pieniądzach gdzieś pierzchła.

Zdawało mu się, że jest znowu młody, że to babicka karczma, a ta dziewczyna z czarnemi war-koczami i koralami na szyi nie kto inny, tylko Hanka...

Trzymając półkwaterek w jednej, a połę suk-many w drugiej ręce, zaczął tupać nogami i przy-śpiewywać.

Skupili się wokoło niego — dziwne to było zjawisko Witek podпиты i śpiewający!

Dziewczęta zaczęły chichotać, trącać jedna drugą i pokazywać go sobie, a on chwycił w pół najbliżej siebie stojącą, cisnął w kąt blaszankę i zawołał na cały głos: — Grajta, a dziarskie-go! — puścił się na środek izby.

Muzykanci zagrali, ludzie rozstąpili się, a Witek jak szalony kręcił się po karczmie.

— A to bestya hula! — śmiała się jedna z dziewcząt.

— Maryśka już tchu złapać nie może!

— Ktoby powiedział, że on tak tańczyć umie!

Witek podbiegł do karczmarki, nie puszczając dziewczyny, z której pot lał się strumieniem.

— Haraku dla mnie i dla niej! — zawołał — ino dobrego i dużo!

— A nas nie poczęstujesz? — zapytały inne dziewczęta, przysuwając się do niego i ciągnąc go jedno za rękaw, drugie za poję od sukmany.

Witek zaśmiał się pełną pierśią.

— Kiej tak, chodźta wszystkie! — zawołał. —

Niech żadna nie pyskuje, zem skąpy. Wszystko dziś przepiję! Wzięli dyabli krowę, niech wezmą i ciele!

Wyjął z zanadrza kapciuch i wytrząsł na stół całą jego zawartość. Były tam trzy rublowe papierki i trochę drobnych.

Widząc go w tak hojnym usposobieniu, obstąpili go dokoła muzykanci, baby, parobcy, z którymi tyle lat żyjąc, nigdy im dotąd nie fundował!

Raczono się na jego koszt, a on, prawie zupełnie straciwszy przytomność, krzyczał, tańczył, potrącał tych, którzy mu stawali na drodze, a chwilkami klął i bluźnił przeciw sprawiedliwości Boskiej.

Niekiedy bezwładny padał na ławę, ale wnet zrywał się, wypijał miarkę i znowu puszczał się w taniec.

Zdawało się, że oszalał i przykładem swoim zaraził innych. Rozhulano się zapamiętale. Uczuli smać wszyscy, że trunek dobry na frasunek, bo coraz więcej miedziaków sypało się w szufladę zastanej szynkarki, coraz mniej butelek świeciło na półkach.

Wreszcie muzykanci ustali, bezwładność ogarnęła wszystkich, karczma zaczęła się wyludniać. Tylko jeden Witek kręcił się jeszcze po izbie z zaczerwienioną twarzą i rozwartą na piersiach koszulą.

Ale i jego siły zaczęły słabnąć, nogi mu się plątały, szedł do karczmarki z pustą blaszanką w rękę i w żaden sposób nie mógł do niej trafić. Doszedł wreszcie, chwiejąc się i trzymając ściany...

— Jeszcze!—zawołał ochrypłym głosem.

— Już wszystko przepiłeś — gniewnie odpowiedziała karczmarka.—Ruszaj do domu, kiej nie masz pieniędzy.

Witek patrzył na nią osowiały.

— Nie masz pieniędzy—powtórzył, zatoczył się i upadł, uderzając głową o ławkę.

To go na chwilę otrzeźwiło, podniósł się do połowy i rozejrzał wokoło, ale wnet znowu stracił przytomność i, objawszy ławkę rękoma, zaszlochał:

— Niech mi jaśnie pani odda moje pieniądze, przecie to grzech!

Stopniowo przychodziło na niego zapomnienie; przytulił się do ławki, do której przed chwilą tak żałośnie przemawiał, i usnął.

W karczmie było już zupełnie pusto. Gospodarz wyszedł z alkierza, ażeby pogasić światła i zaryglować drzwi. Gospodyni, ziewając, ustawiała półkwatki i butelki.

— Kto to tam jeszcze leży?—zapytał niecierpliwie karczmarz, spostrzegłszy w kącie na ziemi olbrzymią postać Witka. — Wyprowadzić go, bo nam spać nie da... Wstawaj! — zawołał, ciągnąc Witka za rękę, ale ten ani drgnął. Karczmarz trząsał go coraz silniej, świecił mu lampą w oczy, nie było sposobu dobudzić się go...

— Kto teraz podzwignie takiego draba — gniewnie mruzczała karczmarka.

— Walka zawołam, wyciągnie go razem ze mną na gościniec — odrzekł karczmarz.

Wyszedł i po chwili wrócił z zaspanym parobkiem, który miał pełno słomy we włosach i na ubraniu. Wyciągnęli Witka z izby i, położywszy na drodze pod drzewem, wrócili — karczmarz do alkierza, Walek do obórki.

Zamek zgrzytnął, światło w oknach zgasło, cisza zapanowała dokoła.

Już dniało, kiedy Witek obudził się zziębnięty, z ciężką głową i zboląłymi kośćmi. Z pod drzewa, gdzie go położono, zsunął się do rowu i tam spędził resztę nocy. Był powalany błotem, miał rozdartą koszulę, podpuchnięte oczy, a na twarzy wyraz bezmyślnego odrętwienia...

Z początku nie mógł sobie przypomnieć, co się z nim stało, dlaczego nocował w rowie i dlaczego mu tak głowa ciąży. Usiadł i zaczął rozglądać się dokoła. W tejże chwili w uchylonych drzwiach karczmy ukazała się gruba gospodyni z potarganymi włosami i zawołała dziewczynę, która przed oborą doła krowę.

Widok jej obudził w Witku niejasne wspomnienie poprzedniego dnia... Wszak mu się to nie śniło... On naprawdę upił się w karczmie. Sięgnął po kapciuch, nie było go... Jak przez mgłę przypomniał sobie, że wieczorem wytrząsał na stół wszystkie swoje pieniądze. I wszystkie poszły. Brak ich przywiódł mu na myśl drugą, bezpowrotną stratę.

Powoli wracała mu świadomość ostatnich wypadków, a z nią rozpacz, która go popchnęła do karczmy i kazała w wódce szukać ukojenia.

Obudziła się w nim myśl i chciałby ją znowu zagłuszyć. Tyle lat zwycięzko walczył z pociąganiem do wódki, a teraz czuł, że gdyby miał pieniądze,

poszedłby znowu do karczmy upić się... Ale już nic nie miał, a wstydził się prosić o kredyt.

We wsi wszczął się ruch; widząc, że już tu dłużej siedzieć nie może, Witek wstał i powłókł się najprzód chwiejnym, potem coraz pewniejszym krokiem do domu...

Po dworskim dziedzińcu od świtu chodził Szaja, ubrany w ciepły surdut i aksamitną czapkę.

Zaglądał do pokojów, do stajni, brzęczał kluczami od stodoły, w której było zamknięte jego zboże, a spostrzegłszy Witka, zawołał:

— Jak ty Witek wyglądasz!

— A tobie co do tego?—gniewnie odpowiedział chłop.

— Taki porządny parobek — ciągnął dalej żyd,—a tak krzychałeś, że u mnie było słychać.

— Idź do dyabła!—wołał Witek jeszcze gniewniej.

— To ty lepiej idź do roboty—już zuchwale odezwał się Szaja.

— Do roboty! patrzajcie go! cóżeś tu dziedzi-
cem został?

— Dziedzic czy nie dziedzic, ale kiedy ty pieniądze naprzód wzięłeś, to musisz robić.

— Jakie pieniądze?

— A nie wzięłeś wczoraj dwadzieścia groszy zadatku?

— A no juści, że wzięnem—przypomniał sobie Witek.

— A widzisz, to ruszaj do młócki; tamci już robią od pół godziny.

— Zara pójdę—odrzekł Witek spokojny.

Umył sobie twarz i ręce, zjadł śniadanie i poszedł do stodoły, ale robota mu nie szła. Chwilami zdawało mu się, że stodoła kręci się z nim razem w kółko, potem że chwieje się pod nim klepisko; kłócił się z dziewczętami, zaczepiał parobków, którzy nie mogli pojąć, co mu się stało.

Podczas obiadu, nie dokończywszy jeść, zdrzemnął się, ale wnet rozbudzono go i musiał wrócić do roboty, mrużąc:

— Choroba z tymi żydami!

— Większa choroba z wódką! — wtrąciła, śmiejąc się, jedna z dziewcząt.

Witek spojrział na nią pochmurnie.

— Wzięłabyś się i ty do wódki, żeby ci kto całe życie z garści wydarł.

Już parę godzin jęczała i warczała młocarnia i chodziły w manezu konie, kiwając głowami... Nagle coś trzasło, a konie szarpnęły się w tył tak gwałtownie, że poganiający chłopak upadł z kieratu na ziemię.

— Powaryowaliśta, czy co?—wrzeszczał na młócających.

W tejże chwili wybiegła ze stodoły jedna z dziewcząt i, pędząc z podniesionemi rękoma w stronę dworu, wołała:

— Rety, o la Boga, rety!

— Czego się drzesz?—zapytał idący od stajni karbowy.

— Witka porwało w maszynę!—krzyknęła przerażona.

Karbowy co tchu pobiegł do stodoły, a w różnych kątach podwórza zaczęli ukazywać się chłopcy i baby.

— Co ty gadasz, co ci jest?—pytali.

— Witka porwało za rękę!... Rety, rety!—krzyczała wciąż prawie nieprzytomna dziewczucha.

Oczom nadchodzących przedstawił się straszny widok...

Na ziemi, przed otwartą bramą stodoły, leżał Witek, przy nim na trawie czerwieniała kałuża krwi. Miał głowę odrzuconą w tył, zamknięte oczy i twarz trupią. Jego prawa ręka, zdruzgotana, była podobna do bezkształtnej, krwawej masy...

Leżał tak nieruchomy, iż zdawało się obecnym, że umarł, ale po chwili jęk wydobył się z jego piersi, powieki drgnęły.

— Żyje!—zawołała jedna z bab.—Ratujciez go, panie Szajo!—zwróciła się do żyda, który nadbiegł od strony oficyny, a był bledszy od samego Witka.

Ledwie jednak spojrział na leżącego chłopa, zasłonił oczy i jeszcze prędzej uciekł do swojej chałupy.

— A widzisz go, jaki mądry! — rzekł furman.—Przecie kaleki tak ostawić nie można, bo naprawdę zamrze. Trza rękę przewiązać, i krew ucieknie. Dajta który powrózka, a chyżo—dodał, klękając obok rannego.

Natychmiast jeden z fernali podał mu bat, a Mateusz z niezwykłą przytomnością umysłu związał Witkowi rękę powyżej łokcia.

Witek jęknął.

— Teraz, baby, szmat!—rzekł Mateusz.

Parę kobiet skoczyło na czworniak i przyniosło spory pęk płótna, którem stangret owinał zmiądzoną rękę.

W tej chwili nadbiegł ekonom, który najpóźniej dowiedział się o wypadku.

Spojrział na leżącego parobka i rzekł, załamując ręce:

— Nieszczęście, ha, nieszczęście! Ha, niema co, trza go wieźć do szpitala —dodał po namyśle.

— Czy to on wytrzyma drogę? półtorej mili do miasta... i tak ledwie zipie—odezwał się jeden z fernali.

— Cicho!—zawołał ekonom.—Wysunąć wóz drabiasty i naładować słomą; sam go zawiozę. Tu zamrze bez pomocy.

— I tak zamrze — spokojnie odpowiedziała jedna z bab.

— Tyla krwi z niego wyciekło, jakby kto wieprza zarznął.

— Już ma bielmo na oczach — zawtórowała druga, patrząc na Witka.

— Jakże się to stało?—pytał ekonom, podczas gdy zakładano konie.

— A to, proszę pana — odpowiedziała jedna z dziewcząt,—Witek wczoraj upił się tak, że wydał wszystkie pieniądze, tańcował jak waryat i jeszcze bluźnił. Oczywiście kara Boska.

— Niestłychane rzeczy!—wtrącił ekonom.

— Że on wódki niezwyczajny, więc i dziś jeszcze był niespełna rozumu.

— Gadały my jeszcze: Witku, ostrożnie—mówiła druga dziewczyna, — bo cię chwyci maszyna; a on nam: „To wy mnie starego jeszcze uczyć będziecie! pokażę ja wam, jak się podaje!“ Jak podał, widać chybutnął się i złapało go.

— Niestety, jak Boga kocham, nieszczęście! — powtarzał ekonom, drąc się za resztki włosów.

— Już takie widać było jego przeznaczenie — odpowiedział jeden z chłopów.—Pan Bóg go skarał za bluźnierstwo.

W tej chwili przed stodołę zajechał wóz. Napełniono go słomą, któraś z bab pobiegła po podu-

szkę, dwóch parobków podniosło Witka—jeden za głowę, drugi za nogi, trzeci podtrzymywał mu rękę. W chwili, w której go poruszyli, Witek otworzył oczy i jęknął, aż obecnych mrowie przeszło, potem opuścił głowę i omdlał.

Nieprzytomnego złożyli na wozie i przykryli sukmaną.

— Nieboszczyka chyba dowieziecie—odezwał się jeden z parobków do powożącego fornała.

— Szkoda chłopca—litowały się baby.

— No, jazda! — zakomenderował ekonom, wdrapawszy się na wóz.—A ostrożnie, Maciek, na glinkach, uważaj na kamienie.

— Z Bogiem!—odezwała się gromada.

Wśród ciszy i ciemności jesiennego wieczoru ruszył wóz, uwożący Witka z Wólki.

Został po nim tylko krótki żal w sercach i krwawa plama przed stodolą...

Gdy Witek odzyskał przytomność, leżał w jasnym pokoju, na łożku, przykryty kołdrą.

Podobnych łożek stało tu jeszcze kilka, a na każdym leżał chory i miał nad głową czarną tablicę.

Witek ze zdumieniem rozglądał się wokoło—nie wiedział, gdzie jest i co się z nim stało. W prawej stronie ciała czuł okropny ból, miał głowę gorącą i spieczone usta...

— Wody!—wyszeptał.

W tej chwili jakaś pani w dużym, białym kapeluszu i ciemno-popielatej sukni ostrożnie podniosła mu głowę i wlała w usta chłodzący napój, poczem znowu usiadła i zaczęła w milczeniu przebierać koronkę. Czasem który z chorych poruszył się, albo przemówił, wtedy pani w białym kapeluszu wstawiała, poprawiała mu poduszki, albo dawała pić, i znowu siadała obok Witka.

Noc zeszła Witkowi na półsennych marzeniach, przerywanych napadami cierpień, w czasie których rzucał się na łóżku, chciał zedrzeć opatrunek i tak krzyczał, że inni chorzy zrywali się z pością. Nieznana pani powstrzymywała go, okładała głowę lodem i uspakajała łagodnymi słowami...

Rano zobaczył przy sobie dwóch panów, których przedtem nigdy nie widział. Zdjęli mu opatrunek i oglądali rękę, przyczem znowu okropnie cierpiał. Usłyszał niezrozumiałe dla siebie wyrazy: gangrena, amputacya; potem widział przygotowania, których celu nie pojmował; wreszcie włożono mu na twarz jakąś siatkę i kazano wciągać bardzo mocny zapach. Po chwili wydało mu się, że go spojono—zaczęło mącić mu się w głowie i takie odrętwienie opanowało wszystkie jego członki, że nie mógł ruszyć palcem. Był przekonany, że już śmierć nadchodzi, i zaczął jęczeć. Przez chwilę sam słyszał swoje jęki, potem już nic nie pamiętał...

Obudził go straszny ból, łzy płynęły mu po twarzy, a nad nim ktoś powiedział: *zawczasie...*

Obcy panowie coś mu robili koło ramienia, a pani w białym kapeluszu stała obok nich bardzo blada. Wleli mu coś w usta, kazali leżeć spokojnie, nareszcie zapewnili, że wszystko dobrze, i rozeszli się...

Ile dni, nocy, tygodni tak leżał, nie zdawał sobie sprawy. Któregoś ranka obudził się bez gorączki, ale tak osłabiony, że z największym trudem podniósł powieki i odwrócił głowę. Przy jego łóżku zawsze siedziała ta sama pani.

— Cóż, lepiej wam, mój biedaku?—zapytała, spotkawszy się z jego spojrzeniem.

— Lepiej — odpowiedział.

Zdziwił go dźwięk własnego głosu—wydał mu się nie swój, ale jakiś obcy.

— Bardzo z wami było źle—rzekła znowu zakonnica,—ale teraz z każdym dniem będziecie silniejsi; może niedługo i wypiszemy was ze szpitala—dodała z uśmiechem.

Witek nic nie odpowiedział. Wszystko mu było jedno... Nie miał siły ani chcieć, ani myśleć. Czegoś mu brakowało z prawej strony, ale nie wiedział czego. Cały ten dzień leżał spokojnie, bez cierpienia; nie spał, ale czuwanie jego było zupełnie podobne do drzemania. Patrzył przed siebie na białą ścianę, po której zwolna spuszczał się pająk;

przez chwilę śledził za jego ruchami, ale tak się tem zmęczył, że przymknął oczy.

W takim stanie półświadomości upłynął mu następny tydzień.

Któregoś dnia wieczorem usłyszał nad sobą pytanie:

— Nie zmówilibyście ze mną pacierza, mój przyjacielu?

— Zmówię—odrzekł słabym głosem.

Pani, którą doktor, posługacz i chorzy nazywali siostrą, uklękła przy łóżku Witka.

— Przeżegnajcie się—rzekła.

Witek chciał podnieść prawą rękę, ale uczuł jakiś dziwny rodzaj przeszkody.

— Nie mogę ruszyć—szepnął.

— Już nie będziecie żegnali się prawą ręką—smutnym głosem powiedziała mu siostra.— Nauczcie się żegnać lewą. Kalekom wolno...

Witek już nie słyszał tych słów—patrzył na miejsce, gdzie niegdyś miał prawą rękę.

— To mi całą urwała maszyna?—rzekł, jakby przypominając sobie coś.

— Musieli ją wam uciąć doktorzy, inaczej bylibyście umarli—tłumaczyła mu siostra.

— O la Boga! a cóż ja tera pocznę? — spytał i pierwszy raz w jego oczach siostra zobaczyła przestraszonych.

— Bogu ofiarujcie wasze cierpienia—pocieszała go.— On nikogo nie opuści.

Witek nic nie odpowiedział i leżał z głową zwróconą na prawo.

— Umiecie pacierz?—spytała znowu siostra, ciągle klęcząc u jego łóżka.

— Umiem, ale chyba przepomniał.

— Więc powtarzajcie za mną... „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”

Witek jak małe dziecko powtarzał pacierz za siostrą. Kiedy doszli do słów: „Ale nas zbaw ode złego,” był tak wyczerpany, że jego głosu już wcale nie było słychać.

— Dość będzie na dziś—rzekła, wstając, siostra. Poprawiła mu poduszki i dała lekarstwo.

— Teraz śpijcie, sen was pokrzepi.

Nazajutrz Witek był nieco silniejszy, siostra znowu kazała mu mówić za sobą modlitwy i prowadziła jego lewą rękę, którą on niewprawnie uczył się żegnać.

W pokoju, gdzie leżał Witek, nie było teraz nikogo. Szpital chwilowo był pusty i siostra, mając więcej czasu niż zwykle, wyłącznie mu go poświęcała. Tegoż dnia po obiedzie spytała Witka, czy pamięta, co mówił w czasie choroby.

Nie, on nic nie pamiętał.

— Musiał was ktoś bardzo skrzywdzić, mój przyjacielu?

Jakieś odległe wspomnienie obudziło się w duszy Witka.

— Wiadomo, krzywdzili—wyszeptał.

— Rzucaliście się w malignie, przeklinaliście, nawet bluźniliście Bogu — ciągnęła siostra.

— Gdzie jabym się tam rzucił! — myślał Witek — palcem mi się nie chce ruszyć. Inobym tak leżał i spał...

— Czy was nikt nie uczył, że to grzech przeklinać? — mówiła siostra.

— Uczyli, jeszcze dobrodziej w Babicach.

— Przecie mówicie w paciérzu: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.“ Pamiętacie te słowa?

— Pamiętam.

— Widzicie, choćby was nie wiem jak kto skrzywdził, darujcie mu, i wam będą grzechy odpuszczone. Nacierpieliście się na tym świecie, ale zato po śmierci przyjmie was Pan Jezus do Swojej chwały i za wszystko odpłaci... Za każdą boleść da wam radość i szczęście...

Witek słuchał.

— Życie krótkie, prędko przeminie, ale zato później będzie wieczna szczęśliwość; rozumiecie, co to jest wieczna? Taka, co się nigdy nie skończy; będziecie zawsze młody, będziecie mieli obie ręce i wszelki dostatek, będziecie Pana Boga oglądali, i Matkę Jego, i aniołów, jak przed Nim kłęczą

i pieśni Mu śpiewają. Słyszycie, co mówię?—spytała, widząc, że Witek przymknął oczy.

— Słyszę--odpowiedział.

On tylko dlatego opuścił powieki, że mu się zdawało, iż tak lepiej widzi aniołów, o których mu siostra opowiada.

— Może i ona anioł—myślał, patrząc na nią: —kiedy mówi, to jakby śpiewała; a to białe, co nosi na głowie, jakby skrzydła.

— Więc cóż? nie będziecie już przeklinać tych, co was skrzywdzili?

-- Nie będę.

— Przebaczycie im?

— Przebaczam.

— Ze szczerego serca?

— Ze szczerego serca—rzekł głośno, myśląc w duchu o ekonomie, co go bijał, o starym dziedzicu, który go nie puścił na jarmark, o panu Adamie, co mu zabrał dziewczynę, i o ostatnim dziedzicu, przez którego stracił wszystko: pieniądze i zdrowie...

— Dobrze, tak—rzekła siostra, biorąc go za rękę. — Pan Bóg was zato nie opuści. Choć jesteście tylko biedny parobek, On sam do was przyjdzie; dla Niego każdy człowiek jednaki, czy pan, czy chłop...

— Przyjdzie Pan Bóg do mnie? — spytał Witek z niedowierzaniem.

— Poproszę księdza, to was jutro wypowiada i da wam komunię, a przecież wiecie, że w tym opłatku prawdziwe ciało i krew Pana Jezusa. Cóż, chcielibyście?

— Chciałbym—rzekł Witek.

— Dobrze, a teraz śpijcie.

Witek z pomocą siostry poprawił się na łóżku, ale długo nie mógł usnąć. W uszach mu wciąż brzmiały słowa:

„Choćby was nie wiem jak kto skrzywdził, przebaczone mu;—a potem:—„życie krótkie, prędko przeminie, a za każde cierpienie będzie wieczna szczęśliwość.“

Zasnął wreszcie i śnili mu się aniołowie, z których jedni mieli twarz dziedziczki z Wólki, a drudzy byli podobni do szpitalnej siostry...

Nazajutrz dano Witkowi świeżą pościel i koszulę, stolik przy łóżku pokryto białą serwetą, i postawiono na nim świece i krucyfiks.

Przyszedł ksiądz i wypowiadał się przed nim Witek z ciężkich grzechów swojego życia: jak niegdyś, w chwili gniewu, chciał podpalić babickiego dziedzica, jak wzywał na niego kary Boskiej, jak potem myślał tylko o pieniądzach, biedniejszym od siebie nie chciał dopomóc, przez skąpstwo przestał dawać na mszę za duszę matki, wreszcie jak upił się z rozpacz, przeklinał tych, co go skrzywdzili, a nawet bluźnił samemu Bogu

i wątpił o Jego sprawiedliwości. Żałował teraz za to wszystko i jedyną ręką bił się w piersi.

Ksiądz wysłuchał go i dał mu rozgrzeszenie. Po chwili wszedł do niego z Panem Bogiem; chłopak w białej komeżce poprzedał go, dzwoniąc, a siostra uklękła u drzwi z pochyloną głową.

Wielki spokój i rozczerzenie wstąpiły w duszę Witka od owego dnia... Miewał długie rozmowy z zakonnicą, która z prostotą wierzącego serca opowiadała mu o szczęśliwości, czekającej wybranych w Niebie, o konieczności poddania się Bogu i przebaczenia wszystkich krzywd... Na potwierdzenie swoich słów czytała mu z książki o męczennikach: jak wyrzekali się wielkich majątków, godności, dzieci i żon, i umierali z uśmiechem i imieniem Bóżem na ustach.

Witek był teraz w tem stadium choroby, w którym osłabienie przestaje być cierpieniem, a jest tylko bezwładnością.

Leżał nieruchomy całemi dniami i myślał. Każde zasłyszane od zakonnicy słowo przyjmował i przerabiał w swojej duszy, i coraz bardziej odrywał się od życia. O ziemską swoją przyszłość nie troszczył się—był pewien, że umrze; zresztą cóż znaczyły te krótkie chwile wobec radości, która go czeka i nie skończy się nigdy!

Czasami, zwłaszcza w nocy, jeszcze bardzo cierpiał; nie mógł pojąć, dlaczego go tak bolą palce

i łokieć w rękę, której przecież nie miał... Ale jeżeli go siostra zapytała, czy go co boli, odpowiadał zawsze: „nic, nic mnie nie boli.“

Niekiedy myślał, że może to i dobrze, że cierpi: prędzej przyjdzie śmierć i zacznie się dla niego to drugie, lepsze życie.

Doznane krzywdy nietylko przebaczył, ale zapomniał o nich, a natomiast cokolwiek doświadczył od ludzi dobrego, przepelniało go dla nich wdzięcznością.

Nieraz siostra, widząc łzy w jego oczach, pytała go:

— Co wam jest?

— Nic — odpowiedział;— ja tylko tak myślę, jaki też Pan Bóg był dla mnie miłosierny.

Któregoś dnia czuł się więcej osłabionym niż zwykle i po obiedzie usnął. Zbudził go szmer przy drzwiach. Obrócił się—na progu stała siostra, a przy niej jakaś pani czarno ubrana.

— Pani dziedziczka — wymówił Witek głosem, w którym brzmiało poznanie i radość.

Siostra wysunęła panią Barwińską na przód i wyszła, zamykając za sobą drzwi...

— Pani dziedziczka — powtórzył Witek.

— Witku — wyszeptała, zbliżając się do niego, pani Barwińska,—niedawno dowiedziałam się o was... Co to za nieszczęście!...

— Wola Boska—spokojnie odpowiedział chłop.

— Okropnie cierpieliście, prawda?

— Siostra mówili, żebym Bogu ofiarował; ofiarowałem — odrzekł.

— A teraz boli was jeszcze? — pytała dalej dziewczeczka, której wzruszenie ustępowało miejsca zdumieniu wobec spokojnego tonu chłopa.

— Świętych więcej bolało, kiedy ich gorącym żelazem palili.

Pani Barwińska uważnie wpatrzyła się w Witka. Był do niepoznania zmieniony i wyglądał na starca. Skronie i oczy mu zapadły, nos mocno wysunął się na przód, dwie głębokie bruzdy rysowały się po obu stronach ust, woskową twarz okalał siwiejący zarost, a mocno szpakowate włosy spadały mu prawie na ramiona.

Leżał nawznak nieruchomie, przytrzymując kołdrę na piersiach; oczy miał otwarte, a wzrokiem zdawał się wybiegać gdzieś poza szpitalne ściany, w krainy wiecznej szczęśliwości.

Pani Barwińska mocno ścisnęła rękę, leżącą na kołdrze.

— Witku! — wymówiła, nie ukrywając już łez, które jej płynęły po twarzy—Witku, czy możecie mi przebaczyć?

Witek zwrócił głowę w jej stronę.

— Wszystko przebaczyłem ze szczerego serca — odpowiedział z głębokim przekonaniem.

— Nie będziecie przeklinać mnie i moich dzieci?

— Niech państwa Bóg błogosławi, ja przecie do nikogo nie mam złości.

— Mnie wasza krzywda i niedola spokoju nie daje—ciągnęła dalej, płacząc, dziewcziczka.— Staralam się, nigdzie nie dostałam pieniędzy. Przyniosłam, co mogłam: piętnaście rubli—rzekła, wydobywając portmonetkę.

— Na co mnie pieniądze?—spytał apatycznie.

— Pójdę w służbę—mówiła znowu pani Barwińska.—Każdego kwartału coś odłożę i będę wam przysyłać...

— Co też jaśnie pani mówi? Pani dziewcziczka miałyby iść w służbę?

— Idę, nie chcę żyć z łaski, nie mam za co dzieci wychować—mówiła z płaczem.

— Bogu trza ofiarować—odpowiedział zwolna Witek.—On nikogo nie opuści...

— Weźcie te pieniądze — prosiła, wsuwając mu je w rękę, — weźcie; przywiozłam też ciepłe palto; przyda się wam, jak wyjdziecie ze szpitala.

— Na co mnie to wszystko? — odparł Witek słabym głosem, bo go bardzo zmęczyła rozmowa z dziewcziczką.—Przecie ja niedługo umrę, niczego już nie potrzebuję.

— Nie mówcie tak, będziecie jeszcze zdrowi!

— Oho! już ja nigdy zdrowszy nie będę — wyszeptał; — za dobre słowa Bóg zapłać jaśnie pani,

ale pieniądze to mnie na nic. Po co się pani krzywduje... lepiej paniątkom co kupić.

Pani Barwińska wstała, czując, że dłużej nie potrafi panować nad sobą.

— Zostańcie z Bogiem, Witku — powiedziała, nachylając się nad nim i dotykając ustami jego czoła...

— Niech jaśnie pani idzie z Bogiem — odpowiedział. — Bóg zapłać jaśnie pani za kroki, co je do mnie zrobiła...

Przy drzwiach pani Barwińska stanęła i jeszcze raz spojrzała na niego.

— Niech Pan Jezus pocieszy jaśnie panią — powiedział jej Witek na pożegnanie.

Zwolna wracały Witkowi siły.

Wkrótce zaczął wstawać na godzinę, potem na dłużej, wreszcie całe dni spędzał na fotelu przy oknie. Świat zewnętrzny, od którego się był tak oderwał w czasie choroby, zaczynał nabierać dla niego interesu. Z zajęciem przyglądał się płatom śniegu, fruującym w bezbarwnem zimowem powietrzu, ubielonym dachom domów i kościoła, i myślał: ile też czasu mógł chorować?

Kiedy go tu przywieźli, była jeszcze ciepła jesień, a teraz mróz często rysował dziwaczne desenie na szybach szpitalnej sali. Bawiły go wróble, świergoczące na nagich drzewach, przejeżdżające wozy, wojsko, z biciem w bębny maszerujące

przez plac, a nade wszystko bawiły go dzieci. Gdyby które z nich podniosło oczy, spostrzegłoby w oknie starca w szpitalnym szlafroku, który przyglądał się ich gonitwom i kiwał im głową...

Pewnego ranka, po całotygodniowej niepogodzie, pierwszy raz zaświeciło słońce. Witek stanął w szerokiej smudze promieni, wpadających przez okno, i zaczął się śmiać.

— Czego się śmiejecie? — spytała go wchodząca właśnie siostra.

— A ja tak, do słoneczka...—odpowiedział.

Cieszył się najdrobniejszą rzeczą: bezwiednie cieszył się powrotem do tego życia, o które niedawno zupełnie nie dbał...

Ale w miarę jak odzyskiwał siły, w duszy jego budził się niepokój...

Przez czas choroby tylu ludzi przesunęło mu się przed oczyma, tylu przy nim przyszło i wyszło ze szpitala, iż nie mógł nie wiedzieć, że jego pobyt tu musi mieć swój kres. I tego kresu, tego nowego życia, jakie zacznie się dla niego po wyjściu ze szpitala, bał się tak, że starał się o niem nie myśleć. Było mu tu dobrze i spokojnie, nigdy nie czuł się tak szczęśliwy. Miał ciepły pokój, czysto zaślane łóżko, rosół na obiad, a w niedzielę słyszał dzwony, widział przez okno ludzi, idących do kościoła—i sam klękał i mówił pacierze.

Położywszy się wieczorem, słuchał opowiadań siostry, która spełniała przy nim mnóstwo posług, uczyła go ubierać się i jeść lewą ręką, a w nocy, kiedy mocniej kaszlał, podawała mu lekarstwo i ocierała spoconą twarz.

Co pocznie, gdy go wypiszą?

To samo pytanie nieraz zadawała sobie siostra, ze smutkiem spoglądając na Witka. Macierzyńską czułością przywiązała się do tego biedaka, który jej w dużej części zawdzięczał powrót do zdrowia.

Któregoś dnia doktor zawyrokował, że Witek za tydzień może opuścić szpital. Pora była zimowa, chorych dużo, a łóżek brak... Siostra wyprosiła jeszcze drugi tydzień, Niech nabierze sił, przecież może wpaść w suchoty.

Zaczęła mu dawać wino, powiększyła porcję jedzenia i ostrożnie nadmieniła mu, że niedługo będzie musiał wyjść.

Od tej chwili ogarnął Witka ponury smutek. Już nie wyglądał przez okno, ale siedząc na swoim łóżku, rozmyślał. Czasem inni chorzy wszczykali z nim rozmowę, wypytujac o jego zamiary.

Nie miał żadnych—nie wiedział, gdzie pójdzie i co się z nim stanie.

— Powinienbyś iść do tej wsi, gdzie cię skaleczyło — mówił mu jeden. — Niech cię dziedzice opatrzą i dadzą jaką służbę.

— Już niema dziedziców... Bóg wie, kto tam tera rządzi w Wólce.

— Pastuchem mógłby być—mówił drugi.

— W mojej wsi dwóm chłopom urwało rękę, to jeden był za pastucha, drugi stróżował w nocy.

— Juści, co dwie ręce, to nie jedna; co kaleka, to nie zdrowy; ale zawsze jakąś robotę powinien znaleźć—pocieszał trzeci.

Już on nigdzie nie pójdzie, tylko do swojej wsi. Kiedy Pan Bóg nie chciał go odrazu zabrać do Siebie, to mu widać sądzone wrócić do Babcic.

Znajdzie się tam chyba kąt dla jego steranej głowy i jakaś praca dla tej jednej ręki, co teraz wychudła i beczynnienie leży mu na kolanach. Nie pójdzie przecież zebrać pod kościół. Jak bocian z za morza wraca do gniazda, tak on po latach tułaczki zateśknił do babickiego folwarku, gdzie upłynęło mu dzieciństwo i młodość. Uczucie to było tak silne, że stłumiło zadawniony żal do pana Adama.

— Trzeba pomyśleć o waszem ubraniu—rzekła jednego wieczora siostra do Witka.—Przywieźli was tu przecie w łataniej sukmanie i dziurawych butach. Musicie jeszcze mieć co w Wólce...

— Mam ci ja trochę przyodziewku, koszul parę i kożuszykę.

— Trzebaby się o to dowiedzieć—rzekła siostra i nazajutrz prosiła znajomego żyda, jadącego do Wólki, aby przywiózł ze sobą rzeczy Witka.

Żyd wrócił z niepomyślną wieścią. Nic się nie znalazło. Pewnie rozkradli, myśląc, że Witek nie wyjdzie z choroby.

— Dobrze, iż dziedziczka zostawiła tu dla was ciepłe palto i piętnaście rubli — pocieszała siostra Witka, który bardzo zmartwił się stratą kożucha.

Zajęła się sprawieniem mu paru koszul, zreparowaniem butów i sukmany. W wigilię wyjazdu posłała go do kościoła na mszę, którą uproszony przez nią ksiądz miał odprawić na jego intencję.

Witek przez całe nabożeństwo leżał krzyżem i, jak mu kazała siostra, dziękował Bogu za swoje wyzdrowienie.

Wieczorem zakonnica miała z nim ostatnią rozmowę...

— Pamiętaj — upominała go, — chociażby cię spotkały jeszcze większe zmartwienia, nie wyrzekaj, nie bluźnij, nie miej w sercu gniewu do nikogo; im bardziej tu będziesz cierpiał, tem prędzej dostąpisz szczęścia w Niebie. Pan Bóg nie daje Nieba darmo. Trza sobie na nie zasłużyć.

Potem zawiesiła mu na szyi mały krzyżyk.

— Żebyś o mnie i o moich naukach nie zapomniał—dodała z uśmiechem, choć jej było bardzo

smutno z powodu tego biedaka, który ostatnią noc dziś spał pod jej opieką.

— Gdzie jabym mógł zapomnieć! Do śmierci nie zapomnę!—odpowiedział Witek.

Łkania, przerywane silnymi napadami kaszlu, rozdzierały mu piersi i długo nie mógł się uspokoić.

Nazajutrz rano zdjął z siebie szpitalne odzienie, ubrał się w palto, darowane przez dziedziczkę, i usiadł na łóżku. Nie miał odwagi wyjść.

— Już czas na was, mój przyjacielu—rzekła wreszcie siostra, która kilka razy wchodziła do pokoju, nie mogąc zdobyć się na te wyrazy.

— Czas! — powtórzył Witek i upadł do nóg siostrze, powtarzając:—Bóg zapłać! Bóg zapłać! Nie zapomnę do śmierci!

Podniosła go, dała w rękę kij i węzelek z koszulami i bochenkiem chleba.

— Z Bogiem, idźcie już...—rzekła zwolna, chcąc pokryć własne wzruszenie.

Witek wyszedł z sali, minął korytarz, sień, a na ganku przykląkł i ucałował próg szpitala.

Na ulicy jeszcze raz odwrócił się i spostrzegł w drzwiach siostrę, która go zdaleka zegnała.

— Co tam — pomyślał, — przecie mnie Bóg nie opuści, byłem zaszedł do swoich...

IV.

Mrok wieczorny zapadał na pola, pokryte śniegiem, na wijącą się wśród nich zamarznąłą rzekę, na las z ubielonemi konarami drzew...

Z ołowianego nieba spadał śnieg, okrywając już i tak białą ziemię nową warstwą białości.

Na tle pustej i uśnieżonej równiny ukazał się człowiek z kijem w ręku i zarzuconym na plecy węzełkiem. Musiał znać zasypaną i w tej chwili zupełnie niewidoczną drogę, skoro szedł na przód tak pewnym krokiem.

Znał ją dobrze, dużo potu jego i pracy wsiąkło w tę ziemię, uśpioną teraz snem zimowym.

Był to Witek, powracający ze szpitala do Babie.

Dotarłszy do miejsca, gdzie wznosiła się mурowana kapliczka, stanął i zdjął czapkę.

— Ta sama i Matka Boska ta sama—rzekł półgłosem do siebie. — I cmentarz niedaleko — dodał, oglądając się.

Kilka nagich drzew i kilkanaście czarnych krzyżów, pochylonych w rozmaite strony, jakby usiłujących wykopać się ze śniegu, stwierdziło, że go pamięć nie myli.

— Zara i Babiece będą, ino skrócić w aleję, a ztamtąd już widać kościół i wieś...

Włożył czapkę i poszedł, ale wolniejszym krokiem. Śnieg zasypywał mu oczy, robiło się coraz ciemniej. Wszedłszy w aleję, kilka razy potknął się o drzewo.

W oddali zamigotały światełka i rozległ się dzwon... Witek stanął zdziwiony.

— Chyba że na umarłego o tej porze dzwonią—rzekł i uczył przebiegające mu po ciele zimno.

— Ilu tu już umarło przez te piętnaście lat!—myślał.

Minął kościół i w otwartej dzwonnicy spostrzegł ciemną sylwetkę człowieka, który ciągnął za sznur i dzwonił.

— Pochwalony —rzekł Witek.

— Na wieki wieków — odparł człowiek, wciąż schylając się i podnosząc, jak gdyby wybijał pokłony.

— A komu to dzwonicie?

— Julce Bartusównie.

— Chyba Hance?—spytał Witek.

— Nie, Hanka to jej matka; nie umarła, ale gdzieś się podziała ze wsi...

— A dziewczyna była w służbie?

— We dworze—odpowiedział człowiek. Zaprzestał dzwonić i przyczepił koniec sznura do haka.

— Wieczne odpocznienie — szeptał Witek, czując, że serce w nim kołacze, jak ptak bijący w okna, kiedy go zamkną w izbie.

Wszedł na gościniec.

— Ot i Grocholakowa chałupa—rzekł, przystając przed pierwszą zagrodą; chciał tam wejść, ale z podwórza wyskoczył pies i, ujadając, rzucił się na niego. Witek oganiał się kijem, jak mógł; z wnętrza chałupy odezwał się gniewny głos... pies, warcząc, cofnął się...

— Nie wejść—pomyślał Witek;—nawet psy przyjmują jak dziada, możeby i ludzie tak powitali. Pójdę prosto do dworu.

Dopiero teraz, u kresu swojej podróży, uczył wielkie znużenie. Dziesięć mil, dzielących miasto od Babie, szedł przeszło tydzień. Przez ten czas wyczerpały się ledwie odzyskane w szpitalu siły, wyczerpał się zapas pieniędzy w szmatce, kaszel coraz bardziej dokuczał.

Ale oto i dwór—brama jeszcze otwarta, a tu dziedziniec, po którym niegdyś maszerował z paniczem. Taki wydaje mu się mały, tylko lipa na nim urosła. Wszędzie biało, cicho, ale we dworze widać światło...

Witek zbliżył się do okna i zajrzał. Wokoło nakrytego stołu siedziała jeszcze młoda pani, troje dzieci i pan, zwrócony do niego plecami. Na kominie palił się ogień, w pokoju rozlegały się śmiechy dziecinne. Pan wziął najmłodsze dziecko na ręce i zaczął z niem tańczyć po pokoju.

— To dziedzic—szepnął Witek.—Nic się nie zmienił, ino trochę tłuściejszy; taki sam rumiany i śmiejący, jak był... A to pewno pani dziedziczka i dzieci.

Pies, poczuwszy obcego, zaszczekał, drzwi od ganku otworzyły się...

— Kto tam?—spytał jakiś męzki głos.

— To ja — drząc z zimna, a może i ze wzruszenia, odpowiedział Witek.

— Co za ja?

— Wincenty Lach.

— A czego?

— Do pana dziedzica.

— Pan teraz kolacyę je. Przyjdź jutro.

— Niech pan będzie łaskaw, niech ulituje się i powie, że to Witek, syn Wojciechowej, żołnierki, co służył we dworze za młodu.

Lokaj cofnął się do pokoju i powiedział kilka słów dziedzicowi, który zerwawszy się z krzesła, poszedł do kancelaryi.

Po chwili zawołano tam Witka. Gdy wszedł, wionęło na niego ciepłe powietrze. Zachwiał się, jak pijany, i zatrzymał się na progu; naprzeciw niego stał dziedzic.

I tak patrzyli na siebie w milczeniu parę chwil pan i parobek. Jeden w pełni sił, szczęśliwy, otoczony rodziną,—drugi, obdarty włóczęga i kaleka...

— Ty jesteś Witek Lach! — rzekł wreszcie dziedzic, przypatrując mu się szeroko otwartymi oczyma.—Ręki nie masz, co ci się stało?

— Tamtej jesieni urwała mi maszyna w Wólce, a tera wracam ze szpitala.

— A to ci się udało!—odpowiedział pan Adam, w którym obudziły się wspomnienia z przed lat 15-tu. Widział przed sobą tęgiego parobka z jasnymi włosami i poczciwym wejrzeniem, przypominał wyrządzoną mu krzywdę i ostatnie z nim pożegnanie...

— Możeby mi wielmożny pan dał jaką służbę u siebie — odezwał się, po chwili Witek, — bom i pieniądze stracił i już nie mam się gdzie przytulić.

— Pieniądze?—powtórzył pan Adam.

— A tak, u nieboszczyka pana Barwińskiego odłożyłem 350 rubli, miałem grunt kupić i ot wszystko zmarniało. Młody pan zaprzepścił i mnie i swoje dziedzictwo!

Pan Adam pokiwał głową.

— A cóż ty teraz możesz robić?— rzekł, czytając na wychudłej twarzy chłopca wyrok niedalekiej śmierci.

— Pastuchem mogę być, abo i stróżem nocnym; cokolwiek będę robił, byle mieć kątek do przespiania i łyżkę strawy.

Dziedzic zaczął chodzić po kancelaryi, wzruszając ramionami, nareszcie rzekł:

— Ha, to zostań; zobaczymy, jakim ty będziesz stróżem. Teraz niech Jan zaprowadzi cię do kuchni; dadzą ci jeść, wyspij się i odpocznij. Zobaczymy—powtórzył, nie patrząc na niego.

W taki sposób Witek osiedlił się po raz drugi w Babicach...

Powrót kaleki w tym samym dniu, w którym umarła córka Hanki, obudził w panu Adamie przykre myśli i wydał mu się dziwnem zrzędzeniem losu.

Widok człowieka, do którego nieszczęść pośrednio się przyczynił, który był jakby chodzącym wyrzutem sumienia, drażnił go... Mimo to, w przekonaniu, że Witek nie przetrzyma roku, nie miał odwagi skazywać go na włóczęgę, kazał mu dawać jeść z dworskiej kuchni i, ulegając jego prośbom, zrobił go nocnym stróżem.

W Babicach przyjazd Witka wywołał silne wrażenie. Wielu z dawnych jego znajomych powymierało, ale inni pamiętali go, przyjęli jak swego i nie mogli się dość nadziwić, że przez te niedługie lata tak postarzał i zmarniał.

Witek kolejno obchodził wszystkie chałupy we wsi i wypytywał o wypadki minionych lat...

Najlepiej lubił przesiadywać w kuźni. Stary kowal Ignac, którego pamiętał z dawnych czasów i który się prawie nie zmienił, tylko mu twarz po-

czerniała, a włosy zbielały, przygarnął go serdecznie, częstował wódką i tytoniem.

Od niego dowiedział się Witek o śmierci obojga Grocholaków i Zosi Tomkowej.

Dziewczyna jej, Marysia, służyła przy praczce, młodszy chłopak przy owczarzu. Zostało po niej jeszcze kilkoro drobiazgu, to też się Tomek ożenił w niespełna miesiąc po jej śmierci.

— A z Hanką co się stało?—wypytywał Witek, którego na dźwięk tych dawno niesłyszanych imion opanowały wspomnienia młodości. — Poszła za męż?...

— Kto to wie? Dyabeł to był w spódnicy. Pan trzymał ją dwa lata. Komedye działały się we dworze. Gadali, że nieraz biła dziedzica, a wymyślała tak, że rozlegało się po całym dziedzińcu; krzyczała, że go podpali i do sądu zaskarży. Dziedzicowi i wstyd było i strach...

— No, i jakże się skończyło?

— Nastął tu nowy pisarz, wielki frant na dziewczęta. Owo zobaczył Hankę, zaperzył się do niej, a ona do niego. Któregoś dnia wybrała ponoć panu z biurka pieniądze, rzuciła dziecko i uciekła z tamtym. Gadali, że dziedzic był nawet kontent, bo się niedługo potem ożenił, a sierota chowała się przy kuchni i zmarła na gorączkę akurat w ten dzień, coś wrócił do Babie.

Witek musiał także opowiadać ludziom szczegóły ze swojego życia.

Nieraz wieczorem, przyszedłszy do której chałupy, siedział pod piecem, kołysał dziecko, baby przedły, gospodarz na ławie drzemał, albo palił fajkę, a Witek poruszał nogą kolebkę, opierał głowę na rękę i wszystko opowiadał: jak zbierał pieniądze, jak mu dziedziczka opatrywała ranę na głowie, jak jej oszczędności swoje powierzył, a dziedzic mu zmarnował ten krwawy grosz...

Podnosił się wtedy w izbie jeden głos oburzenia, z niektórych ust wypadało przekleństwo, ale Witek wstrzymywał je...

— Ino nie przeklinajcie, niech go tam, mnie Pan Bóg po śmierci wynagrodzi. Ja bo wszystkim darowałem, jak zakonnica kazała.

Zdumionym jego rezygnacją chłopom opisywał swoją długą chorobę, szpital, życie, jakie w nim prowadził, i wdzięczne wspomnienie, które mu o nim zostało.

Wkrótce po przybyciu Witek otrzymał wielki kij, gwizdawkę, psa do pomocy i zaczął pełnić obowiązki nocnego stróża. Obchodził ogród i folwarczne budynki, i gwizdał głośno, przeciągle, ażeby wiadano, iż robi, co do niego należy.

Przy tej okazji nieraz wspominał noc, kiedy tak samo wartując przy dworze, złapał Hankę, która wracała od dziedzica.

Z początku robota szła mu jako tako, wkrótce jednak spostrzegł, że przerachował się ze swojemi siłami. Zima była tego roku wyjątkowo surowa. Witek bez kożucha marzł i kaszlał coraz mocniej. Noce były długie, nieraz nogi chwiały się pod nim, a nie śmiał usiąść, w obawie, że go sen zmorzy i zmarznie. W czasie odwilży, kiedy mu zimno mniej dokuczało, przysiadał pod jakim budynkiem i drzemał. Już nie tak często słyszano jego gwizdanie, zaczął wcześniej schodzić z warty, kilka razy nawet zagrzebał się w słomę i wcale nie przyszedł.

Wreszcie któregoś dnia dziedzic kazał zawołać Witka do siebie i powiedział, że jest inny stróż na jego miejsce, bo on do tej roboty niezdatny.

— Wypocznij sobie przez resztę zimy — mówił; — może na wiosnę znajdzie się dla ciebie inne zajęcie.

Pan Adam nie załował Witkowi łaskawego chleba, ale oddawna chciał pozbyć się go jako stróża. Odgłosy jego gwizdawki w nocy, albo widok krążącej wokoło dworu wychudzonej postaci, z pustym rękawem, którym wiatr rzucał na wszystkie strony, budził w nim zawsze niemiłe uczucia. A dziedzic po dawnemu unikał przykrych myśli.

Od tego czasu Witek sypiał w stajni, a dni spędzał na wsi po chałupach, albo w folwarcznej

kuchni, grzejąc się u komina. Z początku podobał mu się ten wypoczynek, ludzie byli dla niego łaskawi, parobkom przy kolacyi opowiadał o nieboszczyku Barwińskim, jak namawiał służbę do składania pieniędzy, jaki był sprawiedliwy i wchodził we wszystkie ich interesa. Baby słuchały go, kiwając głowami, a kiedy kaszłał, litowały się nad nim i radziły mu różne lekarstwa.

Najwięcej przyłgnęła do niego Maryś, córka Zosi i dziedzica, która urosła na tęgą i wesołą dziewczuchę. Miała czarne warkocze, białe zęby, rumianą twarz i wcale nie przypominała matki. Od śmiechu jej i figłów rozbrzmiewały pralnia i czeladnia kuchnia, a chłopcy lecieli na nią, jak ómy do ognia.

— Siarczysta dziewczyna! — mawiali — a do tego pewno i posag jaki od dziedzica dostanie...

Jeden z fornali, Antek, wysoki chłop z płowemi włosami i ogromnym nosem, kochał się w niej bez pamięci i jak cień chodził za nią. Witek przypatrywał się tym zalotom, wspominając swoje młodość i kochanie z Hanką...

Marysia polubiła Witka, zaczęła nazywać go ojcem i nieraz uciekała do niego, kiedy Antek zbyt natarczywie dopominał się o pocałunki.

Ale chłopak, niezrażony tem, gonił ją i, przyparty do muru, ścisnął, ile wlaźło. Marysia uda-

wała zagniewaną, ale śmiała się, aż jej błyskały białe zęby.

— Czemu przeciwiasz mu się, kiej widzę, że i ty go lubisz?...—mówił Witek.—Tak nieładnie... Bierzcie się, będzie wam dobrze razem.

— Juści, że go lubię — po chwili namysłu odpowiada Marysia. — Chłop dobry, nie pyskaty, ale czemu on ma taki duży nos, jak dziób u pta-ka?—dodawala, śmiejąc się.

— Żebyś go miała za co wodzić...—odpowiedział Witek.

W ten sposób zbliżył do siebie młodych, a na czworniakach mówiono:

— Ma stary jedną rękę, ale szczęśliwy: ino przyszedł, zaraz ich zeswatał.

Antek zaś i Marysia zapewniali, że mu tego do śmierci nie zapomną...

Zdawało się, że kaleka odmłodniał przy nich; ta wesołość zarażała nawet jego, i nieraz głośno śmiał się z konceptów Antka i odcinał się Marysi.

Oni zaczęli uważać go za opiekuna, zwierzali mu się ze swoich zamiarów, a Witek zachęcał Marysię do pracowitości, Antka do składania pieniędzy, a oboje, żeby jaknajrychlej poszli do dziedzica i prosili o pozwolenie na ślub... Jakoż usłuchali jego rady i otrzymali nietylko pozwolenie pana Adama, ale nawet obietnicę, że im na jesień wyprawi wesele i pomyśli o ich przyszłości.

Odtąd już się Marysia nie broniła, kiedy ją Antek chciał całować, w karczmie tańczyła tylko z nim, w niedzielę nie chodziła nawet do kościoła bez niego i stroiła szyję w paciorki, a głowę w kwiaty. A Witek, patrząc na nią, mówił sobie:

— Ot i ja jeszcze ludziom przydałem się na coś... Niech ino ciepła nadejdą — i był pełen otuchy.

Stopniowo jednak zajęcie, wzbudzone powrotem Witka, osłabło. Już nawyknięto we wsi do widoku kaleki z żółtą twarzą, w wyblakłym palto-cie, jak wsparty na kiju włókł się przez dziedzi-niec, przystając niekiedy dla złapania oddechu.

Potem nikt już na niego nie zwracał uwagi, a nawet bywało gorzej.

Nieraz w której chałupie gospodyni wykrzy-czała go za to, że kaszlem nie daje dzieciom spać, albo widząc, że bierze łyżkę i przysiada się z innymi do misy, mruknęła, że ich objada.

Witek usłyszał to i przestał przychodzić do nich. Natomiast zaczął częściej przesiadywać w fol-warcznej kuchni. Zdaje się, że go ciągnęło do tej izby jego dzieciństwo. Siedząc na ławie, wpatry-wał się w ogień, przypominał lata, kiedy przed tym samym kominem uwijała się jego matka, kie-dy tam oto w kącie stał jej tapczan, a obok skrzy-nia, przy której on sypiał z Łyskiem.

Ale i tu niedługo zaznał spokoju. Kucharka Janowa była gderliwa i porywca. Nudziła ją ciągła obecność Witka w kuchni i zaczęła przepędzać go z kąta w kąt, nie pozwalając mu siadać przy dużym stole, ale dawała mu resztki kartofli w wyszczerbionym garneczku, mrucząc, że dla darmożjada i to dobre.

Kiedy mu głód bardzo dokuczył, Witek w milczeniu brał garneczek z jej rąk, ale często nie miał apetytu. Wreszcie przychodził tu nie dla jedzenia, lecz dla gawędy, dla ognia, co palił się na kominie i choć na chwilę rozgrzewał mu zziębnięte ciało.

I parobcy zaczęli mu dokuczać o najmniejszą rzecz: o to, że ruszył ich miskę albo łyżkę i, za kucharką powtarzając, nazywali darmożjadem...

Im więcej czasu dzieliło Witka od wyjścia ze szpitala, tem bardziej zacierały się uczucia spokoju i rezygnacyi, rozwinięte w nim przez siostrę, a na ich miejsce wstępowała mu do duszy gorycz. Nigdy tak nie zazdrościł ludziom domu, rodziny, dobytku, jak teraz. Ile razy widział którego z babcich gospodarzy, zajętego przy swojej zagrodzie, myślał, że i on nie byłby dziś włóczęgą i darmożjadem, za jakiego go uważają, gdyby nie krzywda, doznana od dziedzica.

W nocy, kiedy wokoło niego wszystko pograżyło się we śnie, leżał, kaszląc i drżąc z zimna, i myślał: czy to on się tak zmienił, czy też zmie-

nili się ludzie?... Tak go ciągnęło do Babic, tak kochał w nich każde drzewo, kamień, każdą piędź ziemi, tak tęsknił do ludzi, wśród których zeszło młodość i młodość,—a tu ledwie parę miesięcy upłynęło od jego przybycia i już zrobiła się wokoło niego próżnia... Gdyby nie Antek i Marysia, prawie nie słyszałby dobrego słowa...

Na równi z chorobą i osamotnieniem zaczęła Witka dręczyć bezczynność, tak często wytykana mu przez kucharkę i parobków. Nawykłego do utrzymywania się z pracy własnych rąk upokarzał gorzki chleb jałmużny.

Nie zwierzał się nikomu, ale nieraz w owczarni, dokąd się przeniósł, bo mu tam było cieplej, półgłosem mówił do siebie:

— Niema co żyć na świecie... kiej kto na chleb nie zarobi, już go i jeść nie powinien. Taka to ludzka dola.

Krzepił się tylko nadzieją wiosny. Myślał, że wraz z nią wróci mu zdrowie, że dostanie jakąś robotę, a ludzie przestaną nazywać go darmozjadem.

Nareszcie przyszła wiosna, pełna ciepłych powiewów i budzącego się życia. Słońce, obmyte z mgły, uśmiechało się do ziemi, stajały śniegi, na rzece pękła lodowa powłoka i spłynęła z wezbranami wodami. Na wysokiej topoli zaklekotały bociany, świegotliwe jaskółki lepily gniazda pod da-

chami, na polu zazieleniła się ruń... Najprzód krzewy, potem starsze drzewa pokryły się pąkami, a wkrótce młodemii liśćmi. Trochę później z grusz i jabłoni padał deszcz białych i różowych płatków, z boru odezwała się kukułka. W powietrzu pachniało świeżością i życiem. Ruszyły się roboty, bydło z radosnem ryczeniem wychodziło z obór, jakby ucieszone kresem zimowej niewoli.

W najcieplejsze godziny południa Witek szedł za bramę, mijał kościół i zatrzymywał się na polu. Przysłaniał ręką oczy, wpatrywał się w zielone łąki i chwycił piersiami kojący oddech wiosny. Ale nie mógł długo ustać, siadał więc na kamieniu, wprost słońca, pewny, że ono go uzdrowi.

Już kwiecień miał się ku końcowi, a jemu nie było lepiej, sił ubywało, oddech stawał się trudniejszy.

Mimo to, przed świętym Wojciechem kazał zameldować się dziedzicowi; nadchodził nowy kwartał, więc Witek chciał dowiedzieć się, na jakich warunkach zostaje nadal w Babicach.

— Cóż powiesz, Witku? — pytał pan Adam, który siedział na ganku z cygarem, popijając czarną kawę. Nie widział Witka od kilku tygodni i dostrzegł, że przez ten czas kaleka jeszcze bardziej schudł i postarzał.

— Przyszedłem, wielmożny panie, wedle tej służby, co ja miałem dostać od wiosny.

Dziedzie przypatrzył mu się z uwagą.

— Żebyś ty spojrział na siebie, mój człowieku, jak wyglądasz, na co ty się możesz przydać?

— Pastuchem mógłbym być — nieśmiało odpowiedział Witek.

— Nie masz sił, czy sam tego nie czujesz?

— Silny nie jezdem, ale możeć Pan Bóg i poratuje, jak na dobre ciepło nastanie.

— No, to poczekamy do tego czasu.

— Ale przecie mi niejako u wielmożnego pana darmo chleb jeść—westchnął Witek.

— Co to darmo! wyobraź sobie, że jesteś u mnie emerytem.

Witek podrapał się w głowę.

— Kiej nie wiem, proszę pana, jaka to robota.

— Taka, żeby nic nie robić — odparł, uśmiechając się, pan Adam.

Witek kręcił czapkę w rękę i nie miał ochoty odejść.

— Czego jeszcze chcesz?

— Żeby to wielmożny pan choć jaką robotę dla mnie znalazł.

— Cóż ja ci znajdę? — mówił zakłopotany pan Adam — chyba ogrodu będziesz pilnował przez lato?—dodał po chwili.

— A będę, i jak jeszcze! — odparł ucieszony Witek. — Ni złodzieja nie wpuszczę, ni kurom nie dam wleźć w szkodę.

— No, to pilnuj sobie ogrodu, a teraz idź z Bogiem—odpowiedział dziedzic, który miał zwyczaj drzemać po obiedzie i właśnie w tej chwili czuł nieprzewycięzoną ochotę zmrużyć oczy.

Witek, wsparty na kij, zszedł ze schodów i jakoś różnie niż zwykle minął dziedziniec...

Od tej pory widziano go tylko przy ogrodowej furtce...

Spędzał tam Witek całe dni na kamieniu pod gruszą. Ile razy kto wchodził do ogrodu, Witek wstawał, zamykał furtkę, a potem włókł się przez aleje, czatując zdaleka, czy nie robi szkody. Był tak przejęty swojemi obowiązkami, że nawet pańskie dzieci upominał, ile razy deptały klomby, albo łamały gałęzie. A z Antkiem i z Marysią to się nawet na dobre pokłócił.

Dziewczyna zakradła się raz do ogrodu, żeby narwać kwiatów, pewna, że jej Witek nie będzie bronił. Ale on ją ostro wykrzyczał, a Marysia zachmurzona wróciła do pralni. Poskarżyła się na starego przed Antkiem, który ją naprzód pocałował na pociechę, a potem zapewnił, że sobie z dziadem poradzi.

Następnej niedzieli, kiedy wszyscy byli na sumie, Antek wcisnął się niepostrzeżony do ogrodu, ułamał gałązkę róż i narwał czapkę pełną agrestu. Już miał wyjść, ucieszony, że mu się udało zmylić

czujność Witka, kiedy na końcu alei ukazał się on sam...

— A nie wstyd ci to kraść pańskie dobro?— zawołał zdaleka.— Nie wiesz, że to grzech?

Antek, który nie miał czasu ukryć kwiatów i agrestu, stał w pierwszej chwili zmieszany, a potem odparł:

— Eh, daj mi ta spokój! taki dziad będzie mi jeszcze od złodziejów wymyślał!.. pilnuj swego nosa.

— Ja ogrodu pilnuję i ni tobie, ni Marysi nie dam robić szkody. Jak jeszcze raz przyjdiesz, naskarzę przed dziedzicem.

— Stuliłbyś pysk, stary! — zuchwale wołał Antek, odchodząc.— Ino się dziedzicowi podchlebiasz, bo myślisz, że ci co da...

Od tej pory Witek stracił ostatnich swoich przyjaciół. Antek i Marysia zapomnieli o jego życzliwości, ale pamiętali własną urazę, i zaczęli na równi z innymi drwić z niego i przezywać go darmozjadem i lizusem.

Witka głęboko dotknęło to zajście, ale pocieszała go myśl, że coś robi, i złudzenie, że jest użytecznym dziedzicowi, który go przygarnął w nieszcześciu.

Przyszło lato, z niem upały, tak niecierpliwie oczekiwane przez Witka; ale on marzył, mimo palto-ta, którego nie zdejmował z siebie od wyjścia ze szpitala. Taka ilość plam i dziur pokrywała go

teraz, że nikt nie domyśliłby się pierwotnej jego barwy. U góry były poobrywane guziki, i wyglądały zapadłe piersi i brudny łachman, będący niegdyś koszulą.

W miarę jak mu ubywało sił, Witek przestał dbać o swój wygląd, nawet na wydziwianie parobków i dziewcząt folwarcznych zwracał coraz mniej uwagi. Zaczął zaniedbywać się w pilnowaniu ogrodu; ciężko mu było wstawać, więc leżał pod drzewem z otwartymi oczami, myśląc tylko o tem, żeby mu dreszcze ustały, albo że mu się chce pić, a do źródła daleko.

Bywały dni, w których nic nie jadł—nie miał ani apetytu, ani sił iść do kuchni. Kilkaset kroków, dzielących ją od ogrodu, wydawały mu się nieprzebytą odległością.

Pewnego dnia, wlokąc się tak przez podwórze, przechodził pod gankiem, na którym państwo jedli obiad. Witek zdjął czapkę i już minął dwór, kiedy wybiegła za nim dziesięcioletnia córeczka dziedzica, i podała talerz rosółu i kawał chleba z mięsem.

— Macie, dziadku, mama wam przysyła — rzekła.

— Bóg zapłać panience.

Dziecko odbiegło, a Witek usiadł pod kasztanem i pierwszy raz od wielu tygodni zjadł z apetytem. Czuł się tak pokrzepiony niespodzianym posiłkiem, że nawet w nocy lepiej spał...

„Żeby mnie pani dziś znowu czem poratowała —myślał nazajutrz Witek, — bo tych kartofli to już nijak jeść nie mogę.“

Nadzieja nie zawiodła go... O ile było ciepło, państwo jadali na ganku, a on dostawał ze stołu talerz zupy i kawałek mięsa. Miarkował zwykle po słońcu, która godzina, i tak umiał trafić, że przechodził pod gankiem w samej chwili obiadu.

W pierwszych dniach, kiedy odnosił naczynie do kredensu, lokaj wykrzyczał go za to, że będzie musiał zmywać po nim... Pewno i państwu coś wspomniał, bo nie dawano już Witkowi jedzenia na talerzu, ale kazano przynosić ze sobą miskę i łyżkę.

Lecz zkąd ich wziąć? Musiał iść do folwarcznej kuchni prosić o nie Janową, i tu znowu spotykały go łajania.

Witek, milcząc, słuchał ich — on teraz już wszystko znosił. Dawniej nie stałby tak przed dworem, jak ubogi, czekając na łyżkę stawy, niekiedy kaszląc dla zwrócenia na siebie uwagi, — teraz powoli zamierały w nim ludzkie uczucia. Stawał się podobny do chorego i sponiewieranego zwierzęcia, w którym nad wszystkim innem góruje instynkt do życia.

Nie wstydził się już ani łachmanów, ani łaskawego chleba, gorzej nawet — bo jeśli którego dnia nie dostał swojej porcyi z pańskiego stołu, upominał się o nią, nie słowami wprawdzie, ale spojrze-

niem i milczącą a tak wymowną obecnością swoją pod gankiem.

W folwarcznej kuchni coraz więcej znęcano się nad nim... Jego bezświadome niechlujstwo budziło wstręt we wszystkich. Już nawet nie wolno mu było siadać w izbie. Janowa dała mu misę w rękę i kazała iść na ławę pod czworniak, mówiąc, że nikt jeść nie chce z robaczywym dziadem.

Witek wpadł w stan takiej apatyi, że nawet nie usiłował stawiać oporu. Najczęściej nie zwracał uwagi na obelżywe słowa, zresztą od niedawna słuch zaczął mu się przytępiać.

Tymczasem mijało lato, a stan kaleki pogarszał się... Zdarzało się, że nie wychodził z owczarni i całą dobę przeleżał w gorączce, albo zawlókłszy się do ogrodu, nie wstawał z pod gruszy.

Przyszła pora chłodna i dżdżysta—i Witek coraz rzadziej otrzymywał jedzenie ze stołu.

„Żeby mnie ino zobaczyli — myślał, — może kazaliby co dać; ale nie jestem na oczach i zapomnieli.“

Witek przechodził kilka razy około dworu, czasem udało mu się zwrócić uwagę dziedzica albo dziedziczki i wtedy dostawał zwykłą porcyę, nieraz jednak przez parę dni nie jadł...

Przyciśniony głodem, szedł do folwarcznej kuchni.

— Patrzajcie ino, wróciło dziadzisko do nas!— wołała która z dziewcząt.

— Nie wyzebrał se widać nic u państwa i nas objadać przychodzi—odpowiedział jeden z parobków.

— Nie wstydzi się to łązić tak podle dworu, jak pies, i wyglądać, czy mu dadzą—wtrącała kucharka.

— A któż cię będzie karmił, jak dziedzice na zimę pojedą do Warszawy? Przecie za miesiąc już ich nie będzie.

— Ot wypasł się Wincenty na pańskim stole: sama skóra i kości—śmiała się druga dziewczyna.

— Dziadowi już śmierć z oczu patrzy—dorzuciła kucharka.—Istny nieboszczyk! Do spowiedzi ci iść, a nie na wyzerkę.

— Przestalibyście wydziwiać—spokojnie odpowiadał Witek, — ot dalibyśta trochę żuru, już drugi dzień nie jadłem.

— Masz, ale se zabieraj na swoją ławkę... tu ciasno, i bez ciebie dosyć robactwa.

Witek spróbował jeść, czując konieczność posilenia się, ale nie mógł przełknąć żuru.

„Chyba poproszę gospodyni o kieliszek wódki — myślał, — to mi starczy za obiad, bo już zupełnie z sił opadłem.“

Powlókł się ku oficynie. Powiedziano mu, że pani Brzozowska w piwnicy, więc usiadł na schodach ganku i czekał.

— Czego to? — odezwał się za nim po chwili donośny głos gospodyni.

Witek z trudem podniósł się...

— Przyszedłem prosić łaski pani choć o krzywą wódkę: nic jeść nie mogę, okrutnie osłabłem.

— Tym ludziom to tylko picie w głowie— niecierpliwie mruknęła gospodyni.—Ledwie nogami włóczy, a jeszcze prosi o wódkę, zamiast modlić się o szczęśliwe skonanie.

Witek stał przed nią w milczeniu, nie rozumiejąc, za co dziś tak uwzięli się na niego. Ze wsząd mu mówią o spowiedzi. Chyba naprawdę źle z nim, ale żeby aż na śmierć miał się gotować...

— Naści — rzekła po chwili łagodniejszym głosem pani Brzozowska, przynosząc z pokoju kieliszek wódki. — Ale pamiętaj moje słowa: idź do świętej spowiedzi, bo niedługo staniesz przed Boskim majestatem i będzie niedobrze.

Zabrzęczała kluczami i, sapiąc, potoczyła się ku oborze, jak faska, a Witek począł się zastanawiać.

— Śmierć, to śmierć — mówił.—Wola Boska. Pójdę jutro do jegomości, wypowiadam się... Dostyc już nakołatałem się na tym świecie. Co komu po mnie?... Ni żony, ni dziecka!

Swoją drogą wódka dodała mu nieco otuchy i przyszło mu na myśl, że jednak dobrze byłoby pogodzić się z Marysią i z Antkiem. Może w tej izbie, którą im pan przeznacza na mieszkanie, dali by mu jaki kąt i siennik, a on za to służyłby im i niańczył ich dzieci. Pod wpływem tej nadziei odszukał nawet Marysię i pierwszy do niej zagadał. Ale dziewczyna w tej chwili kupowała wstążki od węgra i nie zwróciła nawet uwagi na to, co mówił jej Witek.

— Pogodzę się z nimi na weselu — szepnął i wrócił do owczarni.

Nazajutrz wstał bardzo osłabiony. Była niedziela, ludzie z Babie i poblizkich wsi szli do kościoła.

W sercu Witka, może pod wpływem wczorajszych słów gospodyni, obudziła się jakaś obawa.

„Pójdę i ja pomodłę się — pomyślał smutnie.—Już tak dawno nie byłem na sumie. Jakże to było i echodzić takiemu obdartemu? Chyba powlokę się pod kościół.“

Wlókł się bardzo długo, odpoczywając po drodze; a dotarwszy do kościoła, stanął pod drzwiami, jak dziad, i zaczął odmawiać pacierze...

Cały plac był pełen ludzi. Przez otwarte drzwi świątyni widniały zapalone u wielkiego ołtarza światła, z poza dymu kadzidła wynurzał się

obraz, a przed nim ksiądz w jasnym ornacie, który zwracał się do tłumu i wznosił nad nim ręce...

Organy umilkły, ksiądz odszedł od ołtarza i po chwili ukazał się na ambonie, przebrany w białą komżę, z książką w ręku.

W kościele zrobił się ruch... Chłopi, stojący na zewnątrz, pocisnęli się do wejścia—każdy chciał być na kazaniu.

Witek, o ile mógł, zbliżył się do drzwi... Początku wcale nie słyszał, ale po chwili doszły do niego wyrazy:

„Jezus tak mówił do uczniów swoich: Był człowiek bogaty, który używał hojnie na każdy dzień... Był też i żebrak, imieniem Łazarz, który leżał u wrót jego i chciałby nasycić się odrobinkami, spadającymi ze stołu bogacza, a nikt mu ich nie podawał. I stało się, że umarł żebrak i zanieiony został przez Aniołów...”

Tu urwał się głos księdza. Witek zamienił się w słuch... Przecie to dobrodziej dziś jakby dla niego czytał. Łzy nabiegły mu do oczu, chciał słuchać dalej, zbliżył się jeszcze do drzwi, ale cisnący się tłum odepchnął go. Potem doszły go tylko urywki niezrozumiałych wyrazów.

Już nawet nie słuchał—tego mu było dosyć. Wielki spokój wstąpił w niego, a w uszach zabrzmiał, jak dalekie echo, głos siostry, która pocie-

szła go w chorobie: „im bardziej tu się nacierpisz, tem większe szczęście da ci Pan Bóg w Niebie.“

Musi być prawda, kiedy i jegomość to samo powiada... po śmierci dostąpi radości, już go tam nie będzie bolało... nikt go nie skrzywdzi, i nie będzie tak opuszczony i samotny, jak dziś...

Drogami, wiodącemi do okolicznych wsi, wracali do domów chłopci, odbijając barwnymi strojami od szarego tła zaoranej ziemi.

Część ich skupiła się w karczmie, przed którą zaprzężone do wozów i bryczek konie, parskając, gryzły siano, i z kąd dolatywały odgłosy rozmów. Witek, przechodząc, rzucił okiem na izbę, gdzie za młodu upłynęło mu tyle chwil wesołych, i aleją żółknących topoli powlókł się do owczarni.

Z osłabienia i wysiłku bolały go wszystkie członki. Położył się, w nadziei, że uśnie, ale sen nie przychodził. Z otwartych ust wydobywał się chrapliwy oddech, w całym ciele były przyspieszone pulsa. Zrobiło mu się gorąco — odchylił palto i koszulę, ażeby uwolnić piersi od ciężaru odzienia... Powoli tracił świadomość czasu i miejsca.

W pamięci jego rozmaite obrazy przesuwały się i nikły. I zdało się naraz Witkowi, że jest jeszcze rano, że stoi u wnijscia kościoła. Jakże się tu wszystko zmieniło! Od wielkiego ołtarza bije jasność zorzy; wysoko, otulony w obłoki, siedzi sam Bóg Ojciec ze światem pod nogami i wzno-

si nad nim ręce. Po jednej stronie blady od umęczenia Syn Boży, któremu z czoła pokłutego cieniami wytryskują promienie światła,—po drugiej Matka Przenajświętsza w koronie z gwiazd... a wszyscy troje żywi, zdają się patrzeć na niego...

Witek pada na twarz... Przecie to nie kościół, ino niebo... Podnosi oczy—wokoło pełno aniołów ze skrzydłami, w białych sukniach, kłęczą przed Bożym tronem i śpiewają pieśni na Jego chwałę. Za nimi tłum aż się roi. Witek poznaje niektórych. To nieboszczyki chłopcy z Babie i Wólki. A tam... kto wskazuje na niego? To własna jego matka. Jej tylko jednej między błogosławionymi płyną łzy z oczu...

— Matulu—szepcze Witek,—czy to wy?

— Ja, syneczku; to mnie nie poznajesz?

— Boście się młodziuska zrobili, ręce wam zbiałały i bogatoście obleczeni.

— Tak Pan Bóg w Niebie za wszystko wynagradza. Tu każdy zdrow, ma się w co odziać, nie zna głodu, ni chłodu.

— To weźcie i mnie do siebie.

— Jak na cię przyjdzie czas, z rozkazania Boskiego anieli cię tu przyniosą...

Witek leży i widzi, że z chmury aniołów oddzielają się dwaj i lecą ku niemu, błyskając skrzydłami, jak gołębie na słońcu. Wzięli go, plynie ra-

zem z nimi, tak mu lekko, tak dobrze, wokoło jasność, pachnie, jak w borze na wiosnę...

Nagle widzenie znikło. Witek ocknął się w pustej owczarni. Uczuł jakąś trwogę i niepokonaną potrzebę zobaczenia ludzi. Chciał wyjść do folwarku, lecz już nie mógł podnieść się o własnej sile i z jękiem upadł na barłóg.

Od tej chwili przez cały tydzień nie opuszczał owczarni i leżał w ciągłej gorączce, nie wiedząc, co się z nim dzieje, i nie poznając ludzi, którzy do niego przychodzili. Gdy zaś odzyskał przytomność, znajdował przy sobie to dzbanek wody, to miseczkę krupniku, a czasami garnuszek mleka, które mu parę razy przyniesiono z folwarcznej kuchni.

Niekiedy wieczorem zamieniał kilka słów z owczarzem i od niego dowiedział się, że robiono wielkie przygotowania na wesele Marysi. Zamówiono muzykę, wybielono karczmę, w kuchni piekło się ciasto i gotowało się mięso.

— Żeby Marysia do mnie przyszła—odezwał się z westchnieniem Witek.

— Gdzie ona tam ma czas—odparł owczarz.— Codziennie lata do miasteczka po sprawunki, a przez resztę dnia szyje sobie wyprawę.

Po nocach trapiło Witka straszne zimno; choć głęboko zagrzebał się w słomę, czuł, jak wiatr, wciskając się szczelinami, przenikał palto, podartą koszulę i mroził go do kości.

Czasem, nie mogąc już wytrzymać, brał pęk słomy, kładł się na mokrej ziemi, wysłanej mierzwą, i przytulał się do owiec. Zdawało mu się, że mu cieplej, kiedy czuje na twarzy ich gorący oddech, i że już nie jest taki samotny.

Niekiedy przy napadzie kaszlu siadał i, jęcząc, chwycił się za piersi, a przestraszone owce uciekały. Ale Witek znowu przypelżywał do nich na klęczkach i, głaszcząc ich grzbiety, myślał:

„Jakie szczęśliwe, że mają tak ciepłą wełnę. Gdybym to ja miał kozuch, możebym jeszcze ozdrowiał.“

Ale ta nadzieja odzywała się w nim coraz rzadziej, a coraz częściej zwątpienie. W takich chwilach pragnął już tylko jednej rzeczy: umrzeć, dopóki państwo są w Babicach. Nie opuściliby go przecież w ostatnim terminie i choć sprawiedliwy wyprawili pogrzeb.

Jednego dnia Witek sięgnął ręką po dzbanek z wodą — był pusty.

„Żeby kto zajrzał i przyniósł świeżej wody“ — myślał.

Po upływie godziny, kiedy pragnienie stało się nieznośnem, wydobyl resztę sił i zaczął krzyczeć. Ale głos jego odbił się tylko o ściany owczarni i zmarniał bez odpowiedzi.

Ogarnął go wtedy wielki żal...

— Nad bydłociem ulitowałbym się — szeptał. — O, żeby tu siostra była!

Nareszcie skrzypnęły drzwi i dał się słyszeć głos owczarza.

— No i jakże wam?—spytał, zbliżając się do Witka.

— Nie macie zmiłowania!—odpowiedział Witek, wybuchając długo tłumionemi łzami.—Cóżem wam zawinił? Żebyście choć dziecko przysłali, coby wody podało!

— Nie płaczcie, Witek — odparł wzruszony owczarz.—Com ja winien? cały dzień przy robocie.

— Żeby też nikomu nie powiedzieć! Przecie to grzech, człowiek nie powinien umierać jak bydło.

— No, cicho już, zara przyniosę wody.

Nachyliwszy się po dzbanek, owczarz wyszedł, a w chwilę później wrócił, pomógł Witkowi napić się i spytał:

— A możebyście se wódki łyknęli?

— Dajcie—śpiesznie odpowiedział Witek.

Owczarz poszedł do swojego tapczanu, wy dobył z pod poduszki flaszkę, odkorkował i przyłożył ją do ust Witka, który zaczął chciwie pić...

— Będzie już chyba — rzekł, odbierając butelkę owczarz, któremu trochę było żal chwilowej wspaniałomyślności.

— Bóg zapłać!— wyszeptał Witek — odrazu zelżało.

— Niech wam pójdzie na zdrowie. Może zaśniecie. Wczoraj tak stękaliście, że nawet ja się obudziłem.

— Może i będę spał, taki jestem zmordowany—odpowiedział Witek. — Który to dziś dzień?...

— Sobota—odparł owczarz.—Przecie to jutro Marysine wesele.

— Jutro—powtórzył Witek... — nie przyszła do mnie, nie spytała nawet, czy żyję, a przeciem zły dla niej nie był... Zośkę, jej matkę, też lubiłem... pewnie jutro przyjdzie przed ślubem prosić o błogosławieństwo—pocieszał się w duchu.

Wódka upoiła chorego—zaczął majaczyć, nad ranem zasnął; kiedy się obudził, przez uchylone drzwi wpadała smuga światła i wiał przenikliwy, jesienny chłód...

— Macieju!—zawołał — przymknijcie drzwi, takie zimno leci.

Nikt nie odpowiedział.

Czyżby już wyszedł? Tak, i owce wypędził.

Ogarnął go strach... Nuż owczarz nie wróci przez cały dzień?! Ale jakżeby mógł nie wrócić?

Zresztą dziś Marysine wesele, więc ona zajrzy do niego z Antkiem; może mu i wódki przyniosą... wczoraj wódka tak mu ulżyła...

Z początku czekał cierpliwie, pewny, że go nie minie ni pamięć, ni poczęstunek.

Zabrzmiały dzwony.

„Już na sumę zwołują — myślał Witek, — południe niedaleko. Jak to ja prędko osłabłem. Zeszłej niedzieli jeszcze byłem na nabożeństwie.“

Zdało mu się, że pod owczarnią słyszy jakieś rozmowy; nadstawił ucha.

— To do mnie idą, przyniosą wody, a może i mleka od gospodyni.

Głosy umilkły. Więc nawet nie zajrzeli do niego? Pewnie że tak, bo znowu cisza dokoła, Witek słyszy tylko własny syczący oddech.

„Nie mają miłosierdzia“ — pomyślał.

Chwile wlokły mu się jak godziny; każde odechnięcie było bolesnem; język tak wysechł, że z największym trudem poruszał nim.

Powoli wpadł w stan odrętwienia. Duch zamierał, już po to tylko kołacząc się, ażeby cierpieć.

Zbudziły go z tej apatyj najprzód dalekie, potem coraz bliższe odgłosy muzyki. Co to jest? Czy mu się śni?... Nie, najwyraźniej słyszy granie. Ach, przecie to dziś wesele Marysi, pewno już od ślubu idą. Nie przyszła do niego po błogosławieństwo.

Co jej po błogosławieństwie dziada?

Ale teraz idzie, muzyka zbliża się, słysząc wesołe śmiechy, a kilka druchen chórem zawodzi pieśń:

Jużeś nie nasza, Marysiu,
 Jużeś nie nasza, nie nasza!
 Jużeś-ci nie nasz, chłopaku,
 Jużeś-ci nie nasz, nie nasz!

Już są pod samą owczarnią; Witek podnosi się na posłaniu i czeka, rychło otworzą się drzwi i wejdzie Marysia z Antkiem.

Ale przez drzwi wchodzi tylko wiatr i tłucze się po pustej owczarni. Głosy oddalają się, a do uszu Witka dochodzi druga strofka pieśni weselnej:

Oj, da, moja Marysiu,
 Jużeś ty jest moja!
 Oj, bom cię wyprowadził
 Za rączkę z kościoła.

Potem pieśń urywa się, słyhać tylko odległe huczenie basetli i suche uderzanie bębna.

Witek upadł na słomę.

— Przeszli, zapomnieli. Na wesele idą, a ja umieram sam jeden! Boże, Boże, Ty będziesz miał miłosierdzie!

Zaczął szukać na piersiach krzyżyka, zawieszzonego przez siostrę; słabnąca ręka odmawiała mu posłuszeństwa. Znalazł go wreszcie i podniósł do ust... Chciał się pomodlić, zaczął mówić półgłosem: „Zdrowaś Maryo.“ Język mu się plątał, brakło mu wyrazów.

„Zapomniałem pacierza“ — pomyślał.

— „Teraz i w godzinę śmierci naszej“ — powtórzył kilka razy.

Śmierci... otóż idzie śmierć, a on nie był u spowiedzi, nie dostał rozgrzeszenia za grzechy... Zaczął drzeć na całym ciełe.

Więc nie będzie zbawiony? Nawet po śmierci nie dostąpi szczęścia? Na cóż było cierpliwie znosić krzywdę, ból i poniewierkę!... wszystko na nic, nie pójdzie do nieba...

Wił się na posłaniu w okropnej trwodze; lecz gdziekolwiek odwrócił głowę, przed oczyma stała mu śmierć taka, jaką widział na żałobnej chorągwi w kościele: straszny kościotrup z wyszczerzonymi zębami i kosą w ręku.

Zbliża się do niego, nachyla się, dotyka go kosą — czuje zimne jej ostrze w swoim ciełe.

— Nie! Jeszcze nie! Poczekaj! Boże, ludzie, ratunku! Księdza! — zawołał, podnosząc się w przedśmiertelnym wysiłku...

I rozległ się w pustej owczarni okropny jęk... Umierający z łoskotem upadł na słomę, oczy stały mu w słupek, głowa zsunęła się w tył, ciało wyprężyło się...

Witek w krzyku rozpaczyny oddał Bogu przerażoną duszę...

Wieczorem chłopak, zastępujący owczarza, wpędził owce i odezwał się do Witka...

Odpowiedziało mu milczenie. Powtórzył pytanie. Znowu cisza... Pochylił się, zaczął w ciemności szukać ręką na słomie i natrafił na zlodowaciałą twarz nieboszczyka...

Z krzykiem wypadł z owczarni i popędził w stronę karczmy.

Tańce ustały, muzyka ucichła, uroczystem milczeniem przyjęto w pierwszej chwili wieść o śmierci Witka.

Potem panna młoda rozplakała się na głos, uważając to za złą wróżbę dla siebie: Antek, dobrze podchmielony, zawtórował jej...

— A ze szczyrego serca radziłam mu, żeby szedł do spowiedzi — odezwała się Janowa. — Nie słuchał, będzie się teraz w piekle smażyć...

— Na umarłego grzech tak mówić! — upominała ją druga baba.

— Słuchaj, Maciek — mówiła stangretowa do syna wyrostka, — już cię nigdy bić nie będę, ale pamiętajże, żebyś mi nie dał umrzeć bez księdza i sprawił pocziwy pogrzeb...

Dano znać do dworu.

Wiadomość o śmierci Witka niespodzianie spadła na pana Adama. Jeszcze tak niedawno widział Witka na podwórzu.

— Akurat tydzień leżał, proszę łaski wielmożnego pana — opowiadał owczarz.

— Dlaczegoż mnie o tem nie donieśli?



— Bo to, proszę łaski pana, kto wiedział, że mu się tak rychło zamrze? Dobrze kaszlał, więc myśleliśmy, że jeszcze chorobę wykaszle.

— Zapal latarkę, pójdę z tobą do owczarni— rzekł po chwili pan Adam, który czuł żal do ludzi, że mu nie donieśli o chorobie Witka, i do siebie, że się o niego nie dowiadywał.

— Kiej, proszę wielmożnego pana, strach...

— Czego strach?

— A Witka; jeszcze się w nocy przywidzi.

— Głupstwa! Słyszysz, zaraz mi idź do kredensu po latarnię.

Na te słowa wybiegła z drugiego pokoju dziewcziczka i poczęła zaklinać męża, ażeby tam nie chodził.

— Co ci po tem, już mu nie poradzisz, a sam zdenerwujesz się. Dość będzie, jeżeli mu sprawimy porządny pogrzeb.

Dziedzic zamyślił się, lecz widać przekonany uwagami żony, westchnął tylko parę razy:— „Biedny człowiek, całe życie nieszczęśliwy!“—i został w domu.

Pierwszą noc tylko owce czuwały przy ciele Witka.

Nazajutrz kościelna obmyła je i ubrała w świeżą koszulę i odzienie, darowane przez dziedzica. Nigdy jeszcze Witek nie wyglądał tak porządnie...

Przynieśli mu trumnę czarną z dużym białym krzyżem na wieku. Ułożyli w nią Witka i w ręce wsunęli krzyżyk, niegdyś przez siostrę zawieszony na szyi; tylko oczy nie chciały mu się zamknąć: jak były otwarte, tak też otwarte zostały.

Potem zabili wieko, zanieśli trumnę do kościoła i ustawili na katafalku. Wokoło paliły się światła, dzwony dzwoniły—dziedzic niczego nie żałował umarłemu. Witek miał pogrzeb jak najbogatszy gospodarz.

Na drugi dzień ksiądz w żałobnym ornacie odprawił za niego śpiewaną mszę... W kościele było pełno, przyszli wszyscy: gospodarze, parobcy i dworska służba, a w pańskiej ławce klęczała dziedziczka i wyszukiwała dzieciom w książeczkach modlitwy za umarłych.

Msza skończyła się, odśpiewano egzekwie, zabrzmiał żałobny głos dzwonu, odsunięto lichtarze, czterech parobków wzięło trumnę na ramiona i poniosło na cmentarz.

Przodem szedł kościelny z krzyżem, potem jegomość, przy nim organista z książką i kropidłem. Za ciałem postępował dziedzic z odkrytą głową i dziedziczka z paniątkami, a w tyle tłum chłopów i bab...

Przed wykopanym dołem stanęli.

Jegomość odezwał się do zebranych w te słowa:

— Pobożny chrześcijanin z każdego wypadku powinien czerpać naukę. Ten oto Wincenty Lach może wszystkim służyć za przykład, że należy zawsze pamiętać o śmierci, nie zwlekać do ostatniej chwili ze spowiedzią, ażeby nie umrzeć bez przygotowania. Wina takiej śmierci w dużej części spada na tych, co ze zmarłym uprawiali tę samą ziemię, z tej samej jedli miski, co złączeni z nim wspólnością stanu i pochodzenia nie uważali jednak za obowiązek opiekowania się nim w ostatnich chwilach i dali mu skończyć samotnie, bez pociechy religijnej.

Chłopi spojrzeli po sobie ze zdumieniem i przestraszeniem. Nie myśleli, że na nich ciążyły jakie obowiązki względem Witka; ale juści musi tak być, skoro jegomość powiadają.

Baby zaczęły płakać, jedna tylko Janowa powtarzała w duchu: „Mówiłam mu przecie o spowiedzi, radziłam, żeby szedł; nie słuchał, to już nie moja wina.“

— A jednak — ciągnął dalej ksiądz po krótkiej przerwie — przykładów miłosierdzia nie brak wam z góry. Patrzajcie na dziedzica, który nie miał z nieboszczykiem nic wspólnego, u którego nawet w ciągu ostatnich kilkunastu lat nie służył, a który przecież kalekę przygarnął i trzymał na łaskawym chlebie. A teraz, po śmierci, mszę świętą za jego duszę, chrześcijańskim pogrzebem i modlitwą

niewinnych dziełek swoich prosi o wieczne odpocznienie dla zmarłego.

Skończył. Oczy wszystkich zwróciły się w stronę pomnika rodziny Babickich, gdzie rozczulony mową proboszcza stał pan Adam i nieznacznie otarł łzę, spływającą mu po twarzy.

Trumnę spuścili do dołu. Oddano Witka ziemi, która go wykarmiła, a której on wzamian złożył pracę i życie swoje...

Odechodząc z cmentarza, chłopci szeptali między sobą:

— Dobry pan, dziadowi sprawił taki porządny pogrzeb...

KONIEC.

KSIĘGARNIA

TEODORA PAPROCKIEGO I S-KI

w Warszawie, Nowy-Świat № 41,

poleca następujące nowe dzieła, własnym nakładem wydane:

| | Rs. | k. |
|---|-----|----|
| Amicis Edmunda de. Ze szkoły i z domu. Nowele dla rodziców i nauczycieli. Przełożyła z włoskiego Marya z Siemiradzkiej Obrąpalska | — | — |
| Bełcikowski Adam. Ks. Stanisława Grochowskiego żywot i pisma. Studium literackie | 1 | 80 |
| Bert Paweł. Początkowa nauka przyrody dla młodzieży. Człowiek. — Zwierzęta. — Rośliny. — Kamienie i łądy. — Fizyka. — Chemia — Fizjologia zwierząt i roślin. Przełożyli J. J. Boguski i Adolf Dygasiński. Dzieło ozdobione 500 drzew. w tekście. Wydanie II | — | — |
| Bleibtreu Karol. Napoleon. Studium historyczne. Spolszczył Adam Nowicki | — | — |
| Buchanan Robert. W chwilę po śmierci. Wędrówka w kraje nieznane. Przeł. z ang. Anatol Krzyżanowski | — | 50 |
| Choiński Jaske T. W pętach. Powieść współczesna | — | — |
| Dygasiński Adolf. Garstka. Zbiór nowel, obrazków i studyów: Klawiszewski i Różia. — Modus in rebus. — Złodzieje. — Ptaki. — W niewoli u dzikich. — Aktorka. — Głód i miłość. — Rycerskość chłopska. — Jaki pan, taki sługa. — Narzeczeni, małżonkowie, rodzice i dzieci | — | — |
| Głński Kazimierz. Splątane nici. Szkice i obrazki: Filippek. — Wujaszek. — Z opowiadań Imé pana Michała na Mieleniach Mieleniewskiego. — Pan radca. — Wielki szlem. — Kowalowa góra. — Stary kawaler. — Z pamiętników pajaka. — Na widecie. — Murłaj. — Koledzy. — Marek Ciupała. — „Ave!“ — Przeklęty ród | — | — |
| Hansson Ola. Szkice literackie. Młoda Skandynawia: Nowe prądy (Jerzy Brandes). — J. P. Jacobsen. — August Strindberg. — Arne Garborg. — Materyalizm w literaturze | — | — |
| Haufe E. d-r. Dziecko i rodzina. Wskazówki kształcenia domowego dla matek. Wolny przekład z niem. | 1 | — |
| Heilpern M. Tajemnice przyrody. Część II. Jak żyją rośliny, jak się odżywiają, rosną, rozmnażają i poruszają. (Kurs popularny morfologii i fizjologii roślin). Z 282 rysunkami w tekście | — | — |
| Historja naturalna w obrazach. Cz. II. Botanika i mineralogia w 267 kolorowanych obrazkach, z tekstem Feliksa Wermińskiego. Wydanie wspaniałe, złożone z 24 chromolitografowanych tablic. W oprawie | 4 | — |

121077

KSIEGAR

TEODORA PAPROCIŃSKA

w Warszawie, N

poleca następujące nowe dzieła

Kornig Th. d-r. Jak się obchodzi pisy i uwagi. Podług niemieckiego d-r Aleksandra Falboulaya Edward. Bajki i opowiadania z drzeworytami w tegoryginału francuskiego T. Prażmowska.

Mendès Catulle. Złotowłosa panienska (Życie i śmierć kłowna). Powieść. Przekład z francuskiego 1 20

Rogosz Józef. Grabarze. Powieść współczesna, w 2 tomach 2 40

Rzetskowski St. M. Z pomiędzy ludzi. Szkice z natury: Homo novus.—Z pomiędzy ludzi.—Czarna dola.—Waryatka.—Napróžno.—Zdarzenie w podróży.—Zastary.—Gość wigilijny.—Gwiazdka spadająca.—Nieznajomy — —

Schopenhauer A. Sztuka prowadzenia sporów. Tłumaczył Jan Lorentowicz — 40

Sewer. W cieniu i w słońcu. Obrazki: Nad brzegiem Rudawy. — Jedna noc w Londynie. — Pozytywizm w praktyce.—Pan Piotr.—Konkurs.—Wiosna — —

Stowe-Beecher. Podjadki szczęścia rodzinnego. Opowiadanie. Przekład z angielskiego, z przedmową Estei — 75

Stuart Phelps Elżbieta i Ward Herbert D. Powstań. Powieść z życia Jezusa Chrystusa — —

Szebekówna Józefa. Życie syzyfowe. Powieść — —

Treadwell F. P. ze współudziałem d-ra V. Meyer'a. Tablice do analizy jakościowej. Przełożył i do użytku zastosował d-r L. Kossakowski 2 —

Verne J. Bez przewrotu. Przeł. z fran. Julia Zaleska — —

Veron Eugeniusz. Estetyka. Początki i ugrupowanie sztuk.—Zródła i cechy rozkoszy estetycznej.—Smak.—Geniusz.—Co to jest sztuka?—Co to jest estetyka?—Sztuka dekoracyjna i sztuka ekspresyjna.—Styl.—Klasyfikacja sztuk.—Budownictwo —Rzeźba.—Malarstwo.—Taniec.—Muzyka.—Poezya.—Estetyka Platona. Przełożył z francuskiego A. Lange 3 —

Zaleska Anna. Dobre dzieci. Zbiór powiastek, z licznymi oryginalnymi rysunkami J. Pankiewicza w tekście. — —

Zeisel S. d-r. Chemia (nieorganiczna i organiczna). Ogólny wykład zjawisk chemicznych oraz ich zastosowania w życiu praktycznym. Z 261 drzeworytami w tekście. Z oryginału niemieckiego przełożył M. Flaum 5 —

Biblioteka WSP Kielce



0157316